M.B. im. L. W. w Łodzi

- Z golą Venus na śniegu — str. 5
- Gdzie można kupić ziołomiody? — str. 6
- Trzydzieści lat z „Karuzelą” — str. 7
- Co zdarzyło się w Alma - Acie? — str. 14
- Wydarzenia marcowe 1968 roku — str. 16

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 5 (1505) ROK XXX 31 STYCZNIA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

Foto: Grzegorz Gałasiński

Po burzliwej dyskusji powiedzieli: NIE! Teraz będzie się musiała wypowiedzieć mądrze i sprawiedliwie Rada Narodowa Miasta Łodzi.

Konsultacja z emocjami

RYSZARD BINKOWSKI

14 stycznia 1987 r. o godz. 16.40 w przedsionku Domu Ludowego w Ksawerowie pojawił się Mirosław Krata, naczelnik gminy Pabianice, ubrany jak członek ekipy powitalnej na moskiewskim lotnisku. Za oknem słupek rtęci wskazywał minus 25.

W przedsionku było cieplej i dwie grubo odziane aktywistki wpisywały na listy mieszkańców Ksawerowa, Teklina, Dąbrowy i kolonii Wola Zaradzyńska, którzy mieli się dziś wypowiedzieć, czy chcą zostać przyłączeni do miasta Pabianic. Potem miały dopilnować, żeby się obywatele nie wymykali z zebrania na rozgrzewkę do „Chłopki”, gospody sąsiadującej z Domem Ludowym niemal przez ścianę.

Pan naczelnik wyjaśnił reporterowi, że ta konsultacja nie powinna się była odbyć, ponieważ rano prezydent Łodzi, Jarosław Pietrzyk odwołał ze względu na mróz wszelkie zebrania, ale w Ksawerowie nie było już czasu na odwołania. Jednakże zaplanowana na jutro konsultacja we wsi Wola Zaradzyńska z pewnością się nie odbędzie.

Jak się później okazało dyr. Mateusz Zawadzki, opiekun gm. Pabianice z ramienia urzędu wojewódzkiego, zastosował się do polecenia prezydenta Łodzi i nie przybył na spotkanie.

Sala widowiskowa jest piękna, z kolorowymi światłami w suficie i kinowymi krzesłami z czerwonymi obiciami, na których zasiada łącznie z gośćmi i urzędnikami ponad dwieście osób. Bogaty wystrój przesłania chwilami para oddechów wydobywających się z ponad dwustu ust. Niektórzy siedzą w czapkach i rękawiczkach. Poza tym futra i kożuchy, a reszta to bardziej chędogie tekstylia.

Za zielonym stołem wznosi się estrada zaciągnięta zieloną kurtyną, przed którą stoją sztandary o wszystkich

6

Nad rzeką znaleziono zmasakrowane zwłoki nauczyciela, więc uciekli, aby ich nie spotkał podobny los.

Ludzie, którzy stracili nadzieję

MARIUSZ J. SARNOWSKI

Raúl Perez ma około 35 lat, bo dokładnie sam nie wie. Wygląda jakby miał 55. Jest niewysoki, śniada twarz, typowe indiańskie rysy ludu Kanjobal. Głowę przykrywa obowiązkowym w tym klimacie kapeluszem, poza tym ma na sobie praną setki razy flanelową koszulę, płócienne spodnie i skórzane sandały na bosą stopę.

GWATEMALSKA OPOWIEŚĆ

Urodził się w San Martin Oropú, maleńkiej, górskiej wiosce w okolicach Huehuetenango. Był ubogim chłopem. Takim jak jego ojciec i dziad, takim jak wszyscy sąsiedzi. Mieszkał w drewnianej, palmową strzechą krytej chacie, o jednej izbie z paleniskiem na środku klepiska. Gdy miał dwadzieścia lat i odumarli go rodzice, wziął sobie za żonę Juanę, dziewczynę, jak wszystkie inne w jego i okolicznych wsiach. Pracował ciężko na własnym poletku, z którego miał fasolę, trochę ostrego chile i świętą kukurydzę. W sezonie schodził po wąskich, górskich ścieżkach na zbiór kawy czy bananów na plantację których właścicieli nigdy nie widział, a o pieniądzach, jakie się tam robi, nie miał najmniejszego pojęcia. Juana rodziła dzieci, prowadziła dom, wraz z Raulem pracowała w polu. Od Celestino Yumi i Niniloj z powieści Asturiasa różnili się tylko tym, że mieli płatkę, skazanych na taką samą jak i ich przyszłość, dzieci. Świat Raúla Pereza zamykał się między jego wsią, plantacją i lokalnym centrum handlowym i administracyjnym Tapachengo, dokąd corocznie, w świąteczny dzień Nuestra Señora de Rosario udawał się na odpust. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy San Martin nie umiał czytać ani pisać, nie było to mu potrzebne.

Starsi w wiosce opowiadali czasem o zmianach, jakie miały nadejść i nie nadeszły. O zamordowanej w pięćdziesiątych latach reformie rolnej. Sprawy wielkiego świata polityki docierały do San Martin głuchymi i niejasnymi pogłoskami. Nie zwracano na nie większej uwagi.

Jakieś 10 lat temu, coś zaczęło się jednak dziać w odległych od dróg i miast częściach Gwatemali. Coraz częściej ktoś wspominał o brodatych, uzbrojonych ludziach koczujących w selwie, o strzałach, zamachach na drogach. W Tapachengo pojawił się wojskowy posterunek, a na niebie, od czasu do czasu, łostrzec można było huczące helikoptery. Z roku na rok sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Pojęcie: guerilla weszło na stałe do słownika mieszkańców San Martin.

Gdy w 1981 roku Raúl i Juana odświętnie ubrani, wybrali się, jak co roku, uczcić NS de Rosario, zastali Tapachengo ży-

13

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakoniecny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139 11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny - do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 156. H-12.

Przegląd prasy

Z pewnością każdy dorosły Polak słyszał o powstającej w Żarnowcu pierwszej naszej elektrowni atomowej. Na zdrowy rozum powinna to być budowa priorytetowa i wzorowa pod każdym względem. A tymczasem dzieją się tam rzeczy skandaliczne. Pisze o nich w tygodniku „SPRAWY I LUDZIE" (nr 1 i 2) Włodzimierz Wodecki.

W cenach z 1982 roku inwestycja miała kosztować około 140 miliardów złotych. Lecz w rzeczywistości nakłady będą nieporównanie wyższe. Nie zostanie dotrzymany też kolejny, trzeci już termin oddania do użytku pierwszego reaktora. System organizacji pracy jest bowiem tak zły, że Żarnowiec może przejść do historii jako

NAJWIĘKSZE MARNOTRAWSTWO

w dziejach Polski Ludowej. Zdaniem pewnego eksperta ludzie odpowiedzialni za budowę skierowali cały swój wysiłek na szukanie usprawiedliwienia, dlaczego nie osiągają założonych rezultatów. Ponadto nikt nie chce ujawnić prawdziwego obrazu, ponieważ za duże byłyby konsekwencje personalne.

Włodzimierz Wodecki porównuje nasze działania z systemem wznoszenia takiej samej elektrowni jądrowej w Machovcu na Słowacji. Pisze on: *„System organizacji tej budowy jest prosty, przejrzysty i zrozumiały dla każdego. Są to ludzie młodzi, w wieku około 40 lat, nie bojący się ryzyka, ale mimo młodego wieku z ogromnym doświadczeniem. Prawda, mają wsparcie w potężnym przemyśle czechosłowackim wzmacniającym budowę swoimi umiejętnościami. Mają też wsparcie i pełne zrozumienie dla potrzeb budowy w banku, resorcie handlu zagranicznego itp. Jest to wszystko niezmiernie ważne. Mają dzięki temu do dyspozycji np. całą plejadę znakomitych francuskich dźwigów ciężkich Potein, podczas, gdy my mamy jeden rodzimy, i to bardzo zdezelowany, w dodatku nie nadający się do precyzyjnego montażu elementów osłony. (..) U nas na budowie działa inwestor, który nie podejmie żadnej ważkiej decyzji bez akceptacji zwierzchnika, czyli okręgu energetycznego w Bydgoszczy, ten zaś bez decyzji resortu górnictwa i energetyki też nie jest w stanie zbyt wiele zdziałać. W samym resorcie zaś — zgodnie zresztą z sugestią wicepremiera Zbigniewa Szałajdy zgłoszoną na naradzie w Żarnowcu w kwietniu 1983 roku — funkcjonuje pełnomocnik rządu Jerzy Bijak oraz rada budowy kierowana przez wiceministra Eugeniusza Ciszaka. Do tego dochodzi konieczność podejmowania decyzji przez co najmniej dwa departamenty resortu — finansów oraz kierującego inwestycjami. A przecież między przedsiębiorstwami wykonawczymi a inwestorem istnieje jeszcze jeden szczebel pośredni, tzw. generalny wykonawca bez sił własnych. Mający też swoją centralę w Warszawie, a w niej organizację zajmującą się importem wyposażenia dla Żarnowca. W tych warunkach podjęcie decyzji, która w Machovcu wymaga jednej rozmowy telefonicznej, tutaj musi z natury rzeczy trwać tygodnie, a nawet miesiące. I nigdy nie ma winnego"*.

ZDUMIENIE, OBURZENIE I WSTYD

ogarniają pod wpływem lektury omawianego artykułu. Pamiętamy wszak skutki awarii czernobylskiej i zapewnienia, że obiekt w Żarnowcu będzie wyjątkowo solidny. Podobnie jak autor, nie możemy zrozumieć, dlaczego nasi budowniczowie nie korzystają z doświadczeń południowych sąsiadów, którzy chcą przekazać swoją wiedzę. Notabene specjaliści z Czechosłowacji twierdzą, że przy organizacji obowiązującej w Żarnowcu, budowa elektrowni jest niewykonalna.

Nie rozstrzygnięto dotąd w Żarnowcu wielu kluczowych kwestii inwestycyjnych. Nie wiadomo np. jak zostaną wyprodukowane elementy ścian osłony reaktora i niezbędne rusztowania. *„Zamiast rozwiązania tych problemów — czytamy — u nas prokuratura bada zasadność tzw. rozłąkowego, od niedawna 130, obecnie 220 złotych na dobę, a robotnicy protestują przeciwko decyzji, by ludzie stołujący się w stołówkach Żarnowca oddawali tam swoje kartki na mięso"*.

Drugą część swego artykułu Włodzimierz Wodecki zatytułował dość znamiennie: *„Kto właściwie rządzi Polską?"* Okazuje się bowiem, że niektóre słuszne decyzje rządowe wcale nie są realizowane, że interesy partykularne przedsiębiorstw wygrywają z potrzebami ogólnokrajowymi. Przyczyna tego jest oczywista: brak konsekwencji w działaniu osób rządzących. *„Tylko jak długo — pyta na zakończenie autor — będzie to jeszcze trwało i dlaczego społeczeństwo ma ponosić wielomiliardowe tego koszty?"*

BRAK KONSEKWENCJI I WYOBRAŹNI

jest też jedną z przyczyn napięć społecznych wokół huty „Siechnice". Istotę problemu przedstawił w sobotnio-niedzielnym wydaniu „TRYBUNY LUDU" (nr 20) Jerzy A. Salecki. Z obszernego artykułu wynika, że resort hutnictwa zwleka z likwidacją zakładu, który w przyszłości może bardzo poważnie zagrozić ludności Wrocławia, gdyż zatruwa glebę i wodę.

Zebrano dotąd aż kilkadziesiąt ekspertyz. W tych, które zleciła huta, przeważnie minimalizuje się niebezpieczeństwo. Natomiast ekspertyzy wykonane na zlecenie Urzędu Wojewódzkiego i jego agend przez różne instytuty badawcze *„nieodmiennie prowadzą do wniosku, który lapidarnie ujął prof. Apolinary Kowal: Dalsze istnienie huty jest »bombą ekologiczną«, która nie dzisiaj, ale w przyszłości, przy nie sprzyjających okolicznościach (susza, następnie duże opady) musi wybuchnąć"*. Swoje zaniepokojenie wyraził również Inspektor Sanitarny Kraju, gen. bryg. prof. Jerzy Bończak. A resort ochrony środowiska — co najdziwniejsze — zlecił instytutowi naukowemu w Zabrzu wykonanie jeszcze jednej ekspertyzy, ale nie określił terminu realizacji...

Huta „Siechnice" nie dość, że zatruwa środowisko naturalne i społeczne Wrocławia, funkcjonuje w starych, rozwalających się pomieszczeniach. Stopień zużycia budynków i urządzeń wynosi co najmniej 70 proc. O likwidacji zakładu po raz pierwszy mówiono już w latach 60, a w następnej dekadzie podjęto nawet taką decyzję. Musi wobec tego dziwić fenomen, że huta pracuje nadal i zamierza się ją w dodatku zmodernizować kosztem 12,5 miliarda złotych. Planiści z resortu hutnictwa chcą zainstalować nowoczesne urządzenia w muzealnych obiektach. Wiadomo zaś, że zupełnie nowa huta na Rzeszowszczyźnie kosztowałaby około 30 mld złotych. Problemem zasadniczym w tej kwestii — pisze J. A. Salecki — jest *„kompleksowe spojrzenie na gospodarkę narodową, w której woda znaczy nie mniej niż żelazochromy"*.

NIE TYLKO MY NARZEKAMY

na sposób gospodarowania i brak konsekwencji w działaniu. Zaskakująco podobne zjawiska występują także na Węgrzech. Można o tym przeczytać w miesięczniku „PREZENTACJE" (nr 11 z 1986 r.), który przedrukował niezwykle krytyczny artykuł z czasopisma „Valóság" (luty 1986). Socjolog węgierski Elemér Hankiss pisze między innymi: *„Kraj na pół gotowy. Niedokończone społeczeństwo. Wydaje się, że nie mamy ani czasu, ani zdecydowania, żeby cokolwiek dokończyć. Cokolwiek naprawdę doprowadzić do końca. Cokolwiek naprawdę doprowadzić do porządku. Nasze domy są nie otynkowane, inwestycje do połowy gotowe, nasze programy reform nie dokończone. Za pomocą różnych akcji i kampanii staramy się przynajmniej w połowie lub w jednej trzeciej rozwiązać to, co należy, należało przez dziesięciolecia czy nawet stulecia przeprowadzić za pomocą poważnie potraktowanej i dobrze zorganizowanej pracy"*.

W innym miejscu tego interesującego eseju czytamy: *„Dość rozpowszechnione jest u nas przekonanie, że nie warto zabierać się za nic, bez względu na to, jak bardzo byłoby to ważne i potrzebne, gdyż nasze wysiłki i tak skazane są na porażkę. Nasza nerwica w tym względzie jest już bezgraniczna i nie uznająca żadnych rozsądnych uwag. Skazanie na porażkę odbieramy już powoli jako narodowe fatum. Nerwica ta bierze się z naszego postrzegania historii, promieniuje nią większość naszych historycznych sztuk, programów telewizyjnych, filmów i powieści. Ta świadomość, że nam — i — tak — nie — się — nie — uda, nadweręża nasze siły życiowe, z góry hamuje nasz rozpęd, płaskimi i powszednimi czyni wszelkie zamiary oraz wszelkie marzenia o przyszłości. (...) To, co węgierskie, osądzamy już z góry jako przestarzałe, gorsze, brzydsze i mniej wytrzymałe"*.

Elemér Hankiss dostrzega różne uwarunkowania niechlujstwa, bałaganu, gnuśności, beznadziejności. Wskazuje na przyczyny historyczne, systemowe i subiektywne. Jest to tekst głęboki i pouczający, który warto przeczytać w całości. Ostatnie zdania, podobnie jak większość poprzednich można odnieść również do naszego narodu: *„Nie mamy już wiele czasu. Nie możemy ciągle odstawać od bogatej Europy, stanowić jej beznadziejnie postrzępioną i zaniedbaną tkankę"*.

W porównaniu z bratankami Węgrami my na pewno bardziej

LICZYMY NA CUD

Spora część społeczeństwa polskiego oczekuje nadprzyrodzonej interwencji. Żaden chyba naród w Europie nie dorównuje nam w intensywności modłów do Matki Boskiej. W ubiegłym roku — jak donosi „PRZEGLĄD KATOLICKI" (nr 3) — odwiedziło Jasną Górę ponad 2,5 miliona osób. Wzrosła liczba uczestników pieszych pielgrzymek młodzieżowych. Samych maturzystów przybyło do Częstochowy aż 30 800. *„Różne grupy modlitewne odbyły 185 czuwań nocnych. 26 928 osób zobowiązało się odmówić różaniec w intencji nawrócenia grzeszników i o pokój na świecie, we wspólnocie Jasnogórskiej Rodziny Różańcowej. Instytut Prymasowski przygotował 635 konferencji, których wysłuchało około 30 tys. osób"*.

Na zakończenie zwracam uwagę miłośników twórczości Andrzeja Brychta na ciekawy reportaż Michała Bołtryka w miesięczniku „KONTRASTY" (nr 1). Autor dotarł do osób, które dobrze znały pisarza. Poznajemy więc opinie: Andrzeja Makowieckiego, Jerzego Lisowskiego, Zbigniewa Jerzyny, Bohdana Drozdowskiego, Zbigniewa Irzyka, Romana Śliwonika. Ten ostatni wspomina pewien wieczór poetycki *„Do »Krokodyla« weszła kochanka Brychta z jakimś facetem w skórze. Brycht długo nie myśląc przeskoczył przez kilka stolików i znalazł się przy drzwiach. Polała się krew. Przyjechały radiowozy. Brychta wzięli na Waliców. Pojechałem tam. A milicjant mówi do pobitego: — No widzisz, całą Warszawę biłeś i terroryzowałeś, aż narwałeś się na poetę i on ci dołożył"*.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Cena pojednania

Nie należy do moich codziennych lektur Pismo Święte, chociaż od czasu do czasu zaglądam do tego arcyważnego dokumentu ludzkiej myśli, zawierającego w sferze obyczajowo-moralnej niejedno cenne wskazanie, i dziś pobudzające do refleksji nad ułomnościami natury ludzkiej. Na przykład przypowieść o właścicielu winnicy, który o różnych porach dnia wychodził na drogę werbować najemnych pracowników. Gdy wieczorem przyszło do płacenia, nagrodził on tych, których najął u schyłku dnia, tak samo jak zatrudnionych od rana, na co sarkali ci, co przepracowali najdłużej.

A przecież taka hojność najkrócej zatrudnionych — jak wywodzi Pismo — była w porządku, ponieważ tych co pracowali od rana wynagrodzono zgodnie z umową. Oczywiście, człowiek dzisiejszy, zatrudniony przez państwowego pracodawcę, skłonny jest odrzucać taką równość wynagrodzenia jako niesprawiedliwą, nawet jeśli kiedy indziej uznaje „jednakowe żołądki".

Przyszła mi ta przypowieść na myśl w związku z pewnymi nastrojami, towarzyszącymi (jakże potrzebnemu) procesowi pojednania narodowego w naszym kraju. Władza, dotrzymując obietnicy danej byłym przeciwnikom politycznym, jeśli zadeklarują lojalność wobec państwa i poszanowanie jego praw, puszcza w niepamięć dawne ich przewiny, co w konsekwencji musi oznaczać zrównanie w uprawnieniach, a więc i szansach tych ludzi, co w krytycznych chwilach nie byli z nami, z tymi, co wiernie i niezłomnie stali na straży państwa i ustroju. Toteż nie bardzo można się dziwić, że niektórzy dla ludowej władzy zasłużeni poczuli się jakby zepchnięci w cień, co oczywiście mają sobie za krzywdę.

Zresztą owo pojednanie oznacza niekiedy jakby wywyższenie dawnych przeciwników, przez czynione niektórym awanse, gdy się uznaje, że ta czy inna osoba jest państwu i społeczeństwu szczególnie potrzebna.

Myślę jednak, że za wewnętrznym oporem przeciwko takiej praktyce pojednania kryją się też nieraz małostkowe motywy — urażonej ambicji czy zastarzałej zawiści. No, bo jeśli ktoś bronił władzy ludowej nie dla osobistych korzyści, lecz z przekonania o konieczności obrony ustroju socjalistycznego, ten powinien cieszyć się dzisiaj, że dawni przeciwnicy zakopują topór wojenny, a tym samym maleje zagrożenie dla stabilności państwa i normalizacji życia, o co przecież od początku mu chodziło. Pewnie, że motywy wyższe przenikają się często w sposób skomplikowany z egoistycznymi i rzadko kogo stać, zwłaszcza po czasie, na bezstronną introspekcję.

Ale jeszcze cofnijmy się pamięcią do momentów najbardziej krytycznych. Czy każdy z nas, którzy byliśmy „za" nie ponosi swojej cząstki winy za to, iż niedostatecznie (lub wcale) przeciwstawiał się niepraworządności, niegospodarności i nadużyciom władzy, które doprowadziły do pamiętnego załamania? Kto zrobił tyle, ile trzeba, żeby móc oddziaływać swoim moralnym przykładem i pozyskiwać ludzi dla ideologii, którą wyznaje? Niech więc każdy za swoje grzechy wygodnictwa życiowego i oportunizmu poniesie choćby taką „karę" jak rzeczywiste (a nieraz może domniemane) zepchnięcie w cień.

Wierzę zresztą, że wielkoduszność ma moc wywoływania pozytywnego oddźwięku u ludzi etycznych i mających poczucie honoru, a takich z pewnością nie brak i wśród tych, którym wychodzimy naprzeciw z wyciągniętą dłonią.

I jeśli nawet wydaje nam się niekiedy, że niektórzy z ludzi sztuki (bo ich mam głównie na myśli) przyjmują naszą ofertę z wyniosłą łaskawością, jak gdyby nie byli w stanie pojąć, że płaszczyzną pojednania stron jest wspólne poczucie służby społeczeństwu i troska o polską rację stanu, to zapewne nie pozwala im na to wrodzona pyszałkowatość, która nie jest objawem wielkiego rozumu.

Aby nam to było łatwiej przełknąć, przypomnijmy sobie jeszcze inną przypowieść — o synu marnotrawnym, z którego powrotu zapanowała w rodzicielskim domu większa radość niż ze stałej obecności innych braci. Sądzę, że ci z braci, którzy dobro rodziny stawiali ponad wszystko, dzielili też radość rodziców z powrotu brata marnotrawnego.

I to by była ewangelia na tydzień obecny...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

Można i warto będzie przeczytać następujące teksty:

— **ROMANA KUBIAKA o walce z nałogiem pijaństwa w Związku Radzieckim;**

— **MARKA NIEDŹWIECKIEGO o człowieku, który obraził się na partię, bo nie dostał kombajnu ziemniaczanego;**

— **WITOLDA WERNERA o dziewczynie, która urodziła dziecko w ubikacji i wyrzuciła do śmietnika;**

— **WITOLDA KASPERKIEWICZA o krętej i stromej drodze polskiej reformy gospodarczej;**

— **EDMUNDA LEWANDOWSKIEGO o szansach wychowania socjalistycznego;**

— **STANISŁAWA CHODUNAJA o różnych stronach życia dyktatora Trzeciej Rzeszy, Adolfa Hitlera;**

— **ZOFII KĘDZIORY reportaż z Zakopanego tuż przed sezonem;**

— **dwa artykuły o łódzkim hotelu „Savoy";**

— **LUCJUSZA WŁODKOWSKIEGO o tym, że najłatwiej obrazić się na rzeczywistość.**

Jak wielkie znaczenie ma kultura w procesie przemian społecznych rozumiano już u początków Polski Ludowej.

Bez kultury nie ma postępu

MARIAN PODLASZEWSKI

45 lat temu, 5 stycznia 1942 roku, pod przewodnictwem Pawła Findera odbyło się zebranie założycielskie Polskiej Partii Robotniczej. Powstała ona w wyniku połączenia szeregu grup i organizacji konspiracji lewicowej, które prowadziły działalność we wszystkich rejonach kraju. Między grupami tymi istniały różnice programowe, ale łączyło je przekonanie co do trzech spraw: po pierwsze — że najlepszym sojusznikiem nie tylko klasy robotniczej, lecz również narodu polskiego jest Związek Radziecki; po drugie — że klęska Niemiec jest nieuchronna, a wyzwolenie Polski przyjdzie ze strony ZSRR; po trzecie — że Polska odrodzi się jako republika ludowa. W pierwszą rocznicę swego powstania PPR liczyła już ponad 8 tysięcy członków, w tym jedną trzecią stanowili byli członkowie Komunistycznej Partii Polski i jedną czwartą działacze ruchu ludowego.

Twórcy PPR od samego początku zakładali, że organizują partię marksistowsko-leninowską, która powinna skupić wokół siebie jak najszersze masy narodu, a głównie robotników i chłopów. Stąd też rozważano możliwość nazwania partii Polską Partią Robotniczo-Chłopską. Przyjmując nazwę Polska Partia Robotnicza manifestowano w ten sposób dwie sprawy: po pierwsze — że partia reprezentuje przede wszystkim robotników i po drugie, że ma charakter narodowy. W pierwszej odezwie-manifeście PPR pt. „Do robotnikow, chłopów i inteligencji! Do wszystkich patriotów polskich!" stwierdza się, że musi to być partia *„robotnicza związana tysiącami nici z życiem, losami i przyszłością własnego narodu, partia, która w całej swej działalności kieruje się dobrem narodu polskiego"*. Cztery lata później w przemówieniu końcowym wygłoszonym na I Zjeździe PPR Władysław Gomułka mówił: *„Chcemy budować partię narodu i zbudujemy wówczas, gdy porzucimy wszystkie sekciarskie błędy, wówczas, gdy zwiążemy się z narodem, będziemy żyli dla tego narodu, będziemy kierowali i prowadzili ten naród do zwycięstwa"*.

Nowatorski charakter PPR i jej programu polegał na tym, że skupiała w swoich szeregach nie tylko komunistów, lecz również *„socjalistów, ludowców, demokratów"* i była partią otwartą na zewnątrz do możliwie najszerszych mas. Urzeczywistnianie takiego właśnie modelu partii napotykało na duże trudności ze strony tych wszystkich, którzy wychowani byli w innym duchu i przyzwyczajeni do innego kształtu partii rewolucyjnej proletariatu. Każdy krok w kierunku rozszerzenia pracy masowej wymagał walki z sekciarstwem. *„Są w naszej partii ludzie* — czytamy w artykule z „Okólnika" KC PPR — *którzy by chcieli obracać się wyłącznie w kółku naszej czysto partyjnej atmosfery, którzy nie chcą spojrzeć na tych, co myślą inaczej niż my. Otóż w tym jest największe niebezpieczeństwo dla naszej partii"*.

Już w pierwszej odezwie PPR powoływała się na tradycje Polaków w walce o wolność ludów i przytaczała nazwiska Kazimierza Pułaskiego, Tadeusza Kościuszki, Romualda Traugutta, Henryka Dąbrowskiego, Jarosława Dąbrowskiego, Ludwika Waryńskiego. Również w późniejszym okresie stawiano tych działaczy za przykład patriotyzmu, nawołując do czynnej walki z okupantem. Wymieniano ponadto nazwiska Walerego Wróblewskiego, Stanisława Kunickiego i Juliana Marchlewskiego — działaczy polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego. Partia zapowiadała kontynuację w swojej działalności tego wszystkiego z historii ruchu robotniczego, co było słuszne i zostało potwierdzone przez życie.

We wrześniu 1942 r. ukazał się w piśmie społeczno-literackim Komitetu Warszawskiego PPR „Przełom" interesujący artykuł Władysława Bieńkowskiego poświęcony roli i zadaniom inteligencji w tworzeniu kultury. Autor przewidywał, że po wojnie ukształtuje się nowy porządek społeczny, który będzie dziełem najbardziej postępowej klasy społecznej — proletariatu. Klasa ta potrzebować będzie ludzi wykształconych do bezpośredniego sprawowania władzy, ale zaangażowanych

PO STRONIE POSTĘPU.

W związku z tym inteligencja powinna: włączyć się w nurt rewolucji, przyczyniając się do rozwoju kultury; przystąpić do tworzenia kultury w duchu postępowym; poczuć się odpowiedzialna za całe społeczeństwo; stanąć po stronie klasy robotniczej. Każdy twórca kultury świadomie lub nieświadomie uczestniczy, zdaniem Bieńkowskiego, w walce klasowej i staje po stronie postępu lub reakcji. W kwietniu 1943 r. to samo pismo przypomniało postępowe tradycje walki o przeobrażenia społeczne z XIX wieku, ukazując przykłady rozumienia przez inteligencję polską potrzeby głębokich reform społecznych.

Prasa PPR wskazywała na konieczność przyciągnięcia inteligencji na stronę proletariatu już w pierwszych miesiącach istnienia partii. Wyjaśniano, że dawniej reakcyjna często postawa tej warstwy wynikała głównie z jej szlacheckiego pochodzenia. W sierpniu 1942 r. „Okólnik" przestrzegał przed niedocenianiem znaczenia inteligencji i krytykował negatywne postawy w stosunku do niej jako szkodliwe sekciarstwo. Podobnie, jak niegdyś Włodzimierz Lenin PPR stała na stanowisku przyciągnięcia na stronę klasy robotniczej również tej inteligencji, która służyła w przeszłości klasom posiadającym.

Należy stwierdzić, że dzięki mądrej polityce udało się PPR skupić wokół zadań władzy ludowej wielu znanych literatów i naukowców. Dobrym przykładem może być tutaj działalność „Kuźnicy", na łamach której pisali między innymi: Antoni B. Dobrowolski, Zofia Nałkowska, Kazimierz Brandys, Stanisław Dygat, Tadeusz Borowski, Jarosław Iwaszkiewicz, Tadeusz Kotarbiński, Stanisław Ossowski, Witold Kula, Jan Kott. Pismo to oddało partii duże usługi w walce ze środowiskami reakcyjnymi i przyczyniło się do wypracowania podstaw nowego modelu kultury w społeczeństwie budującym socjalizm.

Polityka kulturalna PPR była elastyczna i cieszyła się uznaniem szerokich rzesz inteligencji postępowej. Działał jednak w partii również nurt sekciarski w tej dziedzinie, który odniósł zwycięstwo w roku 1948. Poddano wówczas niesłusznej i niesprawiedliwej krytyce wielu uczciwych i sympatyzujących z marksizmem ludzi, których Polska Partia Robotnicza pozyskała i którzy mogli oddać duże usługi władzy ludowej. Zwycięstwo orientacji sekciarsko-dogmatycznej przyniosło później szereg zjawisk ujemnych, które hamowały w latach 1948—54 rozwój kultury.

Doceniając znaczenie kultury w rozwoju społeczeństwa PPR przyjmowała leninowską koncepcję rewolucji kulturalnej. W pierwszej swej odezwie do narodu wzywała do walki o taką Polskę, w której *„nauka będzie dostępna dla wszystkich"*. Partia silnie popierała organizowanie tajnego nauczania w okresie okupacji, wychodziła bowiem z założenia, że na tej drodze można będzie przygotować kadry fachowców potrzebne do odbudowy kraju po wyzwoleniu. Równocześnie PPR głosiła potrzebę zrewidowania dotychczasowych treści wychowania młodzieży i postulowała podjęcie kroków w tym kierunku, aby ze szkoły podziemnej wyrosła w przyszłości szkoła w pełni demokratyczna.

W deklaracji marcowej 1943 r. Komitet Centralny PPR głosił *„prawo do nauki dla wszystkich przez przestrzeganie zasady bezpłatności nauczania, począwszy od szkoły powszechnej do uniwersytetów włącznie, i usunięcie wszelkich przeszkód stawianych dzieciom ubogiej ludności"*. Podobny program w tej dziedzinie przedstawiła partia w deklaracji listopadowej, precyzując, że cała młodzież do lat 16 winna być objęta obowiązkowym, powszechnym i bezpłatnym nauczaniem. W przemówieniu wygłoszonym na zakończenie I Zjazdu PPR Władysław Gomułka mówił: *„Chcemy zbudować i budujemy dom, w którym mogłoby się uczyć i kształcić każde dziecko, robotnika i chłopa, w którym miałoby możność piąć się w górę, w miarę swych zdolności, na najwyższe szczeble wiedzy i nauki"*.

Duże znaczenie przywiązywała PPR do składu socjalnego studentów wyższych uczelni. W celu zwiększenia udziału dzieci pochodzenia robotniczego i chłopskiego przystąpiono do organizacji dokształcania tej młodzieży i przygotowania jej do studiów w przyśpieszonym tempie. Uzasadniając tego rodzaju politykę Włodzimierz Sokorski pisał we wrześniu 1947 r.:

„Kładziemy tak poważny nacisk na problem składu socjalnego słuchaczy wyższych uczelni, nie dlatego, że chcielibyśmy utrudnić dostęp dla dzieci inteligencji czy nawet drobnomieszczaństwa. Chcemy tylko świadomie i stanowczo przechylić wagę na korzyść inteligencji pochodzenia robotniczego i chłopskiego, ponieważ tego wymaga logika zwycięskiej demokracji ludowej, ponieważ tego wymaga struktura naszego państwa i konieczność dziejowa jego historycznego rozwoju".

Uchwała Sekretariatu KC PPR z maja 1943 roku zakładała podjęcie działań, w wyniku których udział młodzieży robotniczej wyniósłby co najmniej 30 proc., a chłopskiej 20 proc. na pierwszym roku studiów. Wskazywano w niej, aby kierować na studia tylko młodzież odpowiednio uzdolnioną i przygotowaną, by nie odpadła później jako słabsza w toku studiów. Kandydaci mieli posiadać ukończone 20, a nie przekroczone 32 lata, ukończoną co najmniej szkołę powszechną i przygotowanie z zakresu czterech klas gimnazjum ogólnokształcącego.

Pierwszy większy artykuł na temat kultury ukazał się w prasie konspiracyjnej PPR we wrześniu 1942 r. Pisał w nim Władysław Bieńkowski o klasowym charakterze twórczości kulturalnej i o konieczności przebudowy ustroju społecznego Polski. *„Ideologia rewolucyjna* — podkreślał autor — *nie niszczy kultury, chce ją uprzystępnić masom. Stosuje własną hierarchię wartości"*.

Zagadnieniu kultury poświęcono specjalny artykuł w „Radzie Narodowej" z 11 lipca 1944 roku. Zdaniem pisma kwestia kultury ma bardzo ważne znaczenie dla rozwoju społeczeństwa, ponieważ dla procesu industrializacji

POTRZEBNI SĄ FACHOWCY

o wysokich kwalifikacjach, a co za tym idzie również o wysokim poziomie kulturalnym. Autor artykułu trafnie podkreślał:

„Krzywe wzrostu uprzemysłowienia, kwalifikacji technicznych i kultury mas muszą przebiegać mniej więcej jednakowo".

Dwutygodnik KRN słusznie wiązał demokratyzację kultury ze sprawą jej organizacji — wskazując, że ta ostatnia warunkuje do pewnego stopnia treść kultury. Pismo wyjaśniało ponadto, że demokratyzacja jest niemożliwa tak długo, jak sfera kultury jest uzależniona od prywatnego aparatu organizacyjnego i w związku z tym nastawiona na zysk.

„Nie zmieni się — czytamy — *teatr, radio czy kino, czy prasa, dopóki zależeć będą od prywatnego kapitału, dopóki obliczone będą na zadowolenie interesów i zysków klas uprzywilejowanych. W gospodarce kapitalistycznej dobra kultury są takim samym towarem, jak wszystkie inne"*.

PPR dużo miejsca poświęciła w swej działalności pracy wśród inteligencji, którą uważała za *„szermierza i nosiciela kulturalnych wartości"*. Na łamach „Okólnika" z 15 lipca 1942 r. pisano:

„Inteligencja jest tą warstwą, bez której nie można sobie wyobrazić nowoczesnego procesu produkcji, bez której klasa reprezentująca postęp nie może się obyć".

Nie traktowano inteligencji jako samodzielnej siły społecznej, lecz tylko w powiązaniu z określonymi klasami społecznymi. Uważano, że inteligencja pełniła zawsze rolę służebną w stosunku do klas podstawowych społeczeństwa. Podkreślano też zróżnicowany charakter tej warstwy, która skupia ludzi żyjących na poziomie burżuazji oraz na poziomie zbliżonym do klasy robotniczej.

Tereny wschodnie uważała PPR za etnicznie niepolskie i domagała się powrotu Polski na Ziemie Zachodnie. W związku z odzyskaniem ziem dawnych pojawił się problem stosunku do ludności autochtonicznej. Partia zwracała uwagę na

KONIECZNOŚĆ BARDZO OSTROŻNEJ POLITYKI

w tej dziedzinie. Już w lutym 1944 r. „Trybuna Wolności" pisała, że nie należy pochopnie potępiać tych Ślązaków, którzy podpisali niemiecką listę narodowościową, że trzeba zrozumieć ich położenie. PPR była zdania, że ziemie odzyskane można w pełni przywrócić Polsce tylko w drodze ostrożnej i długiej działalności kulturalnej wśród ludności, którą przez dziesiątki lat germanizowano.

Sekretariat KC PPR wydał specjalną uchwałę w sprawie pracy i zadań PPR wśród ludności żydowskiej. Uchwała podkreślała zasługi rządu ludowego w zwalczaniu — podsycanego przez siły reakcyjne — antysemityzmu i rasizmu. Jest rzeczą znamienną, że już wówczas zwracano uwagę na niebezpieczeństwo dla partii ze strony ruchu syjonistycznego i wskazywano na konieczność przeciwstawienia się dążeniom tego ruchu do zorganizowania się w skali ogólnokrajowej. Omawiając środki mające na celu pełne urzeczywistnienie równouprawnienia Żydów w Polsce, Sekretariat KC PPR zalecał kierowanie ludności żydowskiej *„w miarę możliwości i potrzeby z tradycyjnych «żydowskich zawodów» do przemysłu ciężkiego"*. Polska Partia Robotnicza w sposób ostry i zdecydowany potępiła pogrom Żydów 4 lipca 1946 r. w Kielcach. Dwa dni po tym wydarzeniu Władysław Gomułka stwierdził: *„Popełnili zbrodnię, która okrywa Polskę hańbą wobec całego świata"*.

Już w okresie okupacji PPR zajęła stanowisko w kwestii wyznaniowej, opowiadając się za wolnością sumienia i wyznania. Na szczególną uwagę zasługuje pod tym względem artykuł opublikowany 22 września 1943 r. w „Okólniku" KC PPR. Autor jego pisał, że z różnych względów natury historycznej w naszym kraju jest bardziej niż w krajach zachodnioeuropejskich zakorzeniona religia katolicka. Partia powinna uszanować wierzenia i zrozumieć, że często w takiej formie wyrażany jest protest przeciwko złu i niesprawiedliwości społecznej. Nie wolno wyśmiewać postawy religijnej, lecz trzeba taktownie odciąć wierzących od wpływów reakcji, ukazując przykłady postępowych księży, zwolenników sprawy ludowej.

Władze centralne PPR stały konsekwentnie na stanowisku konieczności budowania moralnej jedności narodu i przyciągania na stronę lewicy wszystkich, którzy zerwali z reakcją. Stąd też uchwała Plenum KC z 26 maja 1945 roku potępiła tych PPR-owców, którzy zajmowali wrogą postawę w stosunku do wszystkich członków Armii Krajowej. Na I Ogólnokrajowej Naradzie PPR W. Gomułka poddał krytyce zjawisko nieodróżniania przez organizacje partyjne uczciwych żołnierzy AK od reakcyjnego dowództwa tej organizacji. Właśnie członkowie partii, którzy wiedzą, co to znaczy niesłuszny areszt, powinni przeciwstawiać się pozbawianiu wolności tylko za to, że ktoś należał do AK. Praktyka niesłusznych aresztów — zdaniem Gomułki — wyrządza krzywdę uczciwym patriotom i umacnia reakcyjne podziemie. Mówił on:

„My wysuwamy najostrzejsze zarzuty w stosunku do Borów i Sosnkowskich, do całej plejady różnych zbrodniarzy sanacyjnych, którzy nie dla Polski starali się, ale dla swojej kariery. Ale w stosunku do tych żołnierzy AK, którzy tego nie robili, takich zarzutów, a zwłaszcza zarzutu współpracy z Niemcami, podnosić nie wolno i utrudniać im ich startu życiowego z racji ich udziału w AK nie wolno".

Podczas przemówienia na akademii pierwszomajowej w Warszawie 30 kwietnia 1946 r. Władysław Gomułka podkreślił

SZCZEGÓLNE ZNACZENIE WYCHOWANIA

i świadomości społecznej w systemie sprawowania władzy politycznej. Mówiąc o grożącym wciąż lewicy niebezpieczeństwie ze strony wywłaszczonych klas posiadających, postawił pytanie: jak było możliwe, że kilkanaście tysięcy rodzin sprawowało władzę w przedwojennej Polsce wbrew zdecydowanej większości narodu, zdobywając sobie *„przygniatającą większość w wyborach, chociaż głos pana dziedzica-obszarnika liczył się w urnie wyborczej tak samo, jak głos jego fornala?"*. Nie można na to, jego zdaniem, odpowiedzieć w oparciu o zwykłe zestawienie liczb. Mówił:

„Tych kilkanaście tysięcy ludzi mogło mieć siłę, mogło utrzymać w swych rękach władzę tylko dlatego, że tysiącem sposobów związali ze sobą setki tysięcy różnych ludzi, związali ich nie tylko materialnie, ale — co ważniejsze — ideologicznie. Kilkaset tysięcy ludzi, związanych ideologicznie z obszarnictwem i kapitalizmem, stanowiło rdzeń aparatu władzy reakcyjnej. Te kilkaset tysięcy ludzi zajmowało kierownicze stanowiska w administracji państwowej, w wojsku, w sądzie, w policji, w więziennictwie, w szkołach i na wyższych uczelniach, w fabrykach, na folwarkach, w różnych przedsiębiorstwach, instytucjach itp. Wszystkie dziedziny życia były kierowane w myśl ideologicznych założeń obszarników i kapitalistów. Wszystko mieli w swoich rękach. Kościół sprzyjał utrwalaniu ich władzy".

Polska Partia Robotnicza nie głosiła explicite, że trzeba wychować ludzi w duchu tej samej ideologii — socjalistycznej. Wskazywała jednak na potrzebę wychowania w duchu takich ideałów, które odpowiadają interesom ludzi pracy. W związku z tym przywiązywano dużą wagę do włączenia nauczycieli w proces demokratyzacji szkoły i reformy systemu wychowania. Okólnik KC PPR z maja 1945 r. wskazywał na potrzebę intensywnej pracy z nauczycielami, podkreślając, że posiadają oni demokratyczne tradycje walki z faszyzacją kraju. Komitet Centralny zobowiązał członków PPR do aktywnego uczestnictwa w Związku Nauczycielstwa Polskiego. W tym samym roku (we wrześniu) ukazał się drugi Okólnik KC w sprawie pracy partyjnej wśród nauczycieli, oceniający dotychczasowe działania partii w tej kwestii jako niezadowalające.

W oparciu o doświadczenia naszej historii PPR głosiła tezę, że w interesie Polski leży sojusz i przyjaźń ze Związkiem Radzieckim oraz innymi krajami słowiańskimi. Z satysfakcją przyjmowano zapewnienia Józefa Stalina, że ZSRR pragnie, aby Polska była silna, niepodległa i demokratyczna. Począwszy od pierwszych dni swego istnienia PPR bardzo często i bardzo zdecydowanie akcentowała, że walczy o Polskę niepodległą i suwerenną. W artykule z „Trybuny Wolności" z 15 lutego 1942 r. czytamy:

„Bez prawa do samookreślenia w ogóle nie ma mowy o wolności. Przewodzenie jednego narodu nad drugim, w jakiejkolwiek formie by ono występowało, jest ograniczeniem wolności nie tylko strony uciskanej, ale i uciskającej".

Partia zwalczała w swoich szeregach sekciarskie odstępstwa od przyjętej linii politycznej i odrzucała oskarżenia reakcji, że dąży do przekształcenia Polski w republikę radziecką. W maju 1945 r. Władysław Gomułka przyznał, że zdarzają się przykłady takiego postępowania niektórych członków partii, które potwierdzają tezę reakcji. Stanowią one wypaczenie polityki PPR i są dowodem niezrozumienia jej celów. *„Stanowisko naszej partii* — mówił — *jest znane. Stale podkreślamy i podkreślać będziemy, że stoimy na gruncie niepodległości, wolności, suwerenności państwa polskiego"*.

Na wiecu protestacyjnym przeciwko zbrodniom reakcji, 18 października 1944 r., Władysław Gomułka mówił:

„Tym, którzy wpychają broń do rąk ślepych morderców, śni się Polska sanacyjno-ozonowa, Polska Becków, Śmigłych i Składkowskich. Śni im się Polska, w której wartość człowieka i obywatela mierzona była tytułem księcia-pana, tytułem hrabiego-obszarnika, kiesą bankiera, zbitą na krwi i pocie tysięcy i milionów najemnych niewolników. Śni im się Polska piramidy społecznej, na której wierzchołku staną oni — polscy magnaci, trwoniący przywłaszczoną sobie pracę fornala na hulankach w Monte Carlo i na Riwierze. Śni im się Polska karteli i syndykatów z setkami tysięcy złotych dyrektorskich pensji miesięcznych — przy równoczesnej półtora czy dwuzłotowej dniówce proletariusza, wystającego pokornie za pracą pod bramami fabryk i przedsiębiorstw. Śni im się Polska wyszlifowanych i błyszczących generałów, dla których człowiek zaczynał się dopiero od stopnia oficerskiego. Polska bluffu i maskarady, z odpowiedzialnym przed Bogiem i historią prezydentem — manekinem".

W literaturze polskiej są podzielone zdania na temat charakteru przemian po wyzwoleniu kraju. Niektórzy autorzy sądzą, że miały one charakter socjalistyczny, a inni, że ludowo-demokratyczny. Sama PPR natomiast podkreślała, że socjalizm jest jej celem ostatecznym, ale nie bezpośrednim. Już 1 stycznia 1943 r. w prasie partyjnej stwierdzono expressis verbis, że PPR walcząc o niepodległość walczy zarazem o socjalizm. Później nieczęsto pojawia się to słowo. W maju 1945 r. Gomułka wyjaśnił że wysunięcie haseł socjalistycznych jest przede wszystkich uzależnione od zbudowania trwałego pokoju na świecie. Mówił on:

„Polska Partia Robotnicza nie ma zamiaru wyrzekać się dążenia do socjalizmu, lecz na drodze do osiągnięcia tego celu widzi konieczność przebycia długiej walki o zbudowanie silnego gmachu pokoju na globie ziemskim. A Polska wówczas może wmurować do tego budującego się obecnie gmachu fundamentalną swoją cegłę, jeżeli będzie Polską demokratyczną. Droga do socjalizmu nie jest ani krótka, ani nie może być uproszczona. Z tych powodów PPR walczyła i walczy o Polskę demokratyczną".

W sprawozdaniu politycznym Komitetu Centralnego na I Zjazd PPR podkreśla się, że nie ma jednej uniwersalnej drogi przejścia od ustroju do ustroju, co jest zgodne z teorią marksistowską i co potwierdza historia. Społeczeństwo polskie prawdopodobnie długo jeszcze pozostanie społeczeństwem klasowym, w którym będzie występowała walka klas. Jeżeli w walce tej odniosą ostateczne zwycięstwo siły ludowe, a przegrają siły reakcyjne — to wówczas demokracja ludowa przejdzie pokojowo w demokrację socjalistyczną. Również w okresie późniejszym PPR akcentowała, że zmierza do socjalizmu w swoim *„dalekosiężnym programie"*, a na obecnym etapie umacnia demokrację ludową jako polską drogę do socjalizmu.

MAREK TARAN

Reformatorzy ducha

Ponad pięć wieków oddziela działalność Buddy od działalności Jezusa. Wywodzili się oni z różnych epok i odmiennych kultur. Kształtowało ich inne środowisko i otoczenie. Jezus był synem cieśli galilejskiego, Budda pochodził z rodu książęcego — a jednak nietrudno dostrzec, że obok zasadniczych różnic dzielących nauki jakie stworzyli, istnieją pewne podobieństwa. Owa zbieżność jest szczególnie uderzająca, jeśli spróbujemy porównać stronę etyczną ich nauki, a warto zaznaczyć, że etyka odgrywa w obydwu bardzo ważną rolę.

Mimo odmienności i różnorodności kultur charakterystyczne jest to, że pewne tendencje, jakie zarysowały się za ich czasów w łonie rodzimych kultur są zbieżne. Zarówno w państwie żydowskim za życia Jezusa, jak i w Indiach za życia Buddy, dominującą rolę w życiu mieszkańców odgrywała religia. Zasad jej przestrzegania i wypełniania strzegli, w obydwu przypadkach, kapłani, którzy stanowili najwyższą grupę w hierarchii społecznej.

ZARÓWNO W PALESTYNIE JAK I W INDIACH

religię utożsamiano wówczas z określonym ceremoniałem, wypełnianiem obrzędów i rytuałów, składaniem ofiar oraz przestrzeganiem niezliczonej liczby zakazów i nakazów dotyczących prawie wszystkich dziedzin życia. Zarówno Żydzi jak i Hindusi wierzyli, że ich zbawienie zależy od drobiazgowego przestrzegania tych wszystkich narzuconych im z góry formuł. Sytuacja taka prowadziła do upadku podstawowych wartości moralnych. Charakterystyczny zarówno dla Palestyny, jak i Indii, analogicznych okresów, jest przerost rytualizmu i zanik głębszych wartości moralnych.

Przeciwko takiemu stanowi rzeczy i takiemu typowi religijności wystąpili Jezus i Budda, a ich nauka była, między innymi, reakcją na dominujący za ich życia system wierzeń i wartości. Obydwaj głosili nowy typ religijności, którego celem była odbudowa podstawowych wartości moralnych i służba człowiekowi. Dotychczas, choć to może dziwne, nie człowiek był najważniejszy — ważniejsze od niego były obrzędy i rytuały. Jezus i Budda przywracają człowiekowi należyte mu miejsce — dla Buddy najważniejszy będzie człowiek i jego dobro, u Jezusa, co prawda, na pierwszym miejscu stoi Bóg, ale zaraz po nim jest człowiek i Jezus nie zawaha się przed naruszeniem najbardziej świętych zasad, obowiązujących w jego społeczności, jeśli będą one kolidowały z dobrem człowieka (np. uzdrowienie w szabat).

Według Jezusa i Buddy nie praktyki zewnętrzne i przestrzeganie określonych nakazów decydują o ludzkiej wartości. Wypełnienie lub nie, tego czy innego zakazu nie decyduje o tym, czy jesteśmy dobrzy bądź źli, albowiem naprawdę ważne jest tylko to, jacy jesteśmy wewnątrz. Jeśli jesteśmy źli, to według Buddy i Jezusa, nie „oczyszczą" nas żadne obrzędy, ani składanie ofiar i przeciwnie — człowiekowi dobremu nie może zaszkodzić nawet złamanie postu czy naruszenie innego zakazu tego typu, albowiem jak mówił Jezus: *„Nie to, co wchodzi do ust plami człowieka, tylko to co wychodzi z ust"* (Mt. 15, 11) Identycznego zdania był Budda: *„Gniew, opilstwo, oszustwo, zazdrość — one to stanowią nieczystość, a nie jedzenie mięsa"*.

Jezus i Budda uderzają w fałsz i obłudę tradycyjnej obyczajności, dla której najważniejsze było demonstracyjne przestrzeganie określonych zasad i stosowanie się do ogólnie przyjętych reguł i to właśnie miało stanowić o ludzkiej wartości. Wykazując zakłamanie tradycyjnej religii, propagowali oni nowy typ religijności, w której liczyły się przede wszystkim intencje i dobre uczynki.

Podstawowe normy etyczne nauki Jezusa i Buddy są identyczne. Obydwaj oni mówili: nie zabijaj, nie kradnij, nie cudzołóż, ale co bardziej uderzające, oprócz tych *„grzechów ciała"*, obydwaj wyróżnili *„grzechy mowy"* — kłamstwo, pustą gadaninę, obelgi słowne rzucane na innych oraz *„grzechy umysłu"* — nienawiść, pożądliwość.

Dla obydwu droga do doskonałości wiedzie poprzez doskonalenie moralne, a więc poprzez skierowanie się ku sobie i pracę nad sobą. Według nich trwałe szczęście i doskonałość ludzie mogą osiągnąć poprzez skierowanie się ku swojemu własnemu wnętrzu duchowemu, ku sobie samym. Niestety, ludzie na ogół lekceważą, bądź w ogóle nie dostrzegają owego *„świata wewnętrznego"*, a szczęścia szukają na zewnątrz w przekonaniu, że zapewnić je mogą dobra materialne, bogactwo, sława i władza.

Według Jezusa i Buddy jest to postępowanie błędne, które nie może przynieść trwałego szczęścia. Przed takim postępowaniem stara się przestrzec nas zarówno Jezus stawiający pytanie: *„Bo cóż człowiekowi z tego, jeśli cały świat posiędzie, a duszy swej szkodę wyrządzi?"* (Mk. 8, 36), jak i Budda, który mówi: *„Oto mam synów, mam bogactwa — tak się w udręce troszczy głupiec. A przecież nawet siebie nie ma — skąd więc ma synów, skąd bogactwa"*.

Tak więc według Jezusa i Buddy, szczęście nie zależy od jakichś zewnętrznych wartości materialnych, ale od wartości moralnych. Obydwaj zalecają więc wyrzeczenie się dóbr tego świata. Nie gońmy za bogactwem, pieniędzmi i władzą — gdyż nie one stanowią o naszym szczęściu. Jednocześnie należy podkreślić, że postawa jaką zalecają obydwaj jest daleka od ascetyzmu. Należy, co prawda, wyrzec się dóbr tego świata, ale nie popadać w przesadę, jak to czynią niektórzy asceci.

WALKA ZE ZŁEM

to walka z samym sobą, walka o to, aby stać się doskonałym moralnie. Jezus przed podjęciem swej misji musi najpierw stoczyć walkę z szatanem, który stara się zawrócić go z obranej drogi. Rzecz charakterystyczna, że zanim Budda zaczął nauczać, musiał pokonać boga Marę. Obydwa te epizody mogą obrazować wewnętrzną walkę jaką muszą stoczyć Jezus i Budda zanim podejmą swą publiczną działalność — muszą oni pokonać w sobie wszystkie te niższe popędy i aspiracje, które pchałyby ich ku osiąganiu korzyści własnych i miałyby za cel interes egoistyczny.

Obydwaj byli zdania, że w swoim postępowaniu powinniśmy kierować się zawsze dobrocią — nawet na zło odpowiadać dobrem — oto sposób na pokonanie zła. Zalecenie to jest jednym z głównych kanonów ich nauki. Jezus mówi: *„Nie przeciwstawiać się złemu. Ale kto cię uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi"* (Mt. 5, 39), a Budda naucza identycznie mówiąc: *„nienawiści nigdy nienawiścią pokonać nie można, brak nienawiści pokona nienawiść"*.

Główny nakaz etyki Jezusa to miłość bliźniego. Również w buddyzmie celem naszej wędrówki jest taka doskonałość, która polega na żywieniu czystej miłości do otaczającego świata. Warto zaznaczyć, że w buddyzmie nie ma właściwie miłości jako afektu (stan taki jest wręcz szkodliwy dla nas), a jest to raczej pozytywne nastawienie do wszystkiego co żyje. Również Jezus nakazuje kochać wszystkich, nawet nieprzyjaciół. Charakterystyczne jest to, że obydwaj odrzucają miłość jednostkową, która może być przeszkodą na drodze do rozwinięcia w sobie uczucia miłości powszechnej (obydwaj wyrzekają się właściwie rodziny i najbliższych).

Jezus i Budda zdają sobie sprawę z tego, że ich nauka jest szalenie trudna, a tych, którzy decydują się realizować jej zalecenia przestrzegają przed niełatwym życiem. Wiedzieli oni, że do tego, aby ich nauka została przyjęta, potrzebna jest swoista *„rewolucja moralna"* i obydwaj głosili potrzebę takiej rewolucji. Jednocześnie wyraźnie podkreślali, że każdy „rewolucjonista" powinien zacząć od siebie, a na ogół jest tak, że ludzie chętnie dostrzegają błędy innych, a nie dostrzegają swoich. Przede wszystkim należy oczyścić moralnie siebie — jak mówi Jezus — *„wyrzucić najpierw belkę z oka swego"* (Mt. 7,3), a identyczny nakaz formułuje Budda: *„Nie na to patrz jak inny błądzi, na siebie tylko patrzeć masz"*.

Jezus i Budda nawołują do *„rewolucji moralnej"*, ale należy wyraźnie podkreślić, że właśnie tylko do rewolucji tego typu, gdyż jednocześnie żaden z nich nie jest rewolucjonistą społecznym. Byli oni *„reformatorami ducha"* i żaden z nich

NIE DĄŻYŁ DO PRZEKSZTAŁCENIA STRUKTURY SPOŁECZNEJ

drogą przemocy. Obydwaj głosili, właściwie, zbędność oddziaływania na warunki zewnętrzne, a najważniejsze było dla nich *„przekształcenie siebie"*.

Jezus nie wzywał do walki przeciw Rzymianom, ani nie próbował obalić istniejącej struktury instytucjonalnej, chociaż niektórzy być może właśnie tego oczekiwali. Wśród Żydów szeroko rozpowszechniony był w tym czasie stereotyp Mesjasza — odnowiciela i wyzwoliciela, który odbuduje królestwo Izraela. Również Budda nie starał się zmienić istniejącej struktury instytucjonalnej, właściwie nie występował on nawet przeciwko kastowości. Właśnie na temat stanowiska Buddy wobec kast istnieje wiele nieporozumień. Niektórzy twierdzą, że buddyzm był buntem przeciwko kastowości. Jest to pogląd mylny — Buda kastowość jako taką uznawał w pełni, występował jedynie przeciw kastowej ekskluzywności braminów. Według dawniej panujących przekonań prawdziwą mądrość i drogę do prawdy mogli odkryć jedynie bramini. Budda obala ten niesłuszny pogląd i drogę do szczęścia i prawdy otwiera dla wszystkich. Podobnie rzecz miała się w państwie żydowskim, gdzie przywilej znania prawdy i wybawienia od grzechów zarezerwowany był na wyłączność warstw wyższych. Jezus, podobnie jak Budda obala przekonanie tego typu i bramę do *„Królestwa Bożego"* otwiera dla wszystkich.

Tak więc, teoretycznie wszyscy mogą iść drogą, którą wskazują Jezus i Budda, chociaż praktyka jest nieco odmienna — szczególnie, gdy chodzi o Buddę. Jego nauka w rzeczywistości ma charakter „arystokratyczny" i jest przeznaczona dla wąskiego kręgu odbiorców. Jest to nauka pełna subtelności, wielu dociekań i rozważań intelektualnych, siłą rzeczy, zrozumiałych tylko dla wykształconych. Notabene pierwszymi nawróconymi zwolennikami Buddy byli kapłani braminscy oraz bogaci młodzieńcy z Benares.

Jezus odwrotnie — miał zwolenników, przede wszystkim, w ludziach z warstw niższych, a swoje posłannictwo kierował głównie do tych ubogich. Ale i u niego możemy dostrzec oznaki pewnej elitarności, jeśli chodzi o dostępność i zrozumienie jego nauki. Właściwie główny sens i tajemnica tego, czego naucza ujawnione są tylko 12 wybrańcom czyli apostołom. Kiedy spytają oni dlaczego naucza ludzi poprzez przypowieści, on odpowie im: *„Ponieważ wam dane jest znać tajemnice królestwa nieba, a im to nie jest dane"* (Mt. 13, 12).

Tak więc praktycznie nauka Jezusa i Buddy dostępna jest dla wąskiej elity. Obydwaj oni zdawali sobie z tego sprawę i wiedzieli, że niewielu będzie takich, którzy ją naprawdę zrozumieją i przyjmą. Jezus mówił, że ta właściwa droga jest wąska i *„mało jest tych, którzy ją znajdują"* (Mt. 7,13). Podobnego zdania był Budda: *„Niewielu tylko pośród ludzi na drugi brzeg przepływa by-*

tu, reszta zostaje po tej stronie". Ale teoretycznie szanse mają wszyscy. Do gminy, którą założył Budda, mógł wstąpić każdy, bez względu na przynależność kastową, z tym zastrzeżeniem, że nie przyjmowano osób o ograniczonej wolności osobistej. Podobnie, jak każdy mógł zostać uczniem Jezusa.

Jeśli chodzi o wspólnotę mnichów, czyli sanghę, założoną przez Buddę (warto w tym miejscu zaznaczyć, że również Jezus założył wspólnotę, a dosłownie jak sam mówił — *„zgromadzenie"*), to początkowo Budda nie chciał przyjmować do niej kobiet, uczynił to dopiero ulegając silnym prośbom przyjaciół i rodziny. Budda miał w ogóle

ZŁE ZDANIE O KOBIETACH

i był nastawiony do nich raczej wrogo. Kazania buddyjskie są przepełnione licznymi przestrogami przed kobietami, które nazywane są często *„nosicielkami zła"* i *„największymi sojusznicami kusiciela Mary"*. Budda zalecał swoim uczniom, aby raczej unikali kobiet, a kiedy dojdzie już do przypadkowego spotkania z nimi, należy mieć się na baczności. Przeciwnie Jezus, który choć, jak nazwał go Witwicki był *„seksualnie obojętny"*, to lubił przebywać w towarzystwie kobiet i chętnie się nimi otaczał. Przebywał razem nawet z *„jawnogrzesznicami"*.

Zarówno nauka Jezusa jak i Buddy nosi ten specyficzny charakter, że nie jest to nauka o regułach, czy nakazach, których należy bezwzględnie przestrzegać (jak na przykład nauka Mojżesza czy Mahometa), a jest to raczej wskazanie pewnej drogi, która wiedzie do szczęścia. Jezus i Budda nikomu nic nie narzucają i do niczego nie przymuszają. Kto chce, niech słucha i przyjmie to co oni głoszą. Obydwaj kierują się podobną zasadą i mówią: *„chodźcie za mną"* i przekonajcie się sami, czy to, co głosimy, jest prawdą.

Jednocześnie obydwaj prowadzą ten sam rodzaj działalności nauczycielskiej — przemierzają wzdłuż i wszerz swój rodzinny kraj, wygłaszając wszędzie kazania moralne i objaśniając zasady swojej nauki. Czynią to najczęściej z dala od oficjalnych miejsc kultu — najchętniej po prostu pod gołym niebem. Gromadzą wokół siebie tłumy słuchaczy, wielbicieli i zwolenników, ale obydwaj napotykają także na gniew i wrogość. Muszą walczyć z oficjalnymi poglądami i ich zwolennikami, a walka ta jest często bezwzględna.

Nie ustrzegli się obydwaj zdrady ze strony swoich najbliższych: Jezusa zdradza jeden z jego uczniów — Judasz; ma też Budda swego „Judasza", którym okazał się niejaki Dewadatta. Ale mają też obydwaj swoich oddanych i umiłowanych uczniów. Takim dla Jezusa jest Jan, a dla Buddy — Ananda. Mimo niechęci i wrogości ze strony pewnych ugrupowań Buddzie będzie dane kontynuować swoją działalność przez lat około 50 i dożyć sędziwego wieku (ponad 80 lat), Jezusowi na nauczanie przypadło o wiele mniej czasu (niespełna 3 lata), a za swoją działalność musiał zapłacić życiem (w chwili ukrzyżowania miał około 35 lat).

Oczywiście oprócz pewnych podobieństw łączących obydwie te nauki

ISTNIEJĄ ZASADNICZE RÓŻNICE.

W religiach ukształtowanych na Bliskim Wschodzie, w świecie judeo-chrześcijańskim i muzułmańskim w systemie wierzeń religijnych występują nieodzowne pewne elementy takie, jak: wiara w Boga, w nieśmiertelną duszę i jej pośmiertelną egzystencję. Elementy te występują także w religii, którą głosił Jezus. Bóg zajmuje tu miejsce najważniejsze.

Natomiast buddyzm był pierwotnie religią bez boga. Odrzuca on i nie uznaje boga stwórcy, bo według wierzeń buddyjskich świat jest odwieczny, a zbawienie każdy może osiągnąć sam, własnym wysiłkiem. Buddyzm zaprzecza także zdecydowanie istnieniu stałej i niezmiennej duszy twierdząc, że wszystkie fenomeny bytowania są nietrwałe i niesubstancjalne. Warto zaznaczyć, że pierwotny buddyzm — podobnie zresztą jak pierwotny chrystianizm — był religią bez kultu, bez rytuału i bez żadnego duchowieństwa.

Budda i Jezus reprezentują inne postawy i inny typ osobowości. Budda to typ wschodniego mędrca — zawsze łagodny, opanowany i spokojny. Nie mają do niego przystępu żadne namiętności. Taką też postawę zaleca innym — z dala od wszelkich skrajności i z dala od wszelkich uczuć, które mogłyby zakłócić naszą równowagę duchową. Zdaniem Buddy musimy cały czas kontrolować swój umysł i nie możemy dopuszczać do żadnych namiętności ani wzruszeń, które mogłyby zaszkodzić naszemu zdrowiu moralnemu (Budda reprezentuje pod tym względem podobne stanowisko jak stoicy). Dlatego też, według Buddy, nie możemy dopuszczać do siebie nie tylko uczucia gniewu, ale także uczucia miłości rozumianej jako afekt. Postawa Buddy, to jakby zawieszenie gdzieś w próżni, gdzie nic nie może zmącić naszego spokoju ducha, jest to postawa między *„zimnym i gorącym"*. Jest ona zupełnie przeciwna postawie jaką zajmuje Jezus. Według świadectwa św. Jana Jezus mówił, że powinniśmy być właśnie: *„Bądź zimny, bądź gorący"* (Ap. 3, 15), a więc zawsze aktywni zajmujący jakąś określoną i zdecydowaną postawę. Jezus jest porywczy i gwałtowny, często ulegający różnym namiętnościom. Jego żywiołowy temperament powoduje nieraz to, że postępuje on wbrew temu czego sam naucza — rzuca obelgi słowne na innych, wpada w gniew, a nawet używa siły.

Jezus często waha się i bywa niezdecydowany. Chociaż niewątpliwie nauka Jezusa ma charakter wybitnie pacyfistyczny, to nie jest on jednak zdecydowany, jakie stanowisko powinien zająć wobec zła. W jednym z pierwszych kazań mówił: *„Nie przeciwstawiać się złemu"* (Mt. 5, 39). W innym miejscu powiedział apostołom: *„Nie sądźcie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz"*. (Mt. 10, 34). A w obliczu aresztowania kazał Piotrowi schować miecz, *„bo wszyscy, którzy za miecz chwytają od miecza giną"* (Mt. 26, 52).

Jest jeszcze jedna zasadnicza różnica dzieląca obydwie te nauki: buddyzm jest właściwie nauką o unikaniu cierpienia — wskazuje on nam drogę, która do tego prowadzi. Jego celem jest zniweczenie wszelkiego cierpienia, wyzbycie się cierpień. Natomiast jeśli chodzi o Jezusa to niejako chce on nas nauczyć cierpienia, a ściślej mówiąc pragnie on wyrobić w ludziach potrzebę i świadomość konieczności cierpienia za innych ludzi.

Na koniec jeszcze o podobieństwach. Zarówno dla Jezusa jak i Buddy charakterystyczna jest wiara w człowieka. Obydwaj wierzą w to, że jeśli tylko człowiek zechce, to może i potrafi zmienić się na lepsze. Ostatecznym celem ich nauk — choć nieco odmienne drogi wskazują obydwaj do owego celu — jest połączenie się z otaczającym światem w uczuciu miłości powszechnej. Świat ich obydwu to świat miłości i pokoju.

Foto: Bruno Tocha

Z gołą Venus na śniegu

EUGENIUSZ IWANICKI

Za oknem była noc, a termometr wskazywał minus 22 stop. w skali Celsjusza. Brrr! Że też zachciało mi się w taki mróz iechać do Krakowa na reportaż o kolejnej sensacyjnej kradzieży fotogramów z dorocznej wystawy aktu kobiecego i portretu „Venus 86". Owinąwszy się szalikiem długo czekałem na autobus 65, a kiedy na dworcu Łódź-Kaliska wsiadłem do pociągu sądząc, że wreszcie się ogrzeję, okazało się, iż moje nadzieje są co najmniej płonne: ogrzewanie zaczyna działać dopiero po dobrej godzinie, a później z niewiadomych przyczyn zostaje wyłączone. Dla ratowania się przed zamarznięciem pasażerowie tej naszej rodzimej lux torpedy kolejowej stosowali najrozmaitsze wybiegi: podskakiwali, przytupywali, boksowali się. Wszyscy mieliśmy jednak nadzieję, że przecież podróż trwa zaledwie cztery godziny z przechodem, więc jakoś wytrzymamy. Ale kiedy pociąg zatrzymał się w szczerym polu pod Kamieńskiem i stał ponad dwie godziny — sprawa zaczęła być poważna. Poczułem, że zginę, zamienię się w sopel lodu ku uciesze zawistnych kolegów z redakcji, a szef orzeknie, że uczyniłem to z całą świadomością i tylko dlatego, by wykręcić się od wykonania polecenia służbowego. W tej sytuacji zaproponowałem współpasażerom, że skoro jedziemy do Krakowa, to nie od rzeczy będzie, jeśli zaczniemy tańczyć na korytarzu krakowiaczka. I tak cijając i przytupując, ani się spostrzegliśmy, kiedy już o 15, to jest po ośmiu godzinach znaleźliśmy się w grodzie nad Wisłą.

Pierwszą instytucją, jaką odwiedziłem tego dnia w mieście Kraka, był sklep monopolowy. Myślę, że szef, znajomi, a także żona wybaczą mi ten desperacki krok: przecież ratowałem życie!

O WYSTAWIE „VENUS"

pisałem na tych łamach jeszcze w roku 1979, kiedy salon wystawowy obchodził swoje dziesięciolecie. Pisałem wówczas o niesłabnącym zainteresowaniu ekspozycją prezentowaną w pałacyku Pugeta, o utrzymującej się atmosferze skandalu wokół Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego i jego prezesa Władysława Klimczaka, wspominałem o kradzieżach, włamaniach i aktach wandalizmu popełnianych na eksponatach. Słowem relacjonowałem o wojnie pomiędzy kołtuństwem z jednej strony a odwagą organizatorów salonu „Venus" z drugiej.

Teraz, tego styczniowego wieczoru, kiedy brnąłem po zamarzniętym śniegu w stronę ulicy Bohaterów Stalingradu, gdzie mieści się wystawa nie odczuwałem ani tego napięcia, ani grozy. Przed budynkiem nie było wielokilometrowych kolejek, nie było także dewotek pikietujących u wejścia i grożących każdemu, kto przekraczał próg ogniem piekielnym i wiekuistym potępieniem. Nic, cisza, spokój, pojedynczy odwiedzający. A więc zmiana i to spora. Nie zmienił się jedynie prezes Władysław Klimczak: jak dawniej tryskający zdrowiem, inwencją i chęcią działania.

Historia salonu wystawienniczego „Venus" warta jest przypomnienia, bowiem jej początki były związane ze sporym skandalem nie tylko w Krakowie, gdzie społeczeństwo podzieliło się na zwolenników i zagorzałych wrogów, ale sprawą interesowała się cała prasa krajowa, pisali o niej nasi czołowi publicyści i felietoniści, swoje opinie wyrażali księża i przedstawiciele władz. Dziś, po latach, aż trudno uwierzyć, że pokazanie kilku setek aktów kobiecych mogło w przeszłości wywołać ową burzę w szklance wody, która wciągnęła w swoją orbitę najpoważniejsze autorytety krajowe i zagraniczne z dziedziny fotografiki, sprowokowała spory i dyskusje, interpelacje i protesty, nagonki, infamie, pogróżki, akty wandalizmu, przyczyniła się do popełnienia przestępstw kryminalnych. A wszystkiemu winien jeden człowiek: Władysław Klimczak, postać barwna i kontrowersyjna, uwielbiany przez jednych, potępiany i odsądzany od czci i wiary przez drugich, pasjonat o chorobliwej wprost potrzebie pracy dla społeczeństwa, człowiek nietuzinkowy, pedagog z wykształcenia, propagator i działacz kulturalny rozmiłowany w polskim pejzażu, w polskiej kulturze, w polskiej historii. Do tego tak uparty, że właściwie nie można znaleźć określenia w pełni oddającego tę jego dokuczliwą wadę. I właśnie Władysław Klimczak rozpętał w 1970 r. ową — wspomnianą już — burzę, która całą swą mocą i siłą zwaliła mu się na głowę. Przetrwał. Obronił się. Tylko włosy jakby stały się bielsze, zmarszczek na twarzy też przybyło, chód spowolniał.

W 1970 R.,

kiedy Krakowskie Towarzystwo Fotograficzne obchodziło swoje 75-lecie istnienia (założone zostało w 1895 r.), jego prezes Władysław Klimczak otworzył Ogólnopolski Salon Fotografii Artystycznej „Venus 70" Akt i Portret. W rok później był to już Międzynarodowy Salon, który dość szybko uzyskał honorowy patronat FIAP — Międzynarodowej Federacji Sztuki Fotograficznej (Federation Internationale de l'Art Photographique). Z reguły na doroczną wystawę z całego świata swoje prace przysyła do Krakowa ponad 1000 artystów fotografików z ponad 50 krajów. Z ponad pięciu tysięcy zdjęć na wystawę trafia pięćset najlepszych, spośród których specjalne jury nagradza prace najwybitniejsze, najlepiej wykonane, prezentujące wysoki poziom artystyczny. W tym roku nagroda Grand Prix powędrowała do Republiki Federalnej Niemiec.

Na moje pytanie, dlaczego wystawia akt kobiecy, prezes Władysław Klimczak odpowiedział, że wypływa to z jego przekonania jako pedagoga. Przez wiele lat uczył młodych ludzi, a w latach czterdziestych i pięćdziesiątych Polskę zalewała tzw. pornografia marynarska, to jest „świerszczyki" przywożone przez marynarzy. Pomijając fakt, że były to wydawnictwa nie mające ze sztuką nic wspólnego, to ich posiadanie — szczególnie przez uczniów — miało nieraz nieobliczalne następstwa. Jeśli u kogoś znajdowano takie fotosy, był relegowany ze szkoły. I Władysław Klimczak postanowił bronić tych młodych chłopców. Bronić poprzez udostępnienie im prawdziwej sztuki, aktów będących sztuką, a nie pornografią. Swoje marzenie ziścił, co prawda, dopiero w 1970 r., ale jego upór zwyciężył.

Drugą przyczyną, że stał się propagatorem fotografiki, jest fakt, iż jeszcze w czasie okupacji, będąc żołnierzem AK działał w tzw. kolportażu jako „Mały Janek" lub „Emil II" fotografując różne obiekty o znaczeniu militarnym. Po wojnie został reporterem prasowym w „Dzienniku Polskim" i działaczem Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego. Władysław Klimczak swoje własne zbiory fotograficzne określa na dziesiątki tysięcy negatywów, natomiast archiwum KTF liczy ponad 2 mln zdjęć, a w olbrzymiej bibliotece fotograficznej są autentyczne tzw. białe kruki, których nie ma gdzie indziej w Polsce. Właśnie do Krakowa, do tego archiwum przyjeżdżają ludzie pisać prace magisterskie i doktorskie z całego kraju. Ze skromnego niegdyś zrzeszenia miłośników fotografiki powstało dziś Muzeum Historii Fotografii. W dniu, kiedy zjawiłem się u prezesa Klimczaka, nadszedł właśnie list — decyzja od prezydenta miasta Krakowa Tadeusza Salwy, że wzmiankowane muzeum zostaje upaństwowione i otrzymuje wreszcie siedzibę na jaką zasługuje, to jest budynek przy Małym Rynku nr 17. Tak więc Kraków ma jedno muzeum więcej i chyba nikt nie wątpi, że sprawił to upór prezesa Władysława Klimczaka.

Foto: Zdzisław J. Zieliński

Popularność salonu wystawienniczego „Venus" należy przypisać złodziejom i... wrogom. Ci pierwsi dokonywali prawdziwych cudów, by dostać się do budynku i zabrać co cenniejsze fotosy, o których potem pisała prasa i obwieszczały komunikaty milicyjne. To podsycało ciekawość i pobudzało wyobraźnię. Natomiast wrogowie poprzez swoją bigoterską działalność reklamowali „Venus", gdzie się dało i jak się dało. Nie można zapomnieć, że Kraków to 70 kościołów, że pozostały tu nawyki z początku naszego wieku, że tylko w Krakowie są jeszcze sufrażystki i propagatorki czystości dziewiczej aż do śmierci, że nagość przez niektórych jest utożsamiana z działalnością Szatana. Kiedy otwarto pierwszą wystawę, z ambon rozległy się głosy potępienia. Miały one jednak ten skutek, że ludzie po mszy czym prędzej pędzili do pałacyku Pugetów, by obejrzeć te wszystkie bezeceństwa. Mówiono wówczas, że ci co idą rano na msze odwiedzają „Venus" po południu, a ci co ją „zaliczyli" rano wieczorami chodzą na nabożeństwa.

BYŁO SPORO SKANDALI,

wiele publicznych protestów — transparenty, pikiety, nawet jakaś hrabina ogłosiła na krakowskich plantach głodówkę — oblewanie eksponatów kwasem solnym... Były procesy sądowe, były groźby, anonimy, szantaże. Oto w czasie prelekcji prowadzonej przez gościa z USA pewna krewka pani po oblaniu wystawy kwasem, wręczyła Amerykaninowi list, w którym napisała m.in.:

„Szanowny Panie i Honorowy Gościu z Ameryki!... Choćbym miała w kryminale skonać, dzielnie będę stawiać czoło, a nie stchórzę — i tak męka i tak męka... Mężczyźni są gorsi od zwierzyny, dla nich zamordowanie człowieka to nic, nie mówiąc już o innych rzeczach. Mając 35 lat nie wyszłam za mąż, żeby nie podzielić losu innych żon. Kobieta wyjdzie raz za mąż i ma dość, a mężczyzna żeniłby się i z dziesięć razy... Może Pan nie będzie zachwycony tym, co zrobiłam, ale jeśli Panu nie jest obojętna ludzka krzywda, na pewno Pan mnie nie potępi i spełni moje życzenie, żeby kobiety mogły oglądać gołe ciała mężczyzn na równych prawach...".

„Venus" miała już 17 wystaw, tj. 33 ekspozycje, które zwiedziło ponad 17 mln osób! W ciągu tych 17 lat z wystaw skradziono ponad 600 najlepszych fotogramów. Kiedyś, w latach siedemdziesiątych, udało się część łupów odzyskać, kiedy to milicja natrafiła pod Wawelem, naprzeciwko Baszty Złodziejskiej, na zakonspirowaną wystawę „Venus" złożoną ze skradzionych fotogramów. Aktualnie trwa kolejne dochodzenie i pościg za złodziejami, którzy w końcu 1986 roku dokonali włamania do salonu „Venus". Zapytany o opinię na temat tak częstych kradzieży profesor Willy Hengl z Austrii, światowej sławy fotografik, znawca i ekspert, juror konkursu „Venus", powiedział:

— Te kradzieże świadczą o bardzo wysokim poziomie fotogramów „Venus", o ich pięknie i walorach estetycznych, a zarazem o wielkiej popularności salonów „Venus" — bo jak widać kradnie się tylko z tych wystaw najwartościowsze dzieła sztuki, które budzą zrozumiałe zainteresowanie smakoszy i znawców.

O popularności salonu fotograficznego „Venus" świadczą także wpisy do księgi pamiątkowej. Obok pochwał, rzeczowych uwag, ocen koneserów są wpisy głupie, bzdurne, często niedojrzałe, czasem wręcz chamskie. Wybrałem kilka, by świadczyły o tym, że mimo upływu lat „problem nagości" nie daje ludziom spokoju.

„Wystawa jest bardzo ładna, tylko mało seksowa, lepsze zrzucałem z mojego łóżka".

„Po obejrzeniu wystawy wyciągnąłem naprawdę praktyczny wniosek — niestety, zgubny dla mojej żony. Ona mi się już nie podoba".

„Ciekawe, ale moje kształty są o wiele ciekawsze. Niestety, jeszcze nie odkryte".

„My chcemy aktu męskiego. My też chcemy się popodniecać".

„Po roku służby wystawa mi się bardzo podobała. Jak się da, to przyjadę z całym plutonem...".

„...My mając do czynienia z szynami i podkładami, uważamy je za ładniejsze i więcej stosowne niż fotografie tu prezentowane — Kolejarze".

„Dzięki wystawie „Venus" mogłem po raz pierwszy zobaczyć nagą kobietę".

„Chociaż jestem nieletni już to wszystko widziałem".

„Szanowny panie Bąk — przestań pan fotografować moją żonę. Z poważaniem — kochający mąż".

Księga jest gruba i wielka, zajmuje pół biurka. Większość zwiedzających koniecznie chce się w niej uwiecznić, ale większość wpisów oscyluje ku sferom niewybrednych dowcipów i złośliwości.

Pytam prezesa Władysława Klimczaka, jak on reaguje na te uwagi. Odpowiada, że gdyby nie wrogowie, jego osobiści wrogowie i zdeklarowani przeciwnicy byłoby mu bardzo ciężko. Najbardziej lubi tych zaciętych, bezlitosnych, chamskich. Właściwie nawet ich na swój sposób kocha. To oni pozwalają mu korygować własne poczynania, unikać błędów, gdyż w przeciwieństwie do wielu pseudoprzyjaciół są szczerzy w swojej nienawiści, nic od niego nie chcą, niczego nie żądają, tylko dążą do jednego celu: zniszczyć! Działają dla zasady, bezinteresownie. Kiedy została otwarta pierwsza „Venus" i kiedy ustawiały się kolejki od ulicy Stolarskiej (tam się mieściła ekspozycja) aż do Małego Rynku, rzucono hasło: Klimczak na latarnię!

NAGONKA TRWAŁA DŁUGO:

brali w niej udział nie tylko dewotki, kler i zawistnicy, ale i przedstawiciele ówczesnego Wydziału Kultury w Krakowie, którzy tyle znali się na sztuce, by odróżnić sztukamięs od tramwaju.

Na dobrą sprawę „Venus" uratowali dziennikarze. Niemal całe polskie dziennikarstwo stanęło w jej obronie, najlepsze pióra przyszły w sukurs ośmieszając współczesną dulszczyznę, wykpiwając ciemnotę i kołtuństwo.

Dziś prezes Władysław Klimczak może powiedzieć, że w końcu odniósł sukces. „Venus" zyskała międzynarodową renomę, w kraju nikt już nie chce jej inicjatora kamienować, miasto pośpieszyło nawet z przydziałem nowego lokalu, poszły w świat zaproszenia dla autorów, by nadsyłali swoje prace na kolejną, już 18 „Venus"... Tylko jeszcze od czasu do czasu listonosz przynosi tego rodzaju pasztet: list jak list, ale już adres mówi sam za siebie. *„Venus 86. Król Erotomanów i Ekshibicjonistów. Chory umysłowo 'Klimczak".* To adres. Teraz treść:

„Fotografie! Prostaku! Nędzny Klimczak! Erotomanie! Psychopato! Specjalisto od dziwek — prostytutek! Królu prostytutek! Niepotrzebnie się urodziłeś! Byłeś nędznym fotografem, a teraz zrobiłeś grube miliony na demoralizacji narodu polskiego i dzieci i młodzieży. Ekshibicjonisto! Kto ciebie popiera? Tacy sami jak ty potworze zboczony. Porządni i szlachetni ludzie mają w d.. ciebie i twoje wystawy z dziwkami bezwstydnymi. Porządni i szlachetni ludzie pogardzają tobą, tym gnojem, którym ty się zajmujesz. Powinieneś dostać dożywocie za demoralizację. To na pewno ty kradniesz ten swój gnój i sprzedajesz za grube dolary kapitalistom, a potem pozorujesz kradzież. Chory umysłowo! Musimy posłać po ciebie komisję nikt i milicja powinna zająć się tobą. Ty bezbożniku! Gdybyś był katolikiem, to znałbyś słowa Jezusa Chrystusa; Kto by zaś zgorszył jedno z tych maluczkich, które wierzą we mnie, takiemu należałoby zawiesić kamień młyński u szyi jego i zatopić na pełnym morzu! Tak powinno się z tobą postąpić ty zero umysłowe które ma ciało, lecz rozumu i duszy nie posiadasz! Co można wymagać od zera umysłowego? Rozpustnika bez charakteru i moralności? Tylko kamień młyński zawieś sobie na szyi i utop się sam. Lecz się Klimczak bo czeka ciebie obłęd erotyczny i skończysz w Kobierzynie. Czego ci życzymy jak najprędzej. Żydzie, ty ludzka kreaturo, pogardzamy tobą, tymi zdjęciami prostytutek. Ty nie jesteś Polakiem!".

Prezes chowa list do swoich zbiorów. Ma ich sporo, kilka teczek, a każdy aż zieje nienawiścią. To są ci jego wrogowie, których autentycznie kocha.

A salon „Venus" trwa nadal.

Z rynku

ODWIEDZAJCIE „MAGDĘ" — dla zdrowia. Jak dotąd, niewiele klientów wie, że w supersamie spożywczym „Magda" na rogu ul. Piotrkowskiej i Jaracza urządzono nowe stoisko, gdzie w ciągłej sprzedaży znajdują się — polecane przez wielu lekarzy i często bezskutecznie poszukiwane w innych sklepach — pszczele specjały: ziołomiody w co najmniej sześciu odmianach, pszczele mleczko, propolis (kit pszczeli), cukierki z pyłku kwiatowego i inne tego rodzaju wzmacniające i uodporniające, naturalne produkty. Niektóre z nich można dostać niekiedy także w innych sklepach, ale w „Magdzie" wybór jest największy. Stoisko zaopatruje Spółdzielnia Pszczelarzy „Barć".

ZLIKWIDOWANE ZOSTAŁO stoisko patronackie firmy „Sofix" w DH Juwentus, gdzie w bardzo dobre obuwie typu sportowego — całoroczne — zaopatrywali się nie tylko młodzi klienci. Przedstawiciel firmy, mieszczącej się w Radomiu, poinformował, że nie przewiduje się otwarcia nowego sklepu lub stoiska w Łodzi, ponieważ byłyby trudności z jego właściwym zaopatrzeniem w pełny asortyment produkcji. Nie ma natomiast przeszkód, aby umowy z firmą podpisali w odpowiednim czasie łódzcy handlowcy. O „sofixy" ubiegają się i zwiększają zamówienia handlowcy z Warszawy, Gdańska, Wrocławia i innych dużych ośrodków miejskich, natomiast handel łódzki, jak dotąd, nie był zainteresowany zakupem tych poszukiwanych butów, a szkoda.

WZROSŁY CENY na mięso, sprzedawane przez rolników indywidualnych w halach przy Placu Barlickiego. Mimo mrozu zaopatrzenie jest tu całkiem niezłe, towaru wystarcza dla wszystkich, choć przed stoiskami ustawiają się kilkunastoosobowe kolejki — zjawisko rzadko na targowiskach spotykane. O ile jeszcze w grudniu prawie zawsze można było potargować się ze sprzedającymi i uzyskać, choćby niewielkie, obniżenie ceny — obecnie nie ma o tym mowy. Zarówno kolejki, jak i wyższe ceny są niewątpliwie wynikiem znacznie gorszego zaopatrzenia państwowych sklepów mięsnych. Wędliny (poza najwyższymi gatunkami) można kupić — natomiast dostawy mięsa są za małe i bardzo ubogie pod względem asortymentu.

LEPIEJ U NAS niż w Warszawie, gdzie ostra zima spowodowała ogołocenie sklepowych wieszaków z kożuchów i futer. W łódzkich sklepach te najcieplejsze okrycia dostać jeszcze można, choć wybór jest niezbyt duży, zwłaszcza futer ze skór szlachetnych. Kolejne dostawy, jakie wkrótce trafią do łódzkich sklepów, również nie są wielkie. W tej sytuacji nie należy oczekiwać obniżenia ceny na tę grupę wyrobów — chociaż zostały one niedawno skreślone z listy towarów luksusowych, a tym samym z kalkulacji kosztów ubył „podatek od luksusu" — jeden z czynników wpływających na wysokość ceny. Tymczasem w dostawach pojawiają się nowe fasony futerek, zwłaszcza z nutrii, atrakcyjne co prawda, ale jeszcze droższe.

CORAZ DROŻSZE są warzywa i owoce — średniej urody jabłka kosztują 100 i więcej zł, marchew, kapusta i inne warzywa osiągnęły ceny odpowiednie raczej na przednówek, gdy kończą się już zapasy. Podaż warzyw jest niewielka, ale mróz nieco zelżał i prawdopodobnie wkrótce będzie można sięgnąć do kopców. Zaopatrzenie powinno się więc poprawić, co — miejmy nadzieję — przywróci rozsądny poziom cen na targu i w prywatnych kioskach.

TYLKO SZNURÓW i przedłużaczy z pewnością nie zabraknie w sklepach ze zmechanizowanym sprzętem gospodarstwa domowego. W pralki, maszyny do szycia, lodówki itp. sprzęt będziemy się zaopatrywać bez trudności, ale... jeszcze nie w tym roku. Obecnie w niektórych sklepach znajdują się automaty pralnicze (które słusznie zostały niedawno skreślone z listy towarów dostępnych na kredyty MM) produkcji radzieckiej, można znaleźć także lodówkę a nawet maszynę do szycia. Są to jednak resztki dostaw z końca ubiegłego roku. Wielkość przydziałów na I kwartał br. nie jest jeszcze znana — choć oczywiście pewne ilości rozmaitych poszukiwanych sprzętów trafią do Łodzi.

ZABAWNY I ŁADNY drobiazg można kupić w niektórych sklepach z naczyniami — porcelanowe filiżanki do herbaty z podstawką i... pokrywką. Filiżanki, produkcji koreańskiej, kosztują tylko 170 zł i znakomicie nadają się na drobny upominek, a także chyba do własnego użytku. Spróbować warto — Koreańczycy przecież lepiej niż my wiedzą, w jakich naczyniach herbata najlepiej smakuje.

PO REMONCIE otwarty został bar cukierniczy „Katarzynka" przy ul. Narutowicza. Wnętrze nie zyskało, co prawda, na urodzie, ale wybór smacznych ciast jest spory. Szkoda tylko, że nie ma wśród nich sernika kasztelańskiego — jednego z najlepszych państwowych wypieków.

PIERWSZY ŁÓDZKI salon telewizyjny przestał istnieć. W lokalu, gdzie się mieścił, przy ul. Piotrkowskiej trwają prace remontowe. Co będzie się tam mieścić na razie nie wiadomo.

AGATA

ze str. 1

barwach. Na estradzie stoją trzy grube nadpalone świece, a niżej czarne pianino. Akcesoria sugerują, że w razie czego można zapalić świece i zagrać marsza żałobnego na

POCHÓWEK GMINY

Ale na ceremonie pogrzebowe jeszcze się nie zanosi, ponieważ porządek obrad jest bogaty i dopiero punkt szósty przeznacza się na konsultację w sprawie przyłączenia do Pabianic. Z sali pada, żeby ten punkt przenieść na początek, ale wniosek nie zyskuje aprobaty prezydium. Rozpoczynają się więc sprawozdania rad sołeckich, komisji rewizyjnej, jednostek obsługujących rolnictwo oraz wyjaśnienia naczelnika gminy. Nie jest to frapujący punkt programu, jeśli więc czasem rozlegną się brawka, to tylko dla rozgrzewki. Jednakże na samym wstępie sala ożywiła się na moment, gdy przedstawicielka rady sołeckiej kolonii

Konsultacja z emocjami

Wola Zaradzyńska oświadcza, iż po zasięgnięciu opinii mieszkańców rada nie widzi potrzeby przyłączenia do Pabianic.

W trakcie nudnawej procedury sprawozdawczej na salę przybył wiceprezydent Pabianic, Andrzej Cymerman, którego zamiast owacji spotkała przyjemność wciśnięcia się za stół i zajęcia miejsca na z trudem znalezionym dla niego drewnianym krzesełku z naderwanym oparciem. Wiceprezydent usiadł na wprost waszego reportera, który jak zwykle się nie ujawnił, tym bardziej, że spoczywał zziębnięty w wyścielanym krześle kinowym, ale mógł za to obserwować z bliska reakcje wiceprezydenta na wystąpienia ludu. Wkrótce jednak okazało się, że gmina Pabianice jest nie tylko bogata, ale i gościnna. Otóż panie zaserwowały wszystkim zebranym gorącą herbatę. Jeżeli jest w Polsce taki lokal gastronomiczny, gdzie w ciągu 10 minut podaje się ponad 200 szklanek osłodzonej herbaty, to wasz reporter gotów jest zgolić resztki swej bujnej czupryny.

Zrobiło się cieplej, mieszkańcom przypomniano, że Pabianice od dziesiątków lat nie były powiększane, w związku z czym Ksawerów i okolice mają się wypowiedzieć, czy chcą powiększyć to miasto, czy też nie. Na to ze stojącej pod ścianą galerii odezwał się długowłosy brunet, który stwierdził schrypniętym basem, że konsultacji nie będzie, ponieważ nie złożyły jeszcze sprawozdań SKR i Spółdzielnia Mleczarska. I dopiero, gdy wyjaśniono mu, że te jednostki rozliczą się na własnych zebraniach, mogły paść

PIERWSZE GŁOSY

Geodeta zastanawiał się, czemu to Ksawerów, który był do 1978 roku gminą, ma należeć do Pabianic.

— *A czemu nie do Rzgowa lub Łodzi? Bo co nam da miasto?* — pytał i sam sobie odpowiedział: — *Nic! Sami sobie zakładamy gaz, więc i problem kanalizacji niestraszny, a strefa miejska to wyższe podatki. A ile będzie kosztować zmiana nazw ulic i numeracji! Jeśli zakłady pracy bezpłatnie odśnieżają w Ksawerowie ulice, to miasto tego nie zrobi, bo samo nie może sobie poradzić ze swoimi ulicami.*

Stary, siwowłosy człowiek wyrąbał wprost, że w Pabianicach nie ma cudów, jest za to bałagan i sitwa, które mogą zniszczyć piękne ksawerowskie drogi. W byłej wsi Karniszewice na terenie Pabianic jest kawałek asfaltu, bo tam się urodził były prezydent, a reszta to polna droga...

— *Macie piękne drogi* — wtrącił z uśmiechem Andrzej Cymerman — *bo macie dobrego naczelnika, który mieszka w Ksawerowie.*

— *Zróbcie porządek w Pabianicach* — dokończył dyskutant — *a my zobaczymy, czy do was przyjść.*

Brawa!

— *Dzieci i młodzież korzystają z łódzkich szkół, społeczeństwo z lecznictwa i jednostek specjalistycznych w Łodzi* — perorował inny — *więc nam lepiej należeć do Łodzi.*

— *Nie chcemy do Łodzi ani do Pabianic!* — wrzaśnięto z sali.

Człowiek w okularach krzyczał, że chce się rozebrać Ksawerów i zbudować bloki.

— *Proszę bardzo, niech sobie Pabianice rosną, ale na swoim!*

Łysawy obywatel w płaszczu z szerokimi klapami spytał głosem tragika:

— *Na co Ksawerów potrzebny Pabianicom? Żeby Wydział Zatrudnienia nie pozwalał przenosić się do pracy w Łodzi, bo w Pabianicach brakuje ludzi?*

Reporterowi spodobała się reakcja wiceprezydenta. Obrażono go, miał więc prawo się zdenerwować. Mówił ze swadą, ale głosem opanowanym, a jego

PIERWSZA ODPOWIEDŹ

brzmiała następująco:

— *To nie Pabianice wymyśliły to przyłączenie, lecz Łódź zainspirowana przez Warszawę. Żeby bowiem uregulować granice między województwami, trzeba wpierw zrobić porządek wewnątrz województwa.*

Gdyby w Ksawerowie kursowały miejskie autobusy z biletami po 6 zł w strefie miejskiej, te ulice odśnieżałoby miasto, zaś ulice bez autobusów — zakłady pracy, czyli niewiele by się zmieniło.

Gazociąg jest kosztowną inwestycją, którą musiałby ktoś zrefundować. A Ksawerów musi korzystać z dwóch pabianickich podstacji.

W założeniach nie ma mowy o przyłączeniu do Łodzi, ale jeśli Ksawerów chce tego, to proszę bardzo — ciągnął wiceprezydent. — *Niech was Łódź podłączy do wodociągu Sulejów-Pilica. Po co mamy dawać wam nasze ujęcia wodne, kiedy nam także brakuje wody? Niech dzielnica Górna wjedzie tu z wielkomiejskim budownictwem i zmiecie Ksawerów z powierzchni ziemi. Gdyby zaś w Pabianicach powstało wielorodzinne osiedle Duży Skręt, to zmartwienie z kanalizacją spadłoby na miasto i wówczas, gdyby doń należała Dąbrowa z Ksawerowem, skorzystałyby na tym. Bo w Ksawerowie niczego by nie burzono, żadnej rewolucji w budownictwie. Plan zagospodarowania przestrzennego bez zmian, za to rozwój budownictwa jednorodzinnego. Bez zmian w nazewnictwie i numeracji, podobnie jak to było z włączeniem Kolumny do Łasku. A z waszych podatków* — mówił A. Cymerman — *odkładałby się fundusz na samorząd osiedlowy, jak to jest w osiedlach powstałych we wsiach Jutrzkowice i Karniszewice, wchłoniętych wcześniej przez miasto.*

Pytanie jednak, czy miasto chce wziąć sobie to zmartwienie na głowę. Zapytajcie więc raczej, czy my was chcemy. Proszę bardzo, my nie mamy nic przeciwko temu. Ale jeśli nie chcecie, to Bóg z wami. Ja też nie muszę wywozić śmieci z Ksawerowa, bo mam z tym dość kłopotów w mieście. Robiłem to na prośbę waszego naczelnika, ale teraz będę musiał ograniczyć wywóz śmieci.

No i teraz w tym wyziębionym Domu Ludowym zrobiło się prawie gorąco. Bo teraz z kolei

KSAWERÓW POCZUŁ SIĘ OBRAŻONY

Najpierw rozległy się protesty, żeby pan Cymerman nikogo nie straszył i nie szantażował, bo tym Ksawerowa nie kupi. Wasz reporter słuchał i własnym uszom nie wierzył. Z sali bowiem krzyczano jak podczas wolnej elekcji. Nie, tylko liberum veto!

— *My chcemy być samodzielną gminą!*
— *Tak jest! Odłączyć się od gminy Pabianice!*

— *W mieście nie zyskamy, tylko stracimy!*

— *Zaczęliśmy gazociąg, to wodę i kanalizację też sami zrobimy! Tylko dajcie nam sprzęt i pieniądze!*

— *Jeśli Ksawerów już taki miejski, to niech naczelnik Krata zostanie naczelnikiem miasta!*

Gromki wybuch śmiechu rozładował nieco atmosferę. Przedstawiciel PRON, a zarazem GK ZSL, powiedział, że miasta mają ogromny apetyt na ziemię, czemu komisje wspólne PZPR i ZSL są przeciwne, bo wkrótce nie będzie miał kto zaopatrywać Łodzi w żywność. Po przyłączeniu do Pabianic nauczyciele stracą średnio po 4,5 tysiąca na pensji, a rzemiosło przestanie oddziaływać technicznie na środowisko wiejskie. Dajcie nam pieniądze, to sami wszystko zrobimy, rozwiążemy też problemy komunalne, z którymi miasto nie może sobie poradzić. Nie chcemy, aby zniknęła silna gmina, w której z kilkunastu tysięcy zostanie 5 tys. mieszkańców. Stanowimy liczący się aktyw, ale to wszystko się rozejdzie...

Mieszkaniec kolonii Wola Zaradzyńska stwierdził, że mają jakie takie oświetlenie i dobre drogi, toteż z bólem serca przyjęli wiadomość o przyłączeniu do Pabianic. Nie chcą, aby tak jak w Pabianicach, powstawały zakłady przemysłowe na żyznej ziemi. Tereny wiejskie są intensywnie zagospodarowywane, jeśli nie ma rolnictwa, to jest ogrodnictwo stanowiące zielone zagłębie dla Łodzi i Pabianic, należy więc tak się dogadać, aby wilk był syty i owca cała.

Radna z Ksawerowa wypowiedziała się jednoznacznie przeciwko przyłączeniu. Pabianice mogą wejść z budownictwem mieszkaniowym na Nową Wolę, gdzie są same piaski, a nieczystości czyli fekalia, będzie wywozić z sołectw SKR za opłatą pobieraną od rolników.

Przedstawiciel Dąbrowy stwierdził, że oni są przeciwko przyłączeniu, ale mają prośbę, aby miasto i gmina dokończyły wspólnie asfaltowania ulicy Widzewskiej.

I sekretarz KG PZPR, Stefan Marchewka, oświadczył, że gmina zawsze dobrze współżyła z Pabianicami, nie należy więc mówić agresywnie i obrażać się, tylko podtrzymywać te dobre stosunki. Bo teraz młodzież będzie przyjeżdżać do Ksawerowa, gdzie powstaje szkoła marzeń, w której on jako nauczyciel chciałby popracować, ale nie ma już szans. A w Pabianicach nie ma zachłanności na Ksawerów, jest jedna Polska, nieważne więc, czy będzie naczelnik czy prezydent. O tym zaś, jak będzie, zadecyduje wola ludu, licząca się od czterdziestu lat...

Z sali padło, że przez te czterdzieści lat niczego dobrego z woli ludu nie zrobiono w tym kraju. Tow. Marchewka zamilkł i usiadł z wrażenia. Ktoś spytał, czy on się obraził.

— *Nie.* — odparł Marchewka — *ale ja przed czterdziestu laty przekraczałem Bug, wracając jako dziecko do kraju. Żyłem w biedzie, byłem pastuchem, widziałem wokół nędzę i zniszczenia, a teraz widzę, jak się to zmieniło, toteż w głowie mi się nie mieści, że ktoś może być taki ślepy i ograniczony...*

Przez salę przeleciał trudny do określenia szmerek i ta konsultacja z emocjami jakby przygasła. Wtedy padła

DRUGA ODPOWIEDŹ

wiceprezydenta Andrzeja Cymermana. Oznajmił on taktownie, że choć sam został bezpodstawnie zaatakowany, nie zamierzał nikogo obrażać. Jeśli ktoś jednak poczuł się dotknięty, to serdecznie przeprasza, gdyż nie zamierzał również nikogo straszyć ograniczeniem wywózki śmieci. Wiceprezydent jest organem założycielskim dla RPGKiM, ale przedsiębiorstwo jest samodzielne i samofinansujące się. Zrezygnowało już z wywózki śmieci z odległego Konstantynowa, żeby uniknąć strat, może więc także zrezygnować z obsługi terenu Ksawerowa.

Osiedle wielorodzinne Duży Skręt musi mieć pełne uzbrojenie, trzeba więc zaplanować między innymi i odpowiedni kolektor, który mógłby służyć kiedyś także Ksawerowowi. Planowanie wymaga więc pewności, czy Ksawerów będzie należał do Pabianic.

— *Mieszkańcy Ksawerowa* — ciągnął Cymerman — *zapominają pod wpływem emocji, że już dziś korzystają z pabianickich telefonów, lekarzy, karetek pogotowia, z usług zakładu energetycznego, z gazu w butlach, szkół, z zakładów pracy czy też tej nieszczęsnej wywózki śmieci. Poza tym wiele instytucji państwowych i spółdzielczych obsługuje zarówno miasto, jak i gminę.*

— *Wiele nas łączy* — stwierdził na zakończenie — *i nie należy tego psuć. Miasto nie może zapewnić Ksawerowowi luksusów i wszelkich udogodnień za miesiąc lub za rok, gdyż byłoby to nierealne. Niech więc Ksawerów sam decyduje o swojej przyszłości.*

Po tym wystąpieniu mogło się wreszcie odbyć

GŁOSOWANIE

Kiedy prowadząca zebranie zapytała, kto jest za, podniósł się las rąk i wynikła z tego konsternacja. Ktoś tam krzyczał, czy to za Łodzią, drugi czy za gminą, czy też za Pabianicami. Ustalono więc, że najpierw podniosą ręce ci, co są za przyłączeniem do Pabianic. Protokolantki liczyły trzykrotnie i ustaliły, że za Pabianicami są trzy osoby.

Następnie ujawniły się osoby, którym jest to wszystko obojętne, to znaczy takie, co wstrzymują się od głosu. Było ich dziesięć.

Teraz należało obliczyć, kto jest przeciwny włączeniu do Pabianic. Znowu wyrósł las rąk, ale na szczęście ktoś wpadł na myśl, że zamiast liczyć przez kwadrans te wyciągnięte ręce, lepiej zajrzeć do podpisanych przez mieszkańców w przedsionku list obecności. Ponieważ były na nich 173 nazwiska, wyszło, że za pozostaniem w gminie głosuje 160 osób.

173 przedstawicieli wypowiedziało się w imieniu 6,5 tys. mieszkańców. Gdyby zorganizowano referendum, wynik zapewne byłby ten sam.

Nie zapalono więc świec ani nie zagrano na pianinie marsza żałobnego na pochówek gminie. Ksawerów w demokratycznej konsultacji powiedział „nie", toteż sprawa winna być w zasadzie przesądzona. Teraz Rada Narodowa Miasta Łodzi będzie mieć ciężki orzech do zgryzienia. W kwietniu lub maju musi podjąć trudną, rozsądną, sprawiedliwą decyzję.

RYSZARD BINKOWSKI

Mijają etapy, a „Karuzela" kręci się

Wokół sama konkurencja

„Karuzeli" stuknęła trzydziestka! W życiu mężczyzny to niemal próg młodości, w życiu kobiety? — Nieważne, coś między wczesnym dzieciństwem a maturą. W życiu pisma... szmat czasu. W życiu pisma satyrycznego? Epoka! Co ja mówię... ze trzy, cztery epoki! Bo nic nie jest tak wieczne, jak humor i nic nie jest tak ulotne jak żart. *„Epoki przemijały, a „Karuzela" trwała"* — chciałoby się krzyknąć, gdyby nie taki drobiazg, że karuzela raczej się kręci niż „trwa" i gdyby ten okrzyk nie był nieco kabotyński...

Ponieważ jednak nic nie powstaje z niczego, nawet Feniks (fabryka pończoch w Łodzi, jeśli ktoś nie wie) powstał z popiołów, a nie z próżni, to i „Karuzela" miała protoplastę — nazywała się „Rewia". Pod tą frywolną nazwą, kojarzącą się z damskimi nóżkami, piórami w tyleczkach i niebotycznymi schodami kryło się wydawnictwo... Wydziału Propagandy KŁ PZPR. Takie były czasy! Gdzieś około roku 1956 mieliśmy takie nastroje, że nawet propagandę przedwyborczą chcieliśmy robić na wesoło... No i paru grafików, dziennikarzy z gazet i radia robiło tę propagandę. Jakoś im to zostało i 17 stycznia 1957 roku wyszło łódzkie pismo satyryczne, po raz pierwszy pod tytułem „Karuzela" właśnie.

Szczerze mówiąc, nikt nie wróżył mu długiego życia. *„Pismo satyryczne w Łodzi? To się nie przyjmie.. A i kto ma je robić? Gdzie te Gogole, gdzie te Szczedriny? Prowizorka, jakaś, ot co".* I tak zostało do dziś, nie po raz pierwszy okazało się, że nic na rzeczy trwalszych niż prowizorka.

Pierwszy numer „Karuzeli" był życzliwie zrecenzowany w „Przekroju". Rzadki to przypadek reklamy z zewnątrz — na ogół „Karuzela" reklamuje się sama. W „Przekroju" napisano wówczas, że w „Karuzeli" były dwa dobre dowcipy, co jest ze strony redakcji rozrzutnością — jeden dobry dowcip w numerze zupełnie wystarczy, żeby uznać pismo satyryczne za udane. Z „Przekrojem" łączy „Karuzelę" do dziś pewna wspólna cecha — o obydwu tytułach mówi się, że są coraz gorsze...

— *„Karuzela" się psuje* — mówi czytelnik i... kupuje następny numer. Jeśli już o czytelnikach mowa, to niemal od zarania „Karuzela" nie miała kłopotów nakładowych: w roku 1957 wychodziła w 333 tys. egzemplarzy, od roku 1975 już w średnim nakładzie 520 tys. „w porywach" do 750 tysięcy! Zupełnie serio przymierzała się do miliona. To nie żarty, wyższe nakłady mają tylko dwa pisma o takim profilu: moskiewski „Krokodyl" i kijowski „Pereć". Jak by na to nie patrzeć, trzecie miejsce w świecie, brązowy medal.

Pierwszym redaktorem naczelnym „Karuzeli" był niezapomniany Leopold Beck — animator, spiritus movens całego — nie da się ukryć, że ryzykownego — przedsięwzięcia. Warszawianin z urodzenia, wiedeńczyk z zamiłowania (wiele lat pracował w Wiedniu) — wreszcie łodzianin z wyboru i historycznej konieczności. Był postacią co się zowie barwną i soczystą, autor i bohater nieskończonej ilości anegdot mniej lub bardziej autentycznych. Kręcił „Karuzelą" przez pierwszych dziesięć lat jej istnienia.

Po Leopoldzie Becku nastała długa, dwudziestoletnia era Wojciecha Drygasa — świetnego satyryka, człowieka — jak przystało na szefa humorystycznego pisma — pogodnego i wiecznie uśmiechniętego, czym niewątpliwie różnił się od poprzednika, znanego z ciętego i — bywało — złośliwego języka. Pan Wojciech przeszło rok temu opuścił pismo udając się „na zasłużony odpoczynek". Jaki tam odpoczynek — wiadomo, że coś skrobie pracowicie, jakąś większą formę. Nareszcie ma czas i spokój, wyzwolony od codziennego kieratu (pardon, karuzeli).

Podobno Winston Churchill mawiał, że wojna jest rzeczą zbyt poważną, żeby ją powierzać generałom. W myśl takiej maksymy władze powierzyły fotel naczelnego redaktorowi Henrykowi Pawlakowi, który wprawdzie jest znanym i cenionym publicystą i doświadczonym szefem, ale z satyrą dotąd raczej nic nie miał wspólnego (co nie znaczy, żeby był pozbawiony poczucia humoru). Nie wiem, czy Henryk Pawlak dopasował się do zespołu czy zespół do Pawlaka, ale symbioza wydaje się osiągnięta i efekty nie najgorsze.

Oddajmy zresztą w tej sprawie głos Karolowi Badziakowi, jedynemu „szeregowcowi" w zespole — wszyscy inni to naczelni, zastępcy, sekretarze, kierownicy. (Karol Badziak, jedyny „niefunkcyjny" przypomina trochę szeregowca Nemeczka z powieści „Chłopcy z Placu Broni"). W łódzkim informatorze kulturalnym „Kalejdoskop" Karol Badziak tak scharakteryzował swego nowego szefa:

„...Jest to szef odpowiedzialny, szczególnie za słowo drukowane, zdyscyplinowany, dowcipów (antypaństwowych) nie lubi a żarty tylko poważne. Mark Twain mógłby mu buty czyścić a Kaczmarek, Niedzielski, Smoleń i Laskowik baldachim powinni nad nim nosić, zaś Jan Pietrzak na wszelki wypadek z tyłu, za nim, kapelusz i parasol...".

Jeśli nawet Karol Badziak przesadził nieco (wiadomo, podwładny pisze o szefie) to i tak *„słowo się rzekło"*, tekst poszedł w Polskę (przynajmniej centralną) i przyszły historyk polskiej prasy satyrycznej musi wziąć tę opinię pod uwagę.

Sam Henryk Pawlak, zdaje się, przestał się już dziwić co rano *(„Co ja tu robię?")* i poczyna sobie coraz śmielej. Powiedział mi, iż niesłychanie krzepiąca jest świadomość, że jego poprzednicy tak długo na tym stołku utrzymali się. Jest to zatem — wbrew pozorom — zdrowa posada — powiada pan Henryk, choć także ma w pamięci pewną maksymę, często powtarzaną przez jego zastępcę, Bohdana Piątkowskiego. Piątkowski zwykł mawiać, że *„satyra jest bronią bardzo niebezpieczną... zwłaszcza dla satyryków"*.

Bohdanowi Piątkowskiemu można wierzyć: długoletni sekretarz redakcji „Karuzeli", od roku zastępca naczelnego jest jednym z niewielu ludzi w Polsce, a pewnie i nie tylko w Polsce, którzy zrobili doktorat z... humoru! Nie jest to żaden dowcip w rodzaju *„doktor humoris causa"*. Piątkowski naprawdę obronił na uniwersytecie pracę doktorską, której przedmiotem był humor. Ma zatem „Karuzela" wysoko kwalifikowanego teoretyka, co zapewnia pismu poziom. Jeśli nie artystyczny, to na pewno naukowy...

Opowiadano mi w redakcji, że przed laty, kiedy wyraźnie wykrystalizowała się formuła *„Karuzela" pismem dla wszystkich!"* jednym z głównych zmartwień kolegium, dopuszczającego do druku tekstu i rysunki, była komunikatywność tych utworów. Za konsultanta, w przypadkach spornych i niejednoznacznych „robił"... redakcyjny goniec. Jeśli tekst czy utwór graficzny był dla niego zrozumiały i śmieszył go, kolegium rzecz dawało do druku. Nie udało się ustalić, czy goniec brał wówczas jakiś specjalny dodatek z racji pełnienia funkcji ucieleśnionego vox populi.

Łamy „Karuzeli" pełne są pseudonimów. Jednak nawet z okazji jubileuszu, nawet na mój prywatny użytek koledzy z redakcji nie chcieli ujawnić ani jednego. Zapewnili mnie tylko, że w ogromnej większości nie są to zawodowi satyrycy, wprost przeciwnie, reprezentanci ogromnie „sierioznych" zawodów — poważni publicyści, naukowcy itd. Co ich pcha do sięgania po pióro satyryka i kaduceusz? Nie wiadomo.

Najwierniejszym i najbardziej stałym współpracownikiem pisma jest tzw. „samo życie". Żaden satyryk, żaden — najzdolniejszy choćby — pisarz science fiction nie jest w stanie wymyślić takich piramidalnych, fantastycznych historii, jak zwykły zbieg okoliczności albo... urzędnik, wymyślający nowy przepis czy formułujący urzędowe pismo.

Najbardziej zapracowanym współpracownikiem „Karuzeli" jest niewątpliwie listonosz. Myślę, że poza „Trybuną Ludu", „Przyjaciółką" i paroma innymi centralnymi pismami „Karuzela" jest swego rodzaju rekordzistą w dziedzinie obciążania Poczty Polskiej. Ludzie listy piszą najróżniejsze... Najczęściej występują w roli doradców i współredaktorów. Redakcja bardzo sobie ceni te listy, w których wskazuje się najróżniejsze dziwactwa i anomalia naszego pięknego kraju, w których wyraża się najróżniejsze propozycje i prośby. Mniej jest listów interwencyjnych. Chyba że korespondent załamał się już zupełnie, żadna instancja mu nie może pomóc, zaplątany jest w sieć przepisów i innych biurokratycznych absurdów. Chwyte wówczas za pióro i prosi „Karuzelę", żeby wyśmiała! A redakcja wyśmiewa... Bohdan Piątkowski twierdzi, że jest to proces podobny do rytuału niektórych pierwotnych plemion: kara wyśmiania należy często do kar najsurowszych i niejednokrotnie jest tak odbierana przez winnego, że popełnia on samobójstwo! Jak dotąd nie zdarzyło się jednak, żeby ktoś wyśmiany przez „Karuzelę" zatelefonował i powiedział: — *Wyśmialiście mnie, odebraliście cześć, no to cześć, wieszam się!*

Dużo częściej zdarza się, że wyśmiany przysyła groźne listy, pisze skargi do najwyższych czynników, grozi krwawą zemstą na tym padole albo jeszcze surowszą karą na drugim świecie!

O jednym z bardziej oryginalnych listów z ostatniego okresu opowiadał Henryk Pawlak: napisała do redakcji panienka, beznadziejnie zakochana w dwóch naraz młodzieżowych idolach rockowych, występujących zresztą w tym samym zespole. Korespondentka domaga się od redakcji, żeby rozstrzygnęła jej wysoce ambarasujący dylemat i wskazała, w którym z owych wspaniałych młodzieńców ulokować uczucia i serce zbolałe... Redaktor Pawlak zastanawia się, czy nie uruchomić w piśmie „kącika złamanych serc"?...

Tu złapałem go za słowo i powtórzyłem złośliwą opinię, że podobno w „Karuzeli" ma powstać kącik humoru?

Przez chwilę panowała konsternacja, ale z sytuacji wybrnął Bohdan Piątkowski: — *Być może jesteśmy za mało śmieszni* — powiedział — *ale rozejrzyj się wokół, jaka ogromna konkurencja!*

Szefem graficznym „Karuzeli" jest Stanisław Ibis-Gratkowski, najstarszy (stażem) karuzelowy kombatant, współtowarzysz bojów takich tuzów, jak Karol Baraniecki, Jerzy Jankowski, Józef Skonieczny, Halina Sibińska i całej masy współpracowników, Gratkowski od lat specjalizuje się w karykaturze — i co ważne — lubi karykaturować znaczące postacie, w tym również polityków. Jest autorem, być może pierwszej po październikowej odwilży, karykatury przywódcy: poszła na pierwszej kolumnie a przedstawiała samego Władysława Gomułkę... A potem był telefon z Warszawy (dziś już nikt nie pamięta, czy z KC czy z URM, w każdym razie „z wysoka"). Zażądano natychmiastowego przysłania pięćdziesięciu egzemplarzy. W redakcji jakby trochę się ochłodziło... ale na krótko — okazało się, że „góra" przyjęła karykaturę bardzo życzliwie.

Później poszło już gładko, dziś karykatura polityczna nawet jeśli przedstawia dostojnika państwowego, większych emocji nie budzi.

Ostatnie zdanie może czytelnik zweryfikować na jubileuszowej wystawie „Karuzeli" już za kilka dni. A skoro do jubileuszu znów wróciliśmy: — *Stu lat, drodzy koledzy, stu lat szczęśliwego i najweselszego kręcenia się, lepszego papieru, jeszcze lepszych pomysłów, wysokich honorariów i lawiny listów od czytelników i w ogóle, wszystkiego śmiesznego!*

ma zaszczyt życzyć,
z upoważnienia
zespołu „Odgłosów"

ANDRZEJ KAROLCZAK

Rys. Karol Baraniecki

Mówi: Adam Ochocki

— Panie Adamie, co to znaczy być dziennikarzem na emeryturze?

— W moim przypadku jest to większa praca niż dotychczas, bowiem gdy pracowałem w redakcji „Karuzeli" nie miałem czasu na pisanie obszerniejszych rzeczy. Na emeryturze jestem od 1973 r. i od tego czasu napisałem parę książek. I piszę kolejne.

— Przez wiele lat uprawiał pan satyrę. Czy ma pan poczucie, że pańskie teksty miały jakikolwiek wpływ na zmianę mentalności naszego społeczeństwa?

— Gdyby tak nie było, nie uprawiałbym satyry. Wydaje mi się, że każdy tekst satyryczny zawsze do kogoś trafi i odniesie jakiś pozytywny skutek.

— Przyzna pan, że satyra jest sprawą bardzo poważną...

— Niewątpliwie.

— ...sprawą bardzo serio. Może też dlatego w pismach satyrycznych jest tyle koturnowości, powagi, a przede wszystkim nudy. Czy nie sądzi pan, że należałoby w tych pismach wprowadzić kąciki humoru?

— Niegdyś proponowano to „Karuzeli", gdy jej poziom satyryczny bardzo się obniżył. Mnie się wydaje, że nastał regres, jeśli idzie o humor. Pisma satyryczne poszły za bardzo w kierunku powagi, a przecież czytelnik oczekuje od nich humoru. Połączenie humoru z satyrą jest sprawą najistotniejszą. Jest to pewien wentyl bezpieczeństwa dla zestresowanej współczesnej psychiki ludzkiej.

— Mówiliśmy o tym, że pisał pan teksty satyryczne. A czy nie tworzył pan tekstów w duchu fredrowskich poematów nieocenzuralnych?

— Nie. Jeśli chodzi o rzeczy nieocenzuralne, to zawsze zachwycałem się przekładem Juliana Tuwima poematu pt. „Łuka Modiszczew" zapomnianego dziś autora Barkowa. Ponadto zaczytywałem się nieocenzuralnymi poematami Jagosza, to jest Mieczysława Jagoszewskiego...

— Nieraz wypowiadał pan sądy na temat kobiet. Wynikało z nich, że płeć piękna odgrywała w pańskim życiu znaczącą rolę. Czy coś się zmieniło z chwilą, gdy stał się pan — powiedzmy to delikatnie — seniorem?

— Często znajomi zadają mi pytanie: jak to robię, że jestem pełen werwy i wigoru. Odpowiadam wtedy: robię to samo co wy, ale częściej. Myślę, że w tym wyznaniu jest także odpowiedź na pańskie pytanie. Oczywiście zdaję sobie sprawę z faktu, że z biegiem lat pogarsza się wzrok, niemniej te sprawy interesują mnie nadal.

— A więc lubi pan piękne kobiety?

— Lubiłem i lubię.

— I to pozwala zachować panu komfort psychiczny i zdrowie?

— Oczywiście. To jest naturalna siła napędowa.

— Pytam o to, bo sam zbliżam się nieuchronnie do takiego wieku...

— Będzie pan długo młody, panie Eugeniuszu, bo pan także zawsze lubił dziewczyny.

— Panie Adamie, czy poza kolekcjonowaniem Biletów Narodowego Banku Polskiego, ma pan jakieś inne hobby?

— Tak, od 1973 r. jestem namiętnym numizmatykiem!

— A więc jednak pieniądze!

— Zaczęło się od tego, że będąc w Australii z drużyną Legii otrzymałem tam monetę australijską sześciokątną. To mi się tak spodobało, że zacząłem zbierać monety. Już w samolocie, w drodze do Polski, dokonałem wymiany z Kazimierzem Deyną. Od tego też czasu jestem członkiem Polskiego Towarzystwa Archeologicznego i Numizmatycznego. Posiadam bardzo ładny zbiór, ale ze względu na bezpieczeństwo, nie ujawnię swego miejsca zamieszkania. Stare monety — to łakomy kąsek dla złodziei.

— Nieżyjący już kustosz Anatol Gupieniec wysoko cenił pańskie zainteresowania numizmatyczne...

— Zapewne była to z jego strony kurtuazja, bowiem zbyt późno zająłem się tą szlachetną pasją.

— Jaką najstarszą monetę posiada pan w swoich zbiorach?

— Najstarszy jest banknot: pierwsze polskie pieniądze papierowe z okresu Insurekcji Kościuszkowskiej z 1794 r. Do tego czasu były w Polsce monety metalowe: niklowe, żelazne, srebrne, złote. Kościuszko dla podreperowania skarbu państwa zarządził wydawanie Biletów Skarbowych. A ponieważ ludzie odnosili się do tego typu waluty podejrzliwie i niechętnie, każdy z banknotów był własnoręcznie podpisany przez dwóch przedstawicieli gildii kupieckiej. Mam takie Bilety Skarbowe o nominale 10, 25 i 50 zł.

— Stał się pan także swego rodzaju kronikarzem łódzkiego dziennikarstwa, tego sprzed wojny i tego powojennego. Znalazło to wyraz w pańskiej książce „Reporter przed konfesjonałem"...

— Dobrze, że pan to przypomniał. To dla mnie rzecz ważna, dlatego pragnę szerzej o tym powiedzieć. Otóż w 1980 r. wyszła wspomniana przez pana książka, której pełny tytuł brzmi: „Reporter przed konfesjonałem, czyli jak się przed wojną robiło gazetę". Opisałem w niej czasy przedwojenne. Obecnie w planach Wydawnictwa Łódzkiego na ten rok znajduje się drugi tom „Reportera" (wyjdzie on w jednym wolumenie z tomem pierwszym, tym z 1980 roku) noszący podtytuł „Pół wieku z piórem w ręku". Rzecz będzie pokaźna, około 30 arkuszy plus ilustracje.

— Co w niej będzie?

— W tej książce natrząsam się z..., boleję nad..., ujmuję się za..., ciskam gromy w..., nie mam litości dla..., sięgam do..., słowem piszę o...! A więc o czym piszę? O tym, jak w ciągu trzech nocy z Wackiem Drozdowskim napisaliśmy album „Wicek i Wacek", piszę o tym jak powstał serial „Zaczarowany ołówek", którego jestem autorem i współautorem 39 scenariuszy, o Ślepym Maksie i jego ferajnie, o mniej groźnych kolegach, o Czarnej Mańce, o dwóch byłych premierach, o moich dwóch eskapadach do Australii w 1956 r. na Olimpiadę w Melbourne i o tournée z Legią w 1973 r., o najpiękniejszej awanturnicy świata, o tym jak się robiło „Karuzelę" i codzienne gazety, o moich wzlotach, upadkach, wojażach lądem, wodą i w powietrzu...

— A czy będzie książka o kobietach? Pytam, bo uważam pana za fachowca w sprawach płci pięknej.

— Pan koniecznie chce mnie skłócić z moją żoną. Ale odpowiem: o samych kobietach — nie, ale są one w moich książkach. Wspominam m. in. tam o koleżance Irenie Weis, która jak ja nie miała pensji, choć oboje pracowaliśmy w redakcji. Była to naprawdę piękna kobieta, ale ja widziałem w niej przede wszystkim konkurentkę. Proszę pomyśleć: miałem wówczas jakieś osiemnaście lat i zamiast kobiety ciągle widziałem konkurentkę. Jak pan widzi, miałem także swoje wpadki.

— Panie Adamie, teraz, kiedy ma pan tyle czasu, należy odrobić straty spowodowane niedojrzałością osiemnastolatka...

— Nie uwierzy pan, ale dopiero teraz w pełni pojąłem i zrozumiałem słowo: platoniczność.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Dariusz Tomasz Lebioda

z descartesa

pole usychającej brzozy ranił cień kamiennego
krzyża rozpięte na nim ciało jaskierko
nazywał złym chrystusem

— przystawał pośrodku ramion narysowanych na
ziemi przez słońce i długo patrzył w górę —

w jego oczach — łagodna twarz w koronie z
drutu
kolczastego — powoli zmieniała się w chytrze
uśmiechniętą maskę szatana

przez jego ciało przechodził dreszcz nagły i
bolesny jak impuls elektryczny

gdyby jaskierko żył trochę dłużej może
przeczytałby w książce francuskiego
filozofa że twarz jezusa ludzie
ukształtowali na obraz i
podobieństwo samych
siebie

★ ☆ ★

w naddal przechodzi się przez ostrze horyzontu
gdy opada kurtyna dnia kiedy ostatnia wrona
wraca do gniazda

wystarczy tylko spojrzeć na granatowe lądy
chmur — rozmazane zatoki cumulusów wyspy
liliowozłotej mgły i stojące w zagłębieniach
ziemi kałuże krzepnącej krwi nocy

wystarczy tylko spojrzeć w gorące miedziane
lustra rzek spływające w blizny widnokręsu

★ ☆ ★

znaleźliśmy na polu usychającej brzozy
chorego jerzyka

szelota pobiegł do domu po gwoździe
i młotek

i przybiliśmy ptaka do krzyża
i patrzyliśmy jak zdycha

a razem z nami rozpięty na
wysokim drzewcu

patrzył pan nasz i odkupiciel
jezus chrystus

amen

★ ☆ ★

już kończy się lato ostatnie szpaki odlatują
w dal — pozostaną tylko wierne wrony wróble
kawki

już kończy się lato grabarze na polu usychającej
brzozy palą kupy zwiędłych kwiatów suchych
wieńców

już kończy się lato zieleń łagodnie przechodzi
w żółć
i brąz uczy wszystko dookoła jak należy umierać

już kończy się lato na głowę złego chrystusa
spadają
ciężkie nabrzmiałe sokami ziemi kosztany

już kończy się lato przybyło grobów sroczych
gniazd
na najwyższych topolach przybyło drzewom słoi

już kończy się lato pierwsze gawrony przylatują
ze wschodu — wraz z nimi pozostaną

wierne wrony wróble
kawki

z tomu „Pole umierającej kraski"

Antologia „momentów" w literaturze dawnych wieków

Tytuł tej książki — „Erotyzm w literaturze dawnych wieków" — brzmi zachęcająco dla różnych kręgów czytelników. Tyle tylko, że każdy z potencjalnych odbiorców czego innego po takim tytule oczekuje. Jeden, pamiętając o znakomitym eseju Denisa de Rougemonta „Miłość a świat kultury zachodniej" mógł się spodziewać jakby polskiej wersji tamtego mądrego i błyskotliwego ujęcia. Drugi, zainteresowany kulturą i historią obyczaju mógł pomyśleć, że znajdzie w książce Zdzisława Wróbla literacki obraz przemian i ewolucji tematu miłości. A ponieważ każda epoka po swojemu konwencjonalizowała ów temat zasadnie, można by przypuszczać, iż autor zechce może pokazać sposób tworzenia się konwencji, ich rozmaite, modelowe wersje w zależności od kręgów kulturowych, w których powstawały, a może także spróbuje je analitycznie porównać, wskaże interpretacyjne wnioski itd. itd. Nie były to oczekiwania wygórowane. Wydawca na okładce zamieszcza zdjęcie autora, refleksyjnie podpierającego głowę i pisze: „Książka o erotyzmie w literaturze wiąże się ze studiami autora na wydziale filologii romańskiej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, zakończonymi pracą „La pensée de Diderot" (Myśl Diderota) i ze studiami filologicznymi na Uniwersytecie w Tours, Perugii i The City of London College".

Ta nobliwa rekomendacja kłóci się nieco ze „spisem treści", do którego czytelnik zaglądnie wertując książkę zafrapowany jej tytułem. Wprawdzie nazwania rozdziałów — a to „Erotyczne opowieści ludów pierwotnych", „Indyjski erotyzm religijny", a to „Obyczajowe wyzwolenie ludzi renesansu" itp. współbrzmią jeszcze jako tako z tytułem książki, tak już szczegółowsze rozpisanie treści poszczególnych części rozprawy Z. Wróbla zaczyna zastanawiać: „Występny, długi członek", „Ośle amory", „Siła kobiecego pożądania", „Sposoby opanowania chuci" itp. Czymże więc jest „Erotyzm w literaturze dawnych wieków"?

Przeszło dziesięcioarkuszowa książka (s. 186) zawiera około sześciu tysięcy wersów, z czego prawie dwa tysiące, czyli jedna trzecia, to cytaty-wyjmki większych lub mniejszych fragmentów z książek, które na ogół są w Polsce znane, a które zawsze cieszyły się sławą dzieł „dla dorosłych", „pikantnych" bądź libertyńskich. Nie będę już wdawał się w rozważania skąd taka „sława" i jakie są jej kulturowe przyczyny. Zresztą autor poszerzył obszar bibliograficznej kwerendy i nie zapomniał ani o Bronisławie Malinowskiego „Życiu seksualnym dzikich", ani o Biblii, ani o arcydziełach literatury antycznej, ani o Diderocie (tu już nie interesowała go „la pensée" tego sławnego Francuza). Jak erotyzm to erotyzm! Nie można go przecież „ograniczać do książek, których głównym tematem jest miłość zmysłowa — objaśnia we wstępie Z. Wróbel. — Śmiałe, drastyczne sceny miłosne występują w wielu dziełach najwybitniejszych pisarzy; niektóre z nich staną się więc również tematem naszych rozważań, podobnie jak wysuwające się w pewnych okresach na plan pierwszy utwory reprezentujące nurt erotyki wysublimowanej, uduchowionej, poetyckiej" (s. 5).

Różny jest zatem sposób podejścia autora do tych dwu odmiennych sposobów ujmowania wątków erotycznych. To co „wysublimowane, uduchowione, poetyckie" istnieje w książce w streszczeniu, w omówieniu, w pośpiesznym skrócie. Natomiast to, co „drastyczne" i „śmiałe" Z. Wróbel cytuje in extenso nie roniąc żadnego przecinka i myślnika. A jeśli „śmiałość" opada (ten dwuznacznik jest tu całkiem przypadkowy!) autor cytat przerywa, „obojętny" fragment omawia własnymi słowami, aby nie nadużywać cierpliwości czytelnika, aż do momentu, kiedy znów „drastyczność" wzrasta i nadaje się do cytowania. Tak jest skonstruowana cała książka: streszczenie — cytat — streszczenie — cytat... no i tu i ówdzie dwa, trzy wersy informacji o autorze cytowanego utworu.

Dla kogo jest więc ta książka? Jaką wiedzę przynosi? Jak traktuje literaturę? Ponieważ łatwo na te pytania odpowiedzieć kończę tę recenzję bez wniosków. Te też są łatwe do sformułowania. Pozostaje tylko nie najradośniejsza świadomość, że 40 tysięcy egzemplarzy „Erotyzmu w literaturze dawnych wieków" zniknie z księgarń w ciągu kilkunastu minut i będzie czytanych zamiast Boccacia i Chaucera, Villona i Laclos, Fieldinga i Petrarki.

Zdzisław Wróbel, Erotyzm w literaturze dawnych wieków. KAW, Łódź 1986, nakł. 40 tys., cena 250 zł.

GRZEGORZ GAZDA

Wyjść poza margines

Twórca to jego dzieło, to czym nas zachwyca, zmusza do zastanowienia się nad szeregiem problemów poddawanych pod nasz osąd w wierszu, opowiadaniu, powieści, dramacie. Ograniczam się tu tylko do pisarzy, pisząc te słowa zainspirowany artykułem Marka Wawrzkiewicza pod nośnym tytułem „Wspaniała nędza poezji", jaki ukazał się w 46 (76) numerze tygodnika „Kultura". Dodam jeszcze, aby już wszystko było jasne, iż chodzi mi głównie o poezję i poetów.

1. To prawda, że większość spośród grona drukujących dziś wiersze na łamach czasopism a nawet nakładem wydawnictw, to ci, którzy potrafią pisać w sposób poetycki, a którzy nie są poetami. Gorzej, bo sami uważają się za poetów, poczynając szturm o stypendia, które otrzymują. Dzisiaj chętnie przyznaje się stypendia, chociażby po to, by na końcu roku oznajmić wszem i wobec jaką to dużą sumę przeznaczono na tak szczytny cel, co ma dobrze świadczyć o łaskawości mecenasa. Nikt więc nie może zarzucić, że w naszym kraju nie dba się o poetów, a jeśli stypendia otrzymali głównie ci, którzy są tylko na tyle inteligentni, by potrafić napisać w miarę poprawny wiersz, to przecież niczyja wina, bowiem kwestię, który spośród składających wnioski jest tym prawdziwym poetą, i tak rozstrzygnie Historia.

2. Zgadzam się, że jest u nas spora liczba dobrych, a nawet bardzo dobrych poetów, którzy posiadają w swoim dorobku już także wybory wierszy, ale ich nazwiska znane są tylko garstce krytyków i czytelników. Zapewne jest tak dlatego, że poeci owi nie potrafią być mecenasami własnej twórczości, bo jako ludzie uczciwi liczyli na uczciwe potraktowanie ich twórczego wysiłku, dostrzeżenie jego wartości. Ot, naiwniacy! Akapit ten powinienem był raczej zacząć do zdania: Jest spora w naszym kraju liczba dobrych, a nawet bardzo dobrych poetów, którzy są bezgranicznie samotni, i jeśli tworzą nadal, to świadczy ów fakt o prawdziwości ich talentu.

3. Poeta, jak każdy artysta, ma swoje gorsze okresy, a więc także takie, w których nic nie potrafi napisać. Jeśli jednak w tym czasie nie ma żadnej zadawnionej umowy wydawniczej, nie ma co liczyć choćby na stypendium, choć właśnie wtedy powinien je otrzymać, by zyskać czas i środki na dojście do siebie, odnalezienie zagubionej drogi. Są to bowiem okresy, które wymagają wielkiego samozaparcia. Wówczas to trzeba uczyć się więcej niż kiedykolwiek przedtem, bo przecież żadne studia nie robią z człowieka poety.

4. Dla wielu krytyków (obawiam się wprawdzie, że takich u nas już nie ma, za to jest cała masa recenzenciarzy), jeśli poeta porusza w swoich utworach problemy filozoficzne, jest od razu pseudofilozofem. Krytycy owi zapominają, że poezja filozofująca, intelektualna, ma swego nielichego prekursora na gruncie polskim, którym był Norwid — do dziś nie do końca odkryty, bowiem najmniej pośród krytyków jest Juliuszów Gomulickich, zaś najwięcej ludzi małostkowych i małodusznych, lub, co gorsza, erudytów języka a nie myśli. A tak, tak panowie krytycy, najczęściej bywacie krótkowidzami. Orzekł twórca „Fausta": „Kto chce zrozumieć poetę, musi pójść do jego kraju". Zaś dzisiejszy krytyk to przeważnie zarozumialec oczekujący, że poeta przyjdzie do niego i zapyta o jego kraj, by poznać gusta i upodobania gospodarza. Nic bardziej mylnego.

5. Poezja nie ma swoich czytelników. Dodajmy: poza nielicznymi wyjątkami, bo jednak wiele książek poetyckich, mimo znikomych nakładów (a może dlatego) znika z półek księgarskich. Ale i Adam Mickiewicz trafił pod strzechy dopiero wówczas, gdy rozpoczęto walkę z analfabetyzmem, tyle że na swoje nieszczęście stał się autorem, którego dzieła weszły do kanonu lektur obowiązujących. Jeśli się przy tym przypomni, jak przez swoich współczesnych został zignorowany (poza wspomnianym Norwidem) Juliusz Słowacki, uzyskujemy chyba w miarę pełny wymiar relacji poezja — społeczeństwo. Tutaj nie mogę zgodzić się z tezą Wawrzkiewicza, że ratunek jest tylko jeden: „poezja może być uratowana, jeśli zainteresuje się nią społeczeństwo". To czysty nonsens, bowiem poezją Norwida i wielu, wielu innych społeczeństwa zainteresowały się dopiero dzisiaj. Umierający Baudelaire nie mógł już wiedzieć, że oto nareszcie stał się sławny. Prawdą jest jednak, że większe zainteresowanie poezją powinna wykazywać szkoła. Tymczasem, mimo iż istnieją odpowiedni sponsorzy (Wydział Kultury i Sztuki oraz Oddziały Związku Literatów) szkołom (zarówno podstawowym jak i licealnym) nie odpowiada forma spotkania z pisarzem (poza nielicznymi wyjątkami — głównie w maju, gdy należy rozliczyć się z akcji zwanej Dni Oświaty, Książki i Prasy).

6. Dziwię się niektórym poetom, którzy wdają się w polemiki z ignorantami wymyślającymi hasła-pytania w rodzaju: „Czy poezja jest w ogóle potrzebna?". Pytania te świadczą o poziomie decydentów naszego życia kulturalnego i nie należy im schlebiać polemikami.

7. Był okres (lata siedemdziesiąte), gdy mogło się wydawać, iż jesteśmy społeczeństwem kulturalnym. Podobnie jak, co naiwniejsi sądzili, że jeszcze trochę, a stopa życiowa naszego społeczeństwa osiągnie zadowalający poziom. Nic zatem dziwnego, że dzisiaj, gdy głównie te nadzieje zawiodły, okazało się także, że z poziomem kulturalnym naszego społeczeństwa jest gorzej niż źle. Jakkolwiek i ja, zmęczony i pełen goryczy, chętnie zasiadałem przed telewizorem, by obejrzeć kolejne odcinki „Isaury" i „Powrotu do Edenu" A zatem uwaga: w dobie kryzysu łatwo także o wtórny analfabetyzm. Lecz przynajmniej tutaj jedynym wyjątkiem jest poezja. Wielka więc szkoda, że to właśnie ona najbardziej cierpi. Za to jednak jej nędza posiada wyjątkowy wymiar.

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko — obyczajowa

SUFRAGAN SZULER

Ksiądz biskup (Michał Roman Sierakowski, sufragan przemyski 1698—1780) lubił żyć dobrze i do gry był pasjonowany, pastorał biskupi często chodził zastawą po Żydach. Potocka z Mniszchów, która lubiła stroić żarciki, raz mu posłała bogatą infułę schowaną w pokrowcu z kart francuskich i polskich uszytym — pisał oficjalista Potockich z Tulczyna Antoni Chrząszczewski w swoim pamiętniku, wznowionym przed dziesięciu laty przez wrocławskie Ossolineum.

Ksiądz Sierakowski, kanonik przemyski — pisał Leon Potocki w „Urywku ze wspomnień pierwszej mojej młodości" (Poznań 1876) — przegrawszy całą ojcowiznę w karty, odprawiał w Warszawie codziennie u Św. Krzyża msze szulerskie, bo mu szulerzy za nie po dziesięć dukatów płacili, znajdować się na nich z obowiązku musieli, a ksiądz kanonik zarobione u ołtarza pieniądze przegrywał do nich co wieczór na powrót w karty. Sierakowski w Warszawie zbliżył się do Szczęsnego Potockiego i tak sobie umiał zjednać jego łaskę, bo był człowiekiem pełnym nauki i dowcipu, a przy tym zręcznym pochlebcą, że Potocki wywiózł go do Tulczyna, zapłacił za niego długi i dał mu Tomaszpol w dożywocie. (...) Starzy ludzie, którzy go znali, opowiadali mi nieraz, że zwykle chodził w ciemnomakowym fraku, spód czarny, pończochy czarne jedwabne i trzewiki ze srebrnymi sprzączkami. Pod koniec jego życia już z nim nikt w karty grać nie chciał, bo wygraną zagarniał, a przegranej nie płacił. Kiedy czasami kogo do gry wzywał „dobrze — odpowiadano — grać będziemy, ale na pacierze, bo tych nie dosyć odmawiałeś za życia, a zdadzą ci się, gdy przyjdzie stanąć na sądzie ostatecznym.

ZAGADKI DLA ERUDYTÓW

U Jacka Idziego Przybylskiego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, poety i bibliotekarza, bywał często Józef Leszczyński, niedoszły jezuita, z którym wierszopis prowadził uczone dysputy. „W czasie wizyty jego — pisze Ambroży Grabowski we „Wspomnieniach" (Kraków 1909) — gdy bawił się z uczonym akademikiem rozmową, zadał mu tenże różne kwestie łacińskie do rozwiązania, a zasadziwszy go u stolika, rzekł mu:

— *Pisz waszmość tę sentencję, którą podyktuję, i ułóż z niej przekład polski taki, aby sens jakiś zawierał.*

I dyktuje mu po słówku, jak to: ubi, ligo, tego, cura, miser, nego, voco.

Biedny latynista mozoli się nad rozwiązaniem tego szlinksa, lecz końca dojść nie może, a tedy Przybylski, biorąc napis w rękę, pokazuje mu:

— *Oto widzisz waszmość, tak się czyta: ubili go, tego kura mizernego, w oko.*

Takimi to fraszkami wysłużony profesor akademii zabawiał się z tym niedoszłym lojolitą".

Przybylski znany był w swoim czasie z innych jeszcze prób dowcipu, czego dowodem wyjątki z „Pszczółki Krakowskiej". Croule Saut blais ce qui, beau a tire nage Paul ce qui (Król Sobieski, bohatyr nasz polski). Albo: Peau dame tous moyen ou va gain, yeux j'ai lit d'eau bras (Podam tu moję uwagę, jeżeli dobra).

HERBATY NAPÓJ NAJSZKODLIWSZY

Dowiadujemy się o tym z „Rady dla literatów, sedentariuszów i tych wszystkich, którzy przywiązanymi do urzędu swojego pracami rozumu zdrowie swoje wycieńczają", jakiej udzielił sławny profesor medycyny w akademii lozańskiej Szymon Andrzej Tissot (1728—1797). Radę tę przełożył ks. Joachim Karwowski i ogłosił drukiem w 1774 r., dedykując dzieło Ignacemu Potockiemu, komisarzowi Edukacji Narodowej.

Ze wszystkich zaś napojów, których zażywają literaci i sedentarią bawiący się, najszkodliwszy jest napój herbaty, którą na nieszczęście nasze posyłają do Europy Chińczykowie i Japonowie i którą można nazwać darem prawdziwie nieprzyjacielskim. Herbata psuje najpierwej żołądek i, jeżeli się temu nie zapobieży, zaraża wnętrzności, krew, nerwy i całe ciało. Należałoby się jednostajnie wziąć za ręce Europejczykom na przeszkodzenie, ażeby nie sprowadzano do nas tego zielska, w którym jest guma ostra i gryząca; a co się tycze tej jej dobroci, że ściąganiem lub utwierdzeniem ma być pomocna niemocom ciała, doświadczono tego, że ten jej przymiot ginie, jak tylko do gorącej wody przyjdzie.

Osobliwa ta książka imć pana Tyssota została przypomniana przed 50 laty „ku pokrzepieniu zdrowia moli książkowych, zebranych na IV Zjeździe Bibliotekarzy Polskich, w nieszkodliwych dawkach przedrukowana i drzeworytami pana Chrostowskiego osłodzona". Otrzymałem tę książeczkę od Czytelniczki „Bigosu" pani Izabeli N.,

więc wielka bierze mnie ochota
uściskać Panią za Tyssota.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Na marginesie „kaskaderów literatury"

W połowie ubiegłego roku staraniem Wydawnictwa Łódzkiego ukazała się pozycja poświęcona legendzie i twórczości Bursy, Hłaski, Poświatowskiej, Milczewskiego, Stachury oraz Wojaczka. Fakt wydania książki w miękkiej oprawie z zastosowaniem nietrwałej techniki klejenia stron daje się jeszcze usprawiedliwić jej popularnym, wysokonakładowym charakterem. Poważniejsze zastrzeżenia może natomiast wzbudzać mocno „handlowy" tytuł. Kim bowiem są „kaskaderzy literatury"? Ludźmi wykonującymi ryzykowne elementy w zastępstwie szanujących własne życie artystów, którzy prawdziwą sztukę tworzą w zaciszu gabinetów lub przytulnych mieszkań? W myśl tej tezy Bursa, Hłasko, Sted, Bruno i Wojaczek byliby tylko dublerami, wyręczającymi w niebezpiecznych sytuacjach oszczędzające się gwiazdy, pokroju Różewicza czy Herberta. Na domiar złego skłonności do porzucania swego miejsca w szyku i grania pierwszych literackich skrzypiec stawiałyby ich aż nazbyt blisko megalomanów, mitotwórców i pospolitych grafomanów. Chyba nie o taką interpretację chodziło redagującym tytuł tomu „kaskaderom wydawnictw"?

Może trochę prowokacyjnie potraktowałem ów termin z całą dosłownością i dobrodziejstwem inwentarza, może należy go odczytywać w sensie przenośnym? Zapewne będzie to i bliższe domniemanym intencjom autorów, ale w niczym nie zmieni problemu jego semantycznej nieostrości. Bo kimże jest ten metaforycznie pojmowany kaskader? Baudelaire'owskim dandysem widzianym surowym spojrzeniem Sartre'a czy zbuntowanym człowiekiem Camusa? Ba, na to pytanie nie daje odpowiedzi najuważniejsza nawet lektura książki „Baudelaire" oraz esejów „L'Homme révolté". Jedno jest wszak pewne niezbicie: kaskaderstwo to kategoria egzystencjalna o wyraźnie ontycznym kierunku, nie do końca zatem przystająca do poezji, której zadaniem jest także szeroko rozumiane poznanie, a nie tylko dostarczanie przepisów na dostatecznie nasycone emocjonalnie przepędzenie bytu.

☆

Wejdźmy więc od razu in medias res, a raczej w środek wieków. Epoka średniowiecza nie sprzyjała kształtowaniu się indywidualności ludzkich w ogóle, w szczególności zaś powstawaniu indywidualności pisarskich. Literatura tego okresu, owładnięta ideą pisania „ad maiorem Dei gloriam" (wypowiedzianą nb. expressis verbis dopiero przez Loyolę, kilkadziesiąt lat po przezwyciężeniu epoki) i przeniknięta do głębi duchem anonimowości, nie pozostawiała marginesu na żadnego rodzaju próby autokreacji. Jeśli nawet twórca odważył się sygnować dzieło własnym nazwiskiem, to zazwyczaj już na samym wstępie z właściwą swoim czasom pokorą ustalał odpowiednie proporcje. Na tym tle niezwykle barwnie rysuje się biografia Janka z Czarnkowa — ówczesnego dysydenta i zamachowca politycznego, w konsekwencji więźnia i banity, a po odwołaniu wyroku historiografa, autora skandalizującej kroniki — słowem, istnego prototypu postaci kaskadera.

Odrodzenie rozluźniło nieco ten sztywny gorset etyczny i estetyczny, przyczyniając się do częściowej degradacji aprobowanego uprzednio wzorca moralno-obyczajowego. Pojawiła się literatura facecyjna i obsceniczna, którą współtworzyli m. in. tacy giganci pióra, jak Rej czy Kochanowski. Nie oni jednak zwalili z nóg kolosa średniowiecznej parenetyki. Do rozbijania tzw. etosu chrześcijańskiego historia wykorzystywała kaskaderów, by nie rzec — przykładając właściwszą miarę — dublerów. Mam tu na myśli Andrzeja Krzyckiego, prymasa-literata, którego z czystym sumieniem można nazwać poetą przeklętym, bowiem już w wiek po swojej śmierci znalazł się na kościelnym indeksie uznany za skończonego pornografa oraz Stanisława Orzechowskiego, księdza-małżonka, obdarzonego niepomiernie lepszym, ale i bardziej awanturniczym piórem, maczanym częściej w w żółci niż w inkauście. Obaj oni swe życie prywatne czynili obiektem, a nierzadko ośrodkiem, społecznego zainteresowania, robiąc zeń po prostu sprawę publiczną. Przedmiotem literatury odważył się natomiast uczynić własną biografię dworzanin Krzyckiego — Klemens Janicki (niech mi historycy literatury staropolskiej wybaczą to spolszczenie). To jednak, co miał do przekazania „O sobie samym do potomności" różniło się w sposób zasadniczy od treści życiorysów jego mecenasów. Utalentowany i, mimo młodego wieku, utytułowany już poeta stworzył tak indywidualistyczną autokreację dotkniętego piętnem choroby i śmierci wrażliwca, że nie wahałbym się go nazwać protoplastą licznego w literaturze rodzimej rodu dandysów.

Do potomków tego rodu można by zaliczyć również tworzącego ponad sto lat później — w epoce baroku — Paska, gdyby nie fakt, że „Pamiętniki" ukazały się drukiem dopiero w połowie XIX wieku. Ale choćby dla niepospolitej biografii mistrza Chryzostoma, okraszonej na krótko przed śmiercią dekretem banicyjnym, wpisałbym go w poczet kaskaderów literatury.

Następna epoka w znacznym stopniu podniosła wymagania w tej dziedzinie. Granica między tym, co społecznie uznane lub dopuszczalne a tym, co prowokacyjne i obrazoburcze przesunęła się tak bardzo, że tylko nielicznym udało się ją przekroczyć. Należeli do nich z pewnością oświeceni libertynizmem — Kajetan Węgierski oraz Stanisław Trembecki. Pierwszy, „najlepszy poeta wśród karciarzy — najlepszy karciarz wśród poetów", swój wyjątkowy talent do wywoływania skandali i przysparzania sobie potężnych przeciwników, nie wyłączając osoby króla, przepłacił więzieniem, a później dobrowolną banicją, która okazała się dożywotnia, bo wyczerpawszy siły organizmu zmarł rychło w wieku lat trzydziestu jeden, „nie budząc w nikim łzy żalu". Drugi był, wedle własnych słów, „jednym z najzuchwalszych burdów, jednym z najognistszych pijaków, jednym z najzapamiętalszych miłośników", ale prócz skłonności do awantur, alkoholu, kobiet tudzież hazardu miał także nałóg pisania świetnych wierszy i to kazało współczesnym wybaczać mu jego ekscesy.

Wybuch romantycznego indywidualizmu uczynił dandyzm zjawiskiem powszechnym, by nie powiedzieć obowiązującym. Dandysami byli niemal wszyscy wielcy tej epoki z Zygmuntem Krasińskim na czele, którego listy ilustrują kliniczny wręcz przypadek choroby wieku — „życia przed lustrem", że posłużę się określeniem Baudelaire'a. A skoro przywołaliśmy nazwisko francuskiego poète maudit, może warto wspomnieć również romantyków zapoznanych, docenionych dopiero przez pokolenia „wnuków": Antoniego Malczewskiego, który, odkrywszy w sobie zdolności magnetyczne, wszystkie siły poświęcił na leczenie psychicznie chorej kobiety (w dodatku mężatki) i dokonał żywota, nim uznano jego talent literacki oraz zmarłego w paryskim przytułku Norwida, bez którego trudno teraz w ogóle myśleć o współczesnej poezji polskiej. Cóż, nie każdy z pokonanych przez chorobę miał to szczęście w nieszczęściu jak Stefan Garczyński, że jego spuścizną mógł się zaopiekować tej miary autorytet, co Mickiewicz.

Nastawieni krytycznie do ideałów swych ojców pozytywiści nie rezerwowali sobie już prawa do łamania zasad powszechnie obowiązujących w społeczeństwie, które traktowali bardzo poważnie, dopatrując się w nim organicznego ładu. Dążenie do wyodrębnienia własnej osobowości, heroiczną i egzaltowaną autokreację, zastąpili ideą permanentnego, antybohaterskiego samodoskonalenia się, nie dając szansy kaskaderom, którzy musieli czekać z samobójstwami przynajmniej do premiery „Wesela", jak popularny komediopisarz Michał Bałucki czy świetny satyryk tego okresu, Mikołaj Biernacki, znany pod pseudonimem Rodoć. A jeśli już ktoś musiał koniecznie popaść w depresję i alkoholizm, czynił to taktownie poza granicami kraju, jak zesłany w głąb Rosji poeta Leonard Sowiński.

Zgodnie z chronologią powinienem teraz przejść do kolejnych epok literackich, próbując dalej naświetlać zajmujące nas zagadnienie na ich tle. Zrobił to jednak już Jan Marx w przenikliwym posłowiu do omawianej książki, które — zamiast dublować — pragnę polecić uważnej literaturze czytelników. Celem mojego historycznego rekonesansu było wszakże zapobiegnięcie sytuacji, w której odbiorca wyniósłby ze szkicu Marxa przeświadczenie, jakoby ród kaskaderów literatury zaczynał się w Polsce na Przybyszewskich, Brzozowskich, Tetmajerach, Korabach i Witkacych (bo to przecież pogrobowiec epoki), a poetkom przeklętym patronowała Kazimiera Zawistowska (co począć w takim razie choćby z nieszczęśliwą Marią z Czartoryskich ks. Wirtemberską?). Chciałem tym samym uzmysłowić fakt, że genealogia współczesnych poètes maudits sięga swymi korzeniami dużo głębiej niż tylko do Młodej Polski — tak, jak samo zjawisko kaskaderstwa wykracza daleko poza findesieclowy algorytm kontestacji rzeczywistości.

☆

Wszystko, co do tej pory zostało tutaj napisane o „Kaskaderach literatury" dotyczyło niedopowiedzeń, w sposób nieuchronny i nieunikniony składających się w ostatecznym rezultacie na każdą pozycję typu antologicznego. Nie padło prawie ani jedno słowo na temat zawartości książki, a ona to przecież przesądziła o tym, że pięćdziesięciotysięczny nakład rozszedł się niemal błyskawicznie. Decydujące znaczenie miał tu oczywiście przede wszystkim zestaw nazwisk kontrowersyjnych pisarzy i poetów, ale trzeba także oddać sprawiedliwość niepoślednią rolę interpretacji krytycznych, pióra J. Z. Brudnickiego, St. Stanucha, St. Stabry, J. Marxa, Z. Fedeckiego i E. Kolbusa (zarazem redaktora całości), będących cenną repliką na plotki, pogłoski i mity tworzone przez domorosłych literaturoznawców. Oby przyczyniły się one choć w pewnym stopniu do wypełnienia luk informacyjnych i zaspokoiły pierwszy, najgroźniejszy, czytelniczy głód wiedzy.

Jednym z paradoksów książek dobrych jest to, że stosunkowo łatwo dostrzec ich ewentualne mankamenty. Przypadek „Kaskaderów" potwierdza tę zadziwiającą prawidłowość w stu procentach. Co do redakcji książki można wysunąć wiele zarzutów, z wyjątkiem tego, że jej kształt merytoryczny lub metodologiczny jest nieprzejrzysty. Wydawnictwu nadano efektowny i bardzo pojemny nieliteracki tytuł, o którego prawomocność można się spierać — zastąpić go jednak lepszym nie sposób; krąg zainteresowań ograniczono do kilku nazwisk, dających się wprawdzie uzupełnić (choćby o szereg: Buriowy, Gielo, Ratoń, Babiński) — ale znowu nie zastąpić; wreszcie założono konsekwentnie penetrowanie niemal wyłącznie dekadenckich modeli kaskaderstwa i świadome poszukiwanie ich pierwowzorów w okolicach przełomu wieków, co jest dyskusyjne z punktu widzenia rzetelności badawczej, lecz niezbędne do osiągnięcia logiczności wywodu i koherencji sądów literackich. Tylko pogratulować — książka jest znakomita i bardzo potrzebna razem z tym, czego w niej nie ma. A to właśnie posłużyło za przyczynek do napisania tego szkicu.

PIOTR ŁUSZCZYKIEWICZ

Kaskaderzy literatury. O twórczości i legendzie Andrzeja Bursy, Marka Hłaski, Haliny Poświatowskiej, Edwarda Stachury, Ryszarda Milczewskiego-Bruna, Rafała Wojaczka. Pod redakcją Edwarda Kolbusa. Słowo wstępne Jan Z. Brudnicki. Posłowie Jan Marx. Wydawnictwo Łódzkie. Łódź 1986, s. 528, cena 350 zł.

Kronika kulturalna

TRADYCYJNYM już zwyczajem, u progu nowego roku, odbyło się w Pałacu Rady Ministrów na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie spotkanie ministra kultury i sztuki, prof. **Aleksandra Krawczuka** z kilkusetosobową grupą twórców i działaczy kultury z całego kraju.

Na spotkanie przybyli przedstawiciele najwyższych władz partyjnych i państwowych z **Wojciechem Jaruzelskim** i **Zbigniewem Messnerem**. Obecny był przewodniczący Narodowej Rady Kultury prof. **Bogdan Suchodolski**.

W licznych, serdecznych rozmowach z przywódcami partii i rządu wybitni twórcy dzielili się refleksjami i dyskutowali o swoich najbliższych zamierzeniach artystycznych.

PODCZAS pierwszych w naszym mieście **Międzynarodowych Targów „Interfashion '87"** odbędzie się wiele interesujących imprez kulturalnych.

TEATR WIELKI wraz z **Estradą Łódzką** i **ŁOTv** przygotowuje galowy koncert rozrywkowy, który emitowany będzie przez Interwizję. **Muzeum Sztuki** zaprezentuje gościom zagranicznym najciekawsze dzieła ze swych unikatowych zbiorów malarstwa współczesnego. **W Centralnym Muzeum Włókiennictwa** przygotowana zostanie specjalna ekspozycja tkaniny artystycznej.

W czasie spotkań z zagranicznymi wystawcami honory gospodarza domu pełnić będzie **Muzeum Historii Miasta Łodzi.**

W Domu Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Warszawie odbyła się 21 bm. uroczystość wręczenia nagród TPPR im. Wandy Wasilewskiej.

Wśród kilkudziesięciu laureatów znalazły się trzy osoby związane z Łodzią i regionem łódzkim — **Tadeusz Chróścielewski** (za twórczość literacką i przekładową), **Władysław Strzelecki** (za działalność literacko-publicystyczną) oraz **Józef Małaszkiewicz** (lektor z woj. skierniewickiego).

Gratulujemy!

ZNACZĄCY sukces o charakterze międzynarodowym odniósł zespół łódzkich architektów pod kierownictwem Zdzisława Lipskiego i Jakuba Wujka.

Architekci łódzcy bowiem otrzymali zaproszenie do udziału w międzynarodowym konkursie na projekt nowego miasta Makun-Senart, które ma powstać w pobliżu Paryża.

Rywalizować będzie 28 zespołów, w tym 15 z Francji.

---

30 stycznia w Teatrze T.15 odbędzie się setne przedstawienie komedii Georgesa Feydeau pt. „Pchła w uchu", w reżyserii Włodzimierza Kwaskowskiego.

ŁÓDZKIE Stowarzyszenie Tłumaczy otrzymało własną siedzibę przy ul. Wschodniej 32.

W trakcie uroczystego jej przekazania przez władze miasta, które odbyło się 17 stycznia br., przewodniczący Rady Narodowej m. Łodzi prof. **Mieczysław Serwiński** udekorował Honorową Odznaką Miasta Łodzi **Bożenę Gogolewską, Mirosława Soleckiego** i **Bronisława Traczyka.** Odznaką Zasłużonego Działacza Kultury **otrzymali — Jan Głowacki** i **Roman Zorga.**

W Muzeum Bitwy nad Bzurą w Kutnie otwarta została ciekawa wystawa „Kawaleria polska 1914—1947". Eksponaty pochodzą ze zbiorów Lesława Kukawskiego.

W dawnym dworku w Bronowie w woj. sieradzkim, w którym Maria Konopnicka spędziła 7 lat wraz z mężem, utworzono muzeum pamiątek po pisarce. W odrestaurowanym pomieszczeniu zgromadzono rękopisy, listy oraz dawne wydania utworów poetyckich i prozatorskich M. Konopnickiej.

PIĘCIOTYGODNIOWE tournée (Włochy, Wielka Brytania, Belgia, USA, Kanada) odbędzie Yehudi Menuhin z działającą pod patronatem Centrum Sztuki Studio w Warszawie **Orkiestrą Sinfonia Varsovia.**

NAJNOWSZY utwór **Krzysztofa Pendereckiego „Czarna maska"** znalazł się na stałe w światowym repertuarze operowym. Obecnie kompozytor pracuje nad baletem, którego libretto oparte jest na powieści **Michaiła Bułhakowa „Mistrz i Małgorzata".**

JUŻ po raz trzeci **nagrodę nowojorskiej krytyki za** najlepszy spektakl na Broadwayu i poza nim (za rok 1986) otrzymał **Tadeusz Kantor.** Obecnie uhonorowano go tym wyróżnieniem za przedstawienie „Niech sczezną artyści".

Komu nagrodę „Odgłosów"?

Wypowiada się prof. dr ANDRZEJ F. GRABSKI

Myślę, że fundatorzy wszelkich nagród powinni przede wszystkim w miarę precyzyjnie określić warunki, jakie powinien spełniać w swojej działalności kandydat do nagrody. Jakie kryteria upowszechnienia kultury powinny być brane pod uwagę obecnie, po załamaniu się pewnego modelu, który do niedawna funkcjonował? Redakcja ma z pewnością swoje w tym względzie przemyślenia...

Cóż się załamało? Społeczno-spontaniczny model działalności kulturalnej, którego cenne osiągnięcia zostały z różnych przyczyn zagubione, był często niesłusznie wydrwiwany, gdyż uogólniano zdarzające się niekiedy przejawy karykaturalne. Alternatywą jest model zinstytucjonalizowany: po prostu ktoś bierze pensję za to, że upowszechnia.

Co do mnie, to nie byłbym za tego rodzaju premiowaniem „urzędników od kultury", choć oczywiście należy dostrzegać i honorować tę działalność kierowników placówek artystycznych i instytucji kulturalnych, która całkiem wyraźnie przekracza zakres przypisanych obowiązków służbowych. Wiadomo, ile tego rodzaju twórczej inwencji miał i ma nadal wasz były laureat Antoni Szram.

Ale przejdźmy do istoty sprawy, czyli do kulturalnych treści, które zasługują, moim zdaniem, na upowszechnienie. Ubolewam nad tym, że coraz częściej można się spotkać z upowszechnieniem „kulturki", zapewne w znacznej mierze dlatego, że wymóg finansowy stał się dla wielu furtką dla uprawiania artystycznej „chały". Mnie osobiście bliskie są emocjonalnie sprawy upowszechnienia kultury muzycznej, która jeszcze do niedawna była na naszym terenie (i bodaj w całej Polsce) tak pomyślnie rozwijana w szkołach, przy współudziale m. in. łódzkiej filharmonii. Obecnie podobno resort oświaty nie ma już na to środków, toteż w konsekwencji panoszy się coraz szerzej niewybredna działalność rozrywkowa, gdyż przynosi ona dochód.

Wbrew sceptykom uważam, że byłoby dla kogo szerzyć prawdziwą kulturę muzyczną, na co dostarcza przykładów to, co się dzieje na znanym mi trochę rynku płytowym. Młodzież kupuje coraz wartościowszą muzykę rozrywkową i coraz więcej muzyki poważnej, zwłaszcza klasyki, o co u nas jednak niełatwo, nasza bowiem fonografia pozostaje wyraźnie coraz bardziej w tyle za (żeby daleko nie szukać) innymi demokracjami ludowymi, nie wyłączając np. Bułgarii.

Przebywałem ostatnio w Niemieckiej Republice Demokratycznej, gdzie może zaimponować przybyszowi z Polski ilość i różnorodność imprez muzycznych, cieszących się powszechnym zainteresowaniem. Obserwowałem z zazdrością, jak trudno jest dostać w Lipsku bilety na koncert symfoniczny do Gewandhausu, a jest tam jeszcze opera, są regularne koncerty znakomitego chóru w Thomaskirche. Ogromnym zainteresowaniem cieszyła się obchodzona ostatnio rocznica Karla Marii Webera. U naszych zachodnich sąsiadów (podobnie zresztą, jak i u Czechów) duże powodzenie mają nawet zwykłe, powszednie koncerty, bez udziału „gwiazd", lecz wykonywane własnymi (trzeba przyznać — dobrymi) siłami.

Smutek człowieka ogarnia, kiedy patrzy u nas na triumf chałtury i zbijanie na niej grubych pieniędzy, za co główną winę ponosi, moim zdaniem, brak przemyślanej polityki kulturalnej, zarówno w kraju, jak i lokalnie.

Komu więc nagrodę? Inaczej mówiąc — za co? Myślę, że za konsekwentną działalność przeciwstawiającą się złemu smakowi przez wszechstronne popieranie wszelkiego rodzaju dzieł i utworów wartościowych artystycznie.

Chyba nadal nie brak u nas ludzi, którzy, choć często bez rozgłosu, najgorliwiej temu służą...

Co młodzi aktorzy sądzą o studiach w szkole filmowej i swojej przyszłej pracy?

Czy wam to się podoba?

Rozmawiamy z czwórką najciekawiej zapowiadających się studentów-dyplomantów zdając im m. in. pytanie: — Czy wam to się podoba?

JOANNA JANKOWSKA — w „Jak Wam się podoba" — gra główną rolę: Rosalindę, a w „Weselu" — Pannę Młodą. Jest laureatką nagrody za najlepszy debiut na Festiwalu Teatralnym w Kaliszu.

JOANNA ŚLIWOWSKA w „Jak Wam się podoba" — Febe i Adam, w „Weselu" — Maryna.

SŁAWOMIR KWIATKOWSKI — w „Jak Wam się podoba" — Olivier, w „Weselu" — Zjawa.

ZBIGNIEW SUSZYŃSKI w „Jak Wam się podoba" — główna rola męska: Orland, w „Weselu" — Czepiec.

JOANNA JANKOWSKA: — JESTEM ROZCZAROWANA...

— Mówią, że jest pani nawiedzona?

— Może trochę... Gdy pracuję jestem wyłączona ze wszystkiego co obok i myślę tylko o granej roli. Reż. Piotr Cieślak widząc mnie jak chodzę po scenie, jak dotykam dekoracji, jak identyfikuję się z postacią, był zaskoczony takim sposobem przygotowywania się do roli. W budowaniu roli Rosalindy bardzo pomógł mi opiekun naszego roku Bronisław Wrocławski, który widząc moje zdenerwowanie przed próbą generalną powiedział: — Trzeba wierzyć w siebie. — Zapamiętałam te słowa.

— Zawsze chciała pani być aktorką?

— Tak, w pamiętniku pisałam: „Chcę być aktorką" i podkreślałam to zdanie. Konkursy recytatorskie, kółka teatralne, wreszcie przygotowanie repertuaru na egzamin do szkoły teatralnej, w czym bardzo pomogła mi Daniela Popławska.

— Na egzaminach wstępnych była pani najlepsza i najwyżej punktowana, to chyba później bardzo zobowiązuje?

— Po pierwszym roku omal mnie nie skreślono z listy studentów, bo miałam dwóję z prozy u prof. Waldemara Wilhelma. Miałam poprawkę. Słyszałam jak mówiono: — Zdała z pierwszą lokatą, to jej się w głowie przewróciło. — Na I roku zamknęłam się w sobie, może dlatego, że Marcin Korwin spowodował na swoich zajęciach, że baliśmy się wejść na scenę, odblokował to na II roku Jan Zdrojewski. Zaczęły się bardzo ciekawe zajęcia z Zofią Petri, Michałem Pawlickim, Zofią Kopacz, Julitą Sękiewicz. Dużo pracy. Na III roku zostałam zaangażowana przez Bogdana Hussakowskiego na gościnne występy w „Ferdydurke" do roli Zuty Młodziakówny. Otrzymałam za tę rolę nagrodę na festiwalu w Kaliszu, miłym rodzinnym mieście. Rok IV — to interesująca praca z reż. Piotrem Cieślakiem i fascynująca przygoda z Adamem Hanuszkiewiczem.

— Piotr Cieślak powierzył pani główną rolę w „Jak Wam się podoba", od czego to zależało?

— Może dlatego, że mam w sobie dużo energii, siły wewnętrznej, a może dlatego, że spodobałam mu się na egzaminach na III roku. Faktem jest, że w „Jak Wam się podoba" chciałam zagrać... Rosalindę i zagrałam.

— Jaka jest pani Rosalinda?

— Rosalinda jest postacią zmienną, co również leży w mojej naturze. Lubię interesować sobą. Odpowiadają mi role dziewcząt energicznych, trochę skomplikowanych, nie do końca odkrytych, potrafiących zaskakiwać. Podobno w życiu wyglądam jak myszka. Tak się o mnie mówi. Ale na scenie pokazuję pazurki.

— To pani opinia o sobie czy pedagogów?

— Moja. Tylko raz zagrałam rolę 40-letniej pani Gips w „Naszym mieście". Pozostałe role to podlotki, w których najchętniej widzieli i obsadzali mnie pedagodzy.

— Czy wybrała pani swój przyszły teatr?

— Myślę o pracy w Teatrze Powszechnym w Warszawie lub w Teatrze Jaracza w Łodzi. Wybór będzie uzależniony od szczęścia i dyrektorów.

— Jaki rodzaj teatru najbardziej pani odpowiada?

— Właśnie taki, jaki proponują te teatry: wszechstronny repertuar, troska o aktora i jego wykorzystanie.

— Teraz poznaje pani teatr Adama Hanuszkiewicza i jego specyficzne metody pracy?

— Gdyby Adam Hanuszkiewicz objął jakiś teatr, to bardzo chciałabym być w tym teatrze. Jego osobowość fascynuje mnie i przyciąga.

— Szkoła przygotowała panią do grania wszystkiego i wszędzie?

— Nie, nie umiem grać klasyki i sądzę, że u nas nikt nie potrafi tego robić i pewnie dlatego zrobiliśmy „Jak Wam się podoba" w odmienny, współczesny sposób, bez sukien, wachlarzy z epoki i umiejętności poruszania się w stylu.

— Czy to wszystko, co pani już poznała, doświadczyła, właśnie tak sobie wyobrażała?

— Chciałabym już być w zawodowym teatrze i grać naprawdę. Jestem rozczarowana szkołą, bo nie znalazłam w niej tyle możliwości pracy, ile bym chciała. Sama więc szukam pracy.

JOANNA ŚLIWOWSKA: — MAMY TYLKO SYGNAŁY...

— Dlaczego wybrała pani zawód swoich rodziców?

— Rodzice byli przeciwni, może dlatego, na przekór postanowiłam być w kontrze. A poza tym ten zawód niesie ze sobą ciągłe zmiany, wciąż dzieje się tu coś ciekawego, można uniknąć monotonii.

— Fakt, że jest pani córką aktora i pedagoga Bogusława Sochnackiego oraz aktorki Aleksandry Krasoń utrudniał czy ułatwiał wejście do szkoły i przebieg studiów?

— Do egzaminów wstępnych przygotowywałam się sama. Ingerencja rodziców była niewielka. Ojciec był w komisji egzaminacyjnej. Na studiach zawsze byłam pokrzywdzona, bo wymagania w stosunku do mnie były większe. Z ojcem miałam zajęcia na II i III roku, również wymagał więcej i głośniej krzyczał. Mama przede wszystkim kochała dom i rodzinę, ale była na bieżąco informowana o moich postępach. Nie byłam w łatwej sytuacji...

— Pewnego dnia zaskoczyła pani wszystkich decydując się na III roku studiów na życiową rolę matki, to ryzykowne?

— Patrząc na tę decyzję z perspektywy czasu uważam, że postąpiłam słusznie. W szkole można sobie pozwolić na roczną przerwę, w teatrze jest z tym gorzej, bo gdy wraca się z urlopu macierzyńskiego ludzie nie bardzo wiedzą, kim jestem. Mój syn, Bartosz będzie miał niedługo trzy lata.

— Jak mało która z koleżanek miała pani szeroki wgląd w życie i pracę aktorów. Czy pani się to podobało?

— Tak, podobały mi się premiery z udziałem rodziców, na jednej z nich weszłam na scenę i również kłaniałam się publiczności, tylko zawsze bardzo denerwowałam się z obawy, że zapomnę tekstu.

— Czego nauczono panią w szkole teatralnej?

— Ze szkoły wynosi się tylko podstawy, pewien zasób wiadomości. Otrzymujemy tylko sygnały, w jakim kierunku pracować.

— Na pół roku przed dyplomem posiada pani świadomość czego jeszcze nie umie?

— Wiem, że mam pewną łatwość w realizowaniu zadań, ale nie potrafię ich jeszcze sama sobie wymyślać. Pracując z dobrym reżyserem jestem w stanie wiele zrobić, choć do pewnych prawd wolę dochodzić sama, aniżeli tylko realizować zadania. Nauczyłam się wszystkiego po trochu, jeszcze wielu rzeczy nie umiem.

— Jak się do tych umiejętności mają zadania aktorskie powierzone pani w „Jak Wam się podoba"?

— W „Jak Wam się podoba" chciałam zagrać Febe i dostałam tę rolę. Mam tylko jedną scenę, ale za to rola jest świetnie napisana i można w niej zaistnieć. W przypadku roli 80-letniego starca Adama, to trochę się bałam, ale później potraktowałam to zadanie z przymrużeniem oka.

— Role charakterystyczne, to będzie pani specjalność?

— Chciałabym, żeby nią były, bo nie interesują mnie amantki. W szkole tylko jeden raz zagrałam taką rolę.

— Myślała pani o tym jak zagra Marynę w „Weselu"?

— Mam pomysł na tę rolę i właśnie Marynę chciałam zagrać w „Weselu".

— Co będzie pani robiła po dyplomie?

— Jeszcze nie wiem, na razie czekają mnie podsynchrony do filmu „Pusta klatka", w którym zagrałam główną rolę kobiecą.

SŁAWOMIR KWIATKOWSKI: — TA SZKOŁA JEST PRZEDSZKOLEM...

— Czy potrafi pan powiedzieć — dlaczego wybrał zawód aktora?

— Jednoznacznie, do końca, nie potrafię tego uzasadnić. Lubię rzeczy niepoznane, w których jest jakaś tajemnica. W tym zawodzie frapowała mnie przygoda. Poza tym zawsze lubiłem być w centrum zainteresowania, kreować rzeczywistość, w której się znalazłem, a zawód aktora wyjątkowo na to wszystko pozwala.

— Do swojej decyzji dochodził pan zapewne wcześniej?

— Wyjątkowo wcześnie, bo od występów w szkole podstawowej, poprzez samodzielnie opracowywane programy artystyczne w liceum, udziały w obozach teatralnych, konkursach recytatorskich, w radzie programowej Teatru Studyjnego. Nie wyobrażałem sobie innego zawodu, choć w równym stopniu byłem i nadal jestem zainteresowany antropologią.

— Pamięta pan swój egzamin wstępny do szkoły teatralnej?

— Oczywiście. Jednym z najzabawniejszych momentów było to, gdy wygłaszając płomienny monolog Tarkwiniusza z poematu „Lukrecja", w pewnym momencie zapytałem komisję: — czy mogę zdjąć buty? Były za ciasne. Wyrażono zgodę i kończyłem monolog boso. Do zwycięstwa zabrakło mi kilku punktów. Przez rok pracowałem w Teatrze im. J. Osterwy w Gorzowie, gdzie byłem inspicjentem i suflerem. W zastępstwie zagrałem dużą rolę. Musiałem ją opanować w ciągu 15 minut. Po udanym debiucie było kilka innych ról. Drugi egzamin do łódzkiej uczelni przebiegał wyjątkowo krótko, choć kosztował mnie mnóstwo nerwów.

— Wymarzoną szkołę wyobrażał pan sobie taką, jaką ją poznał?

— Nie wiedziałem, że ta szkoła jest przedszkolem, bo za mało studenci mają swobody, za dużo są prowadzeni za rękę, tu zabija się indywidualności, choć zapewnia wszechstronne pomoce. Mówi się o łódzkiej szkole, że jest drugim Juliniem. To prawda, bo nasze umiejętności ruchowe, sprawność fizyczna graniczą z kaskaderstwem. Natomiast za krótko prowadzi się zajęcia z wiersza, nieporozumieniem jest, że piosenka aktorska wykładana jest tylko przez dwa semestry.

— Który z pedagogów miał największy wpływ na to wszystko, co dzisiaj pan potrafi?

— Obserwowałem swoich kolegów, którzy ulegali czarowi pewnych osobowości wśród profesorów, mnie żadna nie porwała. Podziwiam Bronisława Wrocławskiego za jego żywiołowość, temperament aktorski, a także za sposób prowadzenia zajęć. Od każdego pedagoga starałem się brać, to co mnie wydawało się słuszne i przydatne dla rozwoju mojej osobowości.

— Potrafi pan obiektywnie spojrzeć na siebie?

— Na pewno posiadam świadomość własnych wad i niedostatków. Pracując nad rolą staram się szukać takich dróg, aby ją ubarwić.

— Jak przyjął i potraktował pan rolę Oliviera w „Jak Wam się podoba"?

— Początkowo nie zauważyłem tej roli i nie spodziewałem się, że będę ją grał. Później starałem się polubić Oliviera i odnaleźć w nim cechy swego charakteru.

— Warunki fizyczne predestynują pana właśnie do takich ról?

— Wiem o tym i póki starczy sił oraz środków będę się starał je grać w sposób niekonwencjonalny. Chciałbym kiedyś zagrać Makbeta, ponieważ w nim kondensują się treści, które mają coś wspólnego ze mną (dobre i złe).

— Czego obiecuje pan sobie po spotkaniu z Adamem Hanuszkiewiczem?

— Otrzymałem od Adama Hanuszkiewicza bardzo odpowiedzialne zadanie aktorskie, w którym to czego nauczyłem się w szkole na pewno nie wystarczy. Będę więc musiał poszerzyć swoje wiadomości i umiejętności, to zaś postaram się wyciągnąć od pana Hanuszkiewicza. W „Weselu" zagram 6 osób dramatu: Chochoła, Stańczyka, Rycerza, Hetmana, Upiora i Wernyhorę. Każda ze zjaw wymaga zróżnicowania postaci i to jest najtrudniejsze. Z kolei będzie to miało cechy kreacyjności, czego się obawiam, ale co będzie mnie frapowało.

— Jako rodowity łodzianin zechce pan zapewne pozostać w Łodzi?

— Uważam, że Teatr im. S. Jaracza w Łodzi jest jednym z najlepszych teatrów w Polsce i swoje nadzieje oraz ambicje chciałbym związać z jego zespołem.

ZBIGNIEW SUSZYŃSKI: — SZKOŁA NIE UCZY INDYWIDUALNEGO MYŚLENIA...

— Zaczął pan robić karierę filmową, kręci film za filmem. Od czego to zależy, bo przecież inni koledzy z roku nie grają, szczególnie za granicą?

— Myślę, że od szczęścia, które w tym zawodzie odgrywa ogromną rolę. Zacząłem grać w filmie jako 19-latek, debiutując po maturze epizodem w serialu „Jan Serce". Po I roku studiów zostałem wybrany spośród bardzo wielu kandydatów do głównej roli w filmie Jiriego Svobody „Ślady wilczych zębów".

— Pan zawsze chciał być aktorem filmowym i dlatego wybrał szkołę filmową?

— Nie dostałem się do PWST w Warszawie, za co sam ponoszę winę, bo nie przygotowałem się jak należy. Łódzką uczelnię wybrałem nie dlatego, że jest filmową, zadecydował o tym przypadek. Preferuję teatr, w którym tkwi przecież cała siła tego zawodu. Marzę o tym, aby być w jak najlepszym teatrze.

— Ale na studiach dość szybko zorientował się pan, że uczą tu teatralnych a nie filmowych środków wyrazu?

— Zygmunt Hübner napisał w swojej książce, że nie lubi pretensjonalnej akademickości szkół teatralnych. Abstrahując od umiejętności, które szkoła powinna dawać — zauważyłem, że nie uczy ona indywidualnego myślenia. A przecież jeżeli student posiada osobowość, to powinien ją zachować. Mam też zastrzeżenie co do kształcenia warsztatowego, a przecież wymaga się, aby warsztat był świetnie opanowany. Za mało jest czasu na piosenkę aktorską, na wiersz, za mało zwraca się uwagi na gotowość zawodową, czego uczył mnie Jan Machulski. Osobny problem stanowi stosunek studentów do tego, co się robi.

— Dość wcześnie wszedł pan do filmu i przez film musiał powtórzyć rok, czy warto było?

— Zawsze trzeba za coś płacić. Możliwość pracy z Franciszkiem Vlacilem (najwybitniejszym reżyserem czeskim) warta była poświęcenia tego czasu, choć szybciej dostałbym się do teatru.

— W spektaklu „Jak Wam się podoba" gra pan główną rolę męską, znajdując odmienny od dotychczasowych klucz do postaci Orlanda. Czy długo pan szukał?

— To bardzo trudna rola, w pewnym sensie niewdzięczna, bo każdy kochanek jest spisany z góry na straty, zawsze liryczny i delikatny. Inne role były bardziej widowiskowe. Bałem się kruchości tej postaci i na premierze za mocno poprowadziłem Orlanda w jedną stronę. Bardzo dużo pomógł mi Piotr Cieślak, nie wiem, czy byłem w stanie zrealizować wszystkie jego uwagi, chciałbym się z nim spotkać w pracy.

— Ciekawy jestem, jaki będzie pana Czepiec w „Weselu" Adama Hanuszkiewicza?

— Taki, jak poprowadzi go sam mistrz. Od siebie dam to, co potrafię i mam w sobie.

— Swój zawód poznał pan wcześnie, jego blaski i cienie. I jak to wszystko się panu podoba?

— Jest to trudny i dziwny świat. Trzeba być dużą indywidualnością, mieć silny charakter, żeby nie zniknąć w wirze małych, ciemnych spraw, wielkich i małych przyjaźni, różnych zależności i układów. Trzeba umieć przyjmować sukcesy i porażki, bo świat kina i teatru jest tak specyficzny, iluzoryczny, iż łatwo skręcić nie w tę stronę, w którą się podąża. Zdarzają się chwile, że ma się tego wszystkiego dosyć, chce się umknąć od tego całego jazgotu.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Joanna Jankowska
Foto: Aleksander Bieński

Joanna Śliwowska
Foto: Zdzisław Walter

Sławomir Kwiatkowski
Foto: Zdzisław Walter

Zbigniew Suszyński
Foto: Zdzisław Walter

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

DBAJMY O ZWIERZĘTA

Obejrzałam wczoraj w DTV (12 stycznia 1987) schronisko dla psów na ul. Marmurowej. Nie ocieplane budy na wolnym powietrzu, zwierzęta na cienkiej i pokrytej szronem czy śniegiem słomie przy dwudziestostopniowym mrozie i śnieżnej zawiei. W związku z tym chcę za pośrednictwem „Odgłosów" zadać sztabowi urzędników odpowiedzialnych za akcję „zima", radnym miejskim oraz Towarzystwu Opieki nad Zwierzętami następujące pytania:

1. Kto z władz wielkiego i niebiednego miasta w cywilizowanym kraju dopuścił, by bezdomne psy i koty wegetowały zimą w tak niehumanitarnych warunkach?
2. Na jakie cele idą roczne opłaty posiadaczy psów?
3. Czy w kierownictwie schroniska, które nie potrafi zabezpieczyć lepiej zwierząt w czasie mrozu i śnieżycy, znajdują się na pewno odpowiedni i odpowiedzialni ludzie?
4. Co na to Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami?

Będę ogromnie wdzięczna za opublikowanie tych kilku słów, a odpowiednim organom za rzetelną odpowiedź.
Redakcję proszę o niedrukowanie mego nazwiska.
Łódź, 13 stycznia 1987 r.

B.M.
(Łódź)

MNIE TO SIĘ NIE PODOBA!

Czytając jednak gazety i czasopisma, daje się zauważyć ostatnio coraz więcej artykułów, które poza straconym czasem czytelnikowi nic nie dają. Przykładem tego mogą być dwa felietony zamieszczone w 2 numerze „Odgłosów", jeden podpisany przez Zenona Porowatego, drugi przez Ben Grundika.

Z. Porowaty w swoim felietonie wychwala zalety swojego kota Pafnucego, mimo że na samym początku pisze, „Najpierw się zdenerwowałem. Przeczytałem uroczą książkę Stanisława Głąbińskiego pt. „PAP w herbie" i na końcu znalazłem rozdział poświęcony psom..." i dalej „Ludzie lubią psy — i to jest w porządku — ale dlaczego wynoszą je pod niebiosa kosztem innych czworonogów na przykład kotów". I to byłoby ze strony Z. Porowatego w porządku, gdyby na tym poprzestał. Ale Zenon Porowaty pozazdrościł widocznie S. Głąbińskiemu, że jamnik Tupcio znalazł się na kartach owej książki, bo w dalszej części swojego felietonu zaczyna „wynosić pod niebiosa" zalety swojego kota, nie troszcząc się o Czytelników, których może również denerwować fakt, że marnuje się papier i czas na pisanie o rzeczach, które ludzie dobrze znają. Nie mam tu na myśli kota Pafnucego, ale wszystkie domowe zwierzęta, które ludzie trzymają i doskonale znają ich zachowanie.

Możliwe, że Z. Porowaty chce zachęcić czytelników do pisania o trzymanych w swoich domach zwierzętach. Myślę że to mogłoby być interesujące, ale czy o tych rzeczach należy pisać w „Odgłosach". Przecież są takie czasopisma jak „Płomyk", „Płomyczek", czy „Przyroda Polska" gdzie tego rodzaju felietony wzbudziłyby zainteresowanie Czytelników.

Jedno jest natomiast ciekawe dla Czytelników „Odgłosów" w owym felietonie, a mianowicie jak pisze autor: „Regularnie czytałem kotu Pafnucemu wszystkie komunikaty, przemówienia, oświadczenia, prognozy, wyjaśnienia oraz sam wygłosiłem kilka referatów o naszej trudnej sytuacji gospodarczej...", i dalej, „Czasem mam wrażenie, że kot Pafnucy zeczłowieczał", następnie, „Gdy — jego zdaniem — zbyt długo śpię..., wtedy zaczyna drzeć papiery. I wie bestia co ma drzeć. W ostatniej chwili uratowałem kiedyś wieczorem napisany felieton". No cóż, najwyraźniej Pafnucy ma dość takich felietonów, jakim uraczył nas Zenon Porowaty i zaczął robić to, co należało z nimi zrobić, aby uchronić Czytelników przed marnowaniem czasu na czytanie ich. Niestety, przed brutalną siłą człowieka musiał ustąpić, ale miejmy nadzieję że kiedyś mu się powiedzie. A więc kocie Pafnucy, żyj nam sto lat. I jeszcze jedna uwaga, kotów nie należy bić, nawet takich które zeczłowieczały.

Następny felieton podpisany przez Ben Grundika, wprowadza nas w atmosferę zabawy sylwestrowej, w której autor uczestniczył. Zabawy, jak wynika z opisu, bardzo przeciętnej. Poza faktem, że gospodarz chciał zmienić obyczaje panujące u nas, podczas towarzyskich spotkań połączonych z piciem alkoholu. Niestety, tradycja zwyciężyła. I znowu nasuwa się pytanie, po co tego rodzaju biesiady opisuje się w prasie. Żeby wyśmiać tych, co spożywają alkohol w nadmiernych ilościach? Może to, że nie potrafimy bawić się w stylu zachodnim? Jeśli tak, to popieram taką inicjatywę. Ale z pewnością taka idea nie przyświecała B. Grundikowi w felietonie „Upojna noc", bo jak sam pisze „Podobało mi się coraz bardziej, choć niewiele pamiętam...".

Być może autor lubuje się w tego rodzaju opisach. Jeśli tak, to radzę udać się do pierwszej lepszej meliny, a usłyszy tam opowieści, których wystarczy do napisania kilku książek, od komedii do tragedii włącznie Ja nie mogę pochwalić się znajomością obyczajów panujących w kraju Islamu, ale znam ludzi, którzy pijanej kobiety nie wyrzuciliby z domu, zwłaszcza tej, z którą bawili się wspólnie. Bardziej na miejscu byłoby ową „damę" położyć spać na swoim tapczanie, a samemu zamknąć się w łazience, jeśli autor obawiał się tej kobiety.

A jeśli chodzi o balony, które nie wiadomo jak znalazły się w domu autora felietonu, to radzę nie pozbywać się ich, lecz za każdym razem, kiedy B. Grundik będzie miał zamiar pisać podobne felietony, napełni je lodem i położy sobie na głowę.

EUGMUNT ŚWIĄTKOWSKI
(Łódź)

Felietony pisuje się niekiedy z ironią, żartobliwie, z dystansem, spodziewając się, że Czytelnik to zrozumie i odbierze tak, jak autor zamyślił. Ale są też Czytelnicy pozbawieni poczucia humoru, którzy wszystko i wszystkich traktują poważnie.

Kochać i lubić zwierzęta nie jest łatwo. Nie wszyscy to potrafią. Są ludzie, którzy znajdują przyjemność w dręczeniu zwierząt. Są ludzie, którym zwierzęta są obojętne. Autorzy, którzy decydują się pisać o zwierzętach nie do nich adresują swoje teksty. A o zwierzętach napisano już bardzo dużo. Co sobotę o zwierzętach opowiadają Hanna i Antoni Gucwińscy, a telewidzowie uznali ich za popularnych i lubianych twórców telewizyjnych. Telewizji jakoś nie szkoda miejsca na pokazywanie zwierząt.

Zenon Porowaty i Ben Grundik kłaniając się pozdrawiają

REDAKTOR DYŻURNY

PRZYPOMNIENIE

Łomżyński tygodnik „Kontakty" przypomina, że termin nadsyłania prac na Turniej Reporterów im. Melchiora Wańkowicza upływa 28 lutego 1987 r. Hasło III edycji Turnieju brzmi: „Jedno mam życie", a jego organizatorzy („Kontakty") LSW i Wydział Kultury UW w Łomży przewidzieli tym razem — poza główną nagrodą w kwocie 100 000 złotych — aż 5 wyróżnień po 40 000 złotych każde.

W BOLIMOWIE PAMIĘTAJĄ

W numerze 51 z 20 grudnia 1986 r. tygodnika „Odgłosy" jest zamieszczony artykuł Pawła Fijałkowskiego pod tytułem „Wśród obłoków śmierci". Nie kwestionując interesującej treści artykułu odnoszącego się do jednego z epizodów I wojny światowej mało powszechnie znanego, a żywego jeszcze w pamięci wielu mieszkańców gminy Bolimów, którzy wraz z rodzicami byli wysiedleni z terenów przyfrontowych i którzy skutkiem działań wojennych utracili całe mienie, za krzywdzące w stosunku do nas uważam nieścisłości zawarte w artykule i proszę o ich sprostowanie.

9 miesięcy trwające walki, bardzo duże straty w ludziach spowodowały, że cały nieomal teren nad rzeką Rawką jest jednym masowym grobem. Po zakończeniu działań wojennych poległych pochowano na kilkunastu cmentarzach, z których kolejno w okresie 20-lecia międzywojennego ekshumowano do dwóch mogił zbiorowych. Aktualnie na terenie gminy znajdują się trzy cmentarze ofiar walk 1914—1915.

Na rynku w Bolimowie Niemcy pozostawili obelisk ku czci Cesarza Wilhelma, który miał osobiście oglądać skutki użycia gazów bojowych. Obelisk ten mieszkańcy rozebrali w listopadzie 1919. Trwałymi pamiątkami walk pozostały wmurowane w ściany kościoła łuski po pociskach artyleryjskich, gongi alarmowe wykonane z przeciętej butli po chlorze oraz cmentarze wojenne.

Staraniem mieszkańców i władz gminy w roku 1986 przystąpiono do rewaloryzacji cmentarzy, celem przywrócenia miejscom spoczynku ofiar walk godnego wyglądu. Wykonawcami remontów są miejscowi rzemieślnicy. W miesiącach letnich odrestaurowano wykonany w okresie międzywojennym zbiorowy cmentarz położony w lesie na pograniczu wsi Joachimów Mogiły Również w miesiącach letnich przystąpiono do rewaloryzacji cmentarza znajdującego się w rozwidleniu dróg na peryferiach Bolimowa. Na cmentarzu tym wycięto krzaki i naprawiono kamienne ogrodzenia oraz przystąpiono do odnowienia tablic nagrobnych. Całkowite zakończenie remontu wiąże się z dokończeniem odnawiania tablic nagrobnych, uzupełnieniem drewnianej części ogrodzenia oraz wykonaniem nowego zadaszenia kapliczki. Prace te zostaną wykonane w 1987 roku.

Zaniedbanie miejsc wiecznego spoczynku poległych w czasie działań wojennych miało w określonych okresach miejsce i nie kwestionują różnego stosunku do tychże miejsc różnych ludzi. Niemniej jedynie chyba w pamięci starszych mieszkańców gminy tkwi przekazywana wiadomość, że walczący po obu stronach żołnierze wychodząc z okopów po wodę do rzeki porozumiewali się w polskim języku i jedynie dzięki tym samym mieszkańcom, cmentarzom przywracany jest właściwy wygląd. Błędem artykułu zaś jest, że groby Nieznanego Żołnierza na terenie gminy Bolimów nie wyglądały w chwili ukazania się tygodnika tak, jak opisane zostały i dla prawdy obiektywnej gdyby Paweł Fijałkowski latem roku 1986, czyli przynajmniej z pół roku przed napisaniem artykułu odwiedził opisywane miejsca, nie popełniłby w nim krzywdzącego mieszkańców błędu.

Inż. ANDRZEJ JAGURA
(naczelnik gminy)
J. KONOPCZYŃSKI
(I sekretarz KG PZPR)

MIGAWKI

I. O NASZEJ POTĘDZE GOSPODARCZEJ.

Narzekamy, że kraj nasz biedny i na nic nas nie stać? Nieprawda — jesteśmy bogaci i stać nas na wiele. W szczególności na bzdury i niewypały gospodarcze. I to od lat. Nie jestem na tyle naiwny, aby sądzić, że odkryłem Amerykę. Każdy ma na pewno w tej sprawie wyrobione zdanie i przykładami mógłby sypać jak z rękawa. Nie odmówię sobie jednak wątpliwej przyjemności kolejnego zaatakowania resortu budownictwa. O grzejniki panelowe.

Jak już wiele razy pisano — panele przyjęto do stosowania w naszym klimacie bez specjalnego zastanowienia. Z braku normalnych standardowych grzejników żeliwnych. Zresztą mają one swoje zalety, jednak w systemie co. grawitacyjnym, bez przymuszonego obiegu. Bo pękają. Straty olbrzymie, zalane całe kondygnacje bo — abstrahując od tego, czy akurat ktoś jest w domu — i tak nie ma możliwości natychmiastowej interwencji. Znów — z oszczędności — przyjęto zasadę jednego tylko zaworu, na tak zwanym „wlocie" zamiast dwóch, co umożliwiałoby w każdej chwili odcięcie grzejnika.

Że coś „nie gra" i był to niewypał świadczą rozporządzenia pobłogosławione przez bank, które nakazują wymianę paneli na zwykłe grzejniki żeliwne. „Akcja" trwa cały rok. W tym — i w sezonie grzewczym. Ekipy fachowców wymieniają kaloryfery: norma to 6 mieszkań dziennie. W moim 11-kondygnacyjnym wieżowcu w jednej klatce są 33 mieszkania. Na załamaniu — tylko 22. Lecz sęk w tym, że węzły co. urządzone są ze względów oszczędnościowych w taki sposób, że dla wymiany jednego choćby kaloryfera trzeba wymusić ciepłą wodę z czterech klatek. Tak więc codziennie idą do ścieków hektolitry gorącej wody... A wymontowane panele idą na złom lub w najlepszym razie są spawane jako ściany komórek (przykład: ul. Pocztowa). Kto chce, niech sprawdzi.

Jesteśmy krajem bardzo bogatym, skoro nas na to wszystko stać. Jesteśmy odporni na wszelkie wstrząsy i budury.

II. O WRAKACH.

Już kiedyś pisałem o samochodziku P-70, który pozostawiony przez właściciela na parkingu stał tak długo, aż miejscowa dzieciarnia nie bez szkody zresztą dla własnego zdrowia zamieniła go w kupę złomu. Wówczas dopiero resztki śmieci uprzątnął gospodarz terenu, czyli spółdzielnia mieszkaniowa.

Do tematu wracam, bo ciągle w prasie napotyka się na notatki o pozostawionych autach, nawet ciągnikach (!). Wszyscy się dziwią, jak to może być. A ja się nie dziwię. Właściciele potencjalnych wraków wiedzą doskonale, że wywóz na złomowisko kosztuje. Pozostawiają je więc w miejscach publicznych, licząc na tolerancję lub marazm organizacyjny odpowiedzialnych instytucji. I dobrze na tym wychodzą, gdyż wyegzekwowanie obowiązków (np. obciążenie kosztami wywózki wraka) jest wyjątkiem.

Aby nie być gołosłownym: ostatnio na zapleczu parkingów SDM rozbebeszono zupełnie stary autokar firmy polonijnej z Pabianic. Potłuczono okna, wyważono drzwi, wywleczono na zewnątrz wszystko, co tylko dało się wyciągnąć. Stoi ten śmietnik już ze dwa miesiące i wszyscy udają, że jest w porządku. A może należałoby zmusić firmę do uprzątnięcia wraku na własny koszt?

Przykład drugi: przed moim oknem stoi wrak nyski. Jeszcze niedawno stał wewnątrz posesji przy zbiegu ulic Murarskiej i Sadowej, jednak ostatnio właściciel (co za estetа), znudzony widocznie patrzeniem na tę kupę złomu, wyciągnął nyskę na zewnątrz posesji i zostawił... na chodniku. Może ktoś się tym zajmie?

O co mi więc chodzi? Z jednej strony o poczucie zupełnej bezkarności, jeśli rzecz w zaśmiecaniu miasta, z drugiej — o znieczulicę odpowiedzialnych za stan terenu, czyli władz dzielnicowych lub zarządów spółdzielni mieszkaniowych.

W. AFELT

DLA DEBIUTANTÓW NAGRODY

Jury konkursu w składzie: Leszek Bugajski, Jerzy Leszin (sekretarz), Rena Marciniak, Krzysztof Pysiak, Janusz Termer (przewodniczący) na posiedzeniu 27.10.86 r. postanowiło spośród 320 nadesłanych powieści i zbiorów opowiadań przyznać trzy równorzędne nagrody po 40 tys. zł:

Janowi Krzysztofowi Adamkiewiczowi z Poznania za powieść pt. „Szkło" (godło: „Beniamin Stutibek"), Irenie Kowalskiej z Wrocławia za pracę pt. „Moje miejsce, czyli aktywność homokreatora" (godło: „Jacek Nowakowski"), Andrzejowi Krzewickiemu z Warszawy za zbiór opowiadań pt. „Stan płonny" (godło: „Gars").

Ponadto, zgodnie z regulaminem, jury konkursu zarekomendowało do wydania w MAW: pracę Beaty Pawlikowskiej z Koszalina pt. „Powrót" (godło: „Baltazar"), powieść Mirosława Piepka z Gdańska pt. „Smuga blizny" (godło: „Szkwał"), pracę Jana Tulika z Krosna pt. „Doświadczenia" (godło: „Gips"), powieść Zbigniewa Wilczyńskiego z Łodzi pt. „Sen pod wiatr" (godło: „OBDOGADOB") oraz przyznało trzy roczne stypendia po 7 tys. zł miesięcznie ufundowane przez MAW: Pawłowi Gajewskiemu z Warszawy za pracę pt. „Mam was dość" (godło: „Destruktor"), Markowi Głowackiemu z Łodzi za pracę „Bywał Bogiem i inne opowiadania" (godło: „Vacek") i Agnieszce Mrowińskiej z Warszawy za pracę pt. „Noc" (godło: „Ewa").

Nagrodzone prace zostaną wydane przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą.

ZŁOTE PIÓRO BAŻANTA

Zarząd Wojewódzki Polskiego Związku Łowieckiego w Łodzi i Zarząd Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL ogłasza konkurs dla dziennikarzy prasy, radia i telewizji.

Konkurs będzie trwał od stycznia do 30 listopada 1987 r. Opatrzone datą: artykuły, reportaże, informacje i notatki oraz dające się sprawdzić audycje radiowe i telewizyjne prosimy kierować do Zarządu Wojewódzkiego PZŁ w Łodzi, ul. Zachodnia nr 53, w terminie do 30 listopada 1987 r. O tym, kto zdobędzie jedną z nagród ufundowanych przez PZŁ zadecyduje jury, w skład którego obok przedstawiciela WRŁ wejdzie przedstawiciel Zarządu Oddziału SD PRL.

W konkursie, który będzie przebiegał pod hasłem: „O złote pióro bażancie prezesa Wojewódzkiej Rady Łowieckiej" może wziąć udział każdy dziennikarz pragnący przyczynić się do ratowania zwierzyny przed jej zagładą. Nie ustalamy ścisłych ram tematycznych konkursu. Pragniemy jednak, aby w prasie, radiu i telewizji zwrócić szczególną uwagę na następujące sprawy i zagadnienia:

1. Zarys historii łowiectwa i jego ewolucja w okresie zaborów w Polsce międzywojennej i po wyzwoleniu.
2. Ustawa łowiecka z 1959 r. „O hodowli i ochronie zwierząt łownych i prawie łowieckim".
3. Gatunki zwierzyny łownej ginące i najbardziej zagrożone.
4. Degradacja środowiska naturalnego i jej wpływ na stan zwierzyny łownej.
5. Praca myśliwych w zakresie zapobiegania szkodom wyrządzanym w rolnictwie przez leśną zwierzynę łowną.
6. Spadek pogłowia kuropatw, bażantów i zajęcy — przyczyny i środki zaradcze.
7. Ochrona zwierzyny: a) kłusownictwo. b) „bezpańskie psy" na polach i w lasach; c) zakłócanie spokoju w łowiskach przez osoby pojedyncze, zbieraczy runa leśnego, przez uczestników wycieczek i przez pojazdy mechaniczne.
8. Zabiegi hodowlane: a) budowa urządzeń karmowych; b) dokarmianie; c) ochrona gniazd lęgowych; d) budowa wolierów dla młodych bażantów.
9. Współpraca Kół Łowieckich z młodzieżą szkolną: a) wygłaszanie w szkołach prelekcji na temat gospodarki łowieckiej i ochrony zwierzyny; b) organizowanie konkursów sprzyjających pogłębianiu wiedzy o tematyce łowieckiej; c) organizowanie wycieczek do łowisk; d) wyświetlanie filmów o tematyce łowieckiej. e) wytwarzanie właściwej atmosfery w społeczeństwie wokół spraw łowieckich.
10. Tradycje, zwyczaje i etyka łowiecka: a) kultywowanie tradycji, zwyczajów i języka myśliwskiego; b) łowiectwo jako czynnik kulturotwórczy.
11. Korzyści materialne z łowiectwa dla państwa i korzyści niematerialne o charakterze społecznym.

Z MOJEGO PUNKTU WIDZENIA

W nawiązaniu do listu Stanisława Desputa „Czy istnieje problem metro czy mieszkania" pragnę wyrazić swoje zdanie na ten temat. Problem taki rzeczywiście istnieje i moim zdaniem niewątpliwie należy budować mieszkania.

Zakładam, że zostanie wykonana dokumentacja na budowę metra i przeprowadzimy prace geologiczne. Ale rząd PRL będzie chciał zrealizować przyrzeczenia dane społeczeństwu i budować więcej mieszkań, a zatem budowa metra przesunie się na pierwszą, drugą dekadę XXI w. A i tak przy naszych możliwościach gospodarczych nie starczy materiałów na tak duże przedsięwzięcie. Trzeba patrzeć bez złudzeń na możliwości naszych hut, cementowni, których się nie buduje i nawet nic nie słychać, żeby takie zamiary były. Uważam zatem, że dokumentacja na budowę metra zdąży się zdezaktualizować, a wykonanie jej i tak będzie sporo kosztować nas wszystkich. Przy obecnym tempie postępu technicznego może okazać się, że w XXI wieku idea metra stanie się anachronizmem, ludzie mogą wymyślić nowe sposoby przenoszenia się o wiele tańsze i lepsze od pociągu zamkniętego w krecich tunelach.

Moim zdaniem niefortunnie użyła redakcja sformułowania: „co myć, nogi czy ręce i szyje", potrzebne jest jeszcze mydło do mycia każdej wymienionej części ciała.

Uważam, że słowa St. Desputa „starajmy się, żeby ponoszone nakłady były trafnie ulokowane co do celu i terminu" są słuszne. Do zrozumienia mojego stanowiska dopomoże Wam krótkie przedstawienie moich warunków życiowych.

Mam 26 lat, mieszkam z żoną i dwojgiem dzieci w wieku przedszkolnym w mieszkaniu o powierzchni 36 m kw., bez wody, kanalizacji i innych wygód. Perspektywa oczekiwania na mieszkanie o standardzie odpowiadającym standardowi końca XX w. w Europie jest odległa o około 20 lat.

JERZY KUNICKI

Argumenty Jerzego Kunickiego nadal nas nie przekonują. Jest to — doskonale to rozumiemy — punkt widzenia człowieka, który oczekuje na mieszkanie i dla którego mieszkanie jest najważniejsze. Ale — jak pokazuje praktyka — po otrzymaniu mieszkania — czego z całego serca życzymy i aby było jak najszybciej! — punkt widzenia zmieni się. Wtedy na pierwsze miejsce wysuną się sprawy osiedla: żłobka, przedszkola, szkoły, sklepu, restauracji, kina, a również komunikacji. I wtedy może się okazać, że sam Jerzy Kunicki będzie miał pretensje do władzy, że nie wybudowała na czas metra. I dlatego ta władza musi znaleźć sposób na równoczesne rozwiązywanie wszystkich problemów, które decydują o poziomie życia mieszkańców miasta. W naszym wspólnym rozumowaniu trzeba zatem starać się pozbyć pojęcia: „nie można", „nie da rady" i tak dalej. Pewnie, że nie będzie to łatwe. Ale konieczne!

REDAKTOR DYŻURNY

Willa w Acapulco stojąca na wysokim skalistym brzegu morskim nosiła miano Casa de la Carcajada, „Dom Śmiechu". Salon wychodził na taras zakończony basenem. Falcon wydał kolację. Zaproszeni tańcząc, pijąc i jedząc wypełnili dom i ogród. Jaśmin rozsiewał ciężką woń. Gdy milkła muzyka od brzegu dobiegał ryk Pacyfiku.

Dwóch czy trzech nieznanych gości wydawało się osobliwie nie na miejscu — ludzie nieokrzesani, ubrani jak wieśniacy. Powiedzieli kilka słów do Falcona i wyszli.

Nazajutrz po przyjęciu, na krótko przed zapadnięciem zmroku, trzy okryte plandekami ciężarówki pojawiły się na alei prowadzącej do willi. Wieśniacy w butach z cholewami, w sarapach i sombrerach, z wąsami à la Pancho Villa, uzbrojeni w pistolety maszynowe, noże i rewolwery, rozbiegli się, by otoczyć dom, objąć w posiadanie ogród i basen, rozproszyć się po salonie.

Barruetta, komfortowo ulokowany na pokrytej skórą kanapie, podziwiał zachód słońca, gdy ujrzał pierwszego z pojawiających się po przeciwnej stronie basenu partyzantów. Nie wierząc własnym oczom spojrzał na Carlosa, który wyglądał olśniewająco w jedwabnych spodniach, z obnażoną piersią i złotym łańcuszkiem. Carlos składał grę w jacqueta. Nie dokończył. Wydawał się zmartwiały z przerażenia.

Partyzanci rozlokowali się spokojnie, praktycznie bez słowa. Trzy minuty później, gdy objęli teren w posiadanie, do domu— jakby ten do niego należał — wkroczył wysoki, ogorzały człowiek w białej koszuli, spodniach koloru khaki, słomkowym kapeluszu i z pistoletem za pasem.

Wyszedłszy z pokoju Falcon powitał mężczyznę z radością; uściskali się ze śmiechem jak starzy przyjaciele. Nie odzywając się ani słowem do innych gości, Falcon wszedł z nim na piętro i zniknęli w obszernej sypialni.

Uzbrojeni ludzie udali się do kuchni i zażądali czegoś do picia. Inni o nieprzyjemnym wyglądzie ściągnęli do salonu; gdy napotkało się ich spojrzenie, uśmiechali się złowrogo ukazując szczerbate dziąsła. Z pistoletami maszynowymi przewieszonymi przez ramię oglądali ciężarówki, posiadłość i elegancko ubranych gości, którzy starali się rozmawiać i grać w karty czy w jacqueta jak gdyby nigdy nic.

Ale Barruetta nigdy naprawdę nie widział guerillero i teraz był zmieszany. Wraz z Carlosem, Rogerem Fryem i dwoma czy trzema innymi gośćmi uważnie nasłuchiwał hałasów, jakie dochodziły z sypialni.

Blisko trzy godziny później Falcon i szef guerilla wyszli z pokoju. Uściskali się i pożegnali. Guerillero i jego ludzie zapakowali się na ciężarówki, które zniknęły w ciemności.

Falcon wrócił do salonu. Nikt nie wymówił słowa. Spojrzał na otaczające go pytające i zatroskane twarze.

— *Chodźmy coś zjeść* — powiedział. — *Mamy dużo do pogadania.*

Poszli do Carlos'n'Charlie na Costra Miguel Aleman. Gospodarz przepuścił ich obok szeregu czekających klientów i usadowił w głębi przy wolnym stoliku. Falcon poczekał aż kelner otworzył Don Pérignon i napełnił kieliszki.

— *Senores* — zaczął. — *Nie będzie już problemów. Będziemy kontrolować całą marihuanę w Meksyku.*

Guerilla miała mu dostarczyć ponad sto ton marihuany. I była to dopiero pierwsza dostawa.

Falcon uśmiechnął się i wziął duży kawałek szczypiec homara. Zanurzył go w maśle i wypił szampana.

Wszyscy byli zbici z tropu, każdy starał się zrobić przeliczenie w pamięci. Sto ton po 170 dolarów funt dawało 34 miliony dolarów. A Falcon powiedział ponad sto ton — dodane do następnych ładunków.

Później udali się do nocnego lokalu i spędzili noc na tańcach, piciu i zażywaniu kokainy.

Nikt nie pytał o szczegóły. W jaki sposób przewieźć przez Meksyk sto ton marihuany? W jaki sposób ze stu tonami marihuany przekroczyć granicę — i to wielekroć! I czy można stale mieć wpływ na meksykańską policję federalną. Czym i w jaki sposób Falcon zapłaci guerillero i jego bandzie rozbójników z gór? I co właściwie knuł guerillero. Nikt nie zadawał pytań. Nie miało to zresztą znaczenia. Falcon miał odpowiedź na wszystko.

Była ciemna, cicha, bezksiężycowa noc. Dwa miesiące upłynęły od zebrania w Acapulco i Barruetta wynajął ranczo w Kalifornii. Czekał. O ósmej wieczorem przybyło czterech ludzi. Przyjechali z położonego 70 kilometrów na zachód Los Angeles. Dwóch z nich oddaliło się i powróciło o dziewiątej dwiema wynajętymi ciężarówkami Ryder. Wszyscy weszli do domu i czekali.

O dziesiątej Barruetta usłyszał warkot motoru. W okna budynku uderzyły światła reflektorów.ż Wyszedł i ujrzał podjeżdżającą ogromną ciężarówkę-cysternę Peterbilt z przyczepą. Kierowca, meksykanin, wyskoczył z kabiny, pozdrowił Barruettę i pozostałych, potem przebrał się: grube obuwie, spodnie ochronne, rękawice i gumowa czapka. Wspiął się na cysternę i, rzecz zdumiewająca, zniknął wewnątrz. Można by powiedzieć, że zanurzył się w benzynie.

Dwóch innych ludzi poszło jego śladem. Chwilę później upadły na ziemię paki marihuany. Ludzie znajdujący się w cysternie podawali ją temu, który siedział na dachu. Barruetta liczył. Było tego około trzech ton. Wszystko trwało godzinę.

Kierowca ciężarówki wszedł do kabiny i z rykiem silnika opuścił ranczo. Czterej ludzie podążyli za nim swymi samochodami. Czując się bogatszy niż kiedykolwiek, Barruetta udał się na spoczynek.

Dzień po dniu przybywały ciężarówki-cysterny. Napełniały marihuaną drewniany skład w Mexicali, 200 kilometrów na wschód od Tijuana. Niekiedy jakaś ciężarówka ciągnęła jednocześnie dwie przyczepy. W ciągu jednego miesiąca Barruetta naliczył 19 cystern i 57 ton marihuany. Blisko 20 milionów dolarów po cenie hurtowej, setki milionów w detalicznej. Barruetta nawet nie śnił o takiej operacji. Znalazł się nagle w posiadaniu parkingu ciężarówek. Wynajmował rancza, magazyny, wille. Jeśli kiedykolwiek wątpił w zdolność Falcona do przetransportowania wielotonowych ładunków marihuany z Meksyku do Kalifornii, wydarzenia pokazały, że się mylił. To było tak jakby Amerykańskie Towarzystwo Tytoniowe przestawiło się nagle na handel marihuaną a on został wiceprezesem odpowiedzialnym za import.

Czy Falcon kierował innymi operacjami tego typu, o których Barruetta nie widział? Niektóre ciężarówki transportowały także paczki kokainy. Pewnego razu oddano mu również karabin maszynowy. Cóż, do diabła, robiłby z karabinem maszynowym?

Christine, żona Barruetty, nie lubiła zajęcia męża a jeszcze bardziej jego przyjaciół. Miała żal do Falcona, że sprowadził go z uczciwej drogi. Wydawało się jej, że wciągnięto Barruettę w snobistyczne, światowe życie, do jakiego nie był stworzony. Wiedziała, że sypiał z innymi kobietami; wyznała mu, że także miała przygody z mężczyznami. Często bywał nieobecny; gdy wracał kłócili się, i znów wyjeżdżał. Mieli syna, Erica, ale Barruetta rzadko go widywał.

Niezgoda między Barruettą i Christine wyszła wreszcie na jaw w nocnym lokalu w Tijuana. Spowodowało to serię wydarzeń, które zmieniły życie tych wszystkich, którzy należeli do organizacji Falcona.

Tego wieczoru, gdy zaczęły się kłopoty, dyskoteka hotelu El Conquistador w Tijuana pełna była przyjaciół i wspólników Falcona: ludzi, na obrażenie których nie mógł sobie pozwolić.

— *Przyszła na dyskotekę do El Conquistador* — opowiada Barruetta. — *Byliśmy tam wszyscy, najgrubsze ryby handlu narkotykami w Meksyku. Zaczęła krzyczeć. Próbowała sprać jedną z dziewczyn w toalecie. Mówiła wszystkim, by poszli do diabła i wyzywała ich od brudnych handlarzy. Byli tam policjanci, synowie gubernatorów, sędzia, nie licząc Falcona, Carlosa i mnie. Słowem, rządzący i bogacze Meksyku zebrani na całkiem prywatnej kolacji.*

Christine zrobiła okropny skandal. Dyskoteka całkowicie opustoszała. Wyszła na parking i zaczęła rzucać kamieniami w mój samochód. Przyjechała policja: „Odprowadzimy Panią do samochodu. Wsiądzie Pani, przekroczy granicę i wróci prosto do siebie". *Zgodziła się.*

— *Późnym wieczorem* — ciągnie dalej Barruetta — *znalazłem ją u Falcona w „Okrągłym Domu".* „Słuchaj — mówi do mnie — trzeba coś z tym zrobić. Christine zachowała się wobec wszystkich jak paranoiczka. Musisz ją tu sprowadzić, abyśmy się jej pozbyli". *Nazajutrz powiedziałem o tym Christine. Wyjaśniłem jej, co się dzieje, aby spróbowała mi pomóc, aby przestała być nieznośna. Niestety, nie uwierzyła mi. Nie miała żadnego pojęcia, kim byli ci faceci.*

Nawet jeśli Barruetta i Christine wciąż się kłócili i mimo że dochodziło pomiędzy nimi nawet do rękoczynów, coś zawsze ciągnęło ich ku sobie. Ale nigdy nie trwało to długo. Gdy się rozstawali, spieszno im było się spotkać. Gdy byli razem, nie mogli się nawzajem znieść. Scenariusz był zawsze taki sam i tylko każdorazowo bardziej bolesny. A teraz stało się to już nie tylko ich problemem, lecz także problemem Falcona. A ten upierał się, by Barruetta ją usunął.

— *Zabij ją* — powiedział Falcon — *albo popełnij samobójstwo. Sprowadź ją do „Okrągłego Domu", a nie wyjdzie stąd".*

Barruetta został już raz wezwany do „Okrągłego Domu", gdzie przykazano mu wziąć udział w zabójstwie jednego z przyjaciół. Falcon, Carlos i Chu-Che (z ochrony osobistej Falcona) sądzili, że donosił on policji. To był pierwszy przypadek, gdy stosowana przez Falcona przemoc dotknęła personalnie Barruettę. Posiadł on umiejętność niemyślenia o tym, o czym nie chciał wiedzieć. Chciał myśleć o dziewczynach, o nocnych lokalach i restauracjach, pięknych samochodach i koniach wyścigowych, o niczym więcej.

— *Chcieli, bym go sprowadził do Tijuana, aby mogli go zabić* — mówi Barruetta. — *A ten chłopak był moim bardzo dobrym przyjacielem. W „Okrągłym Domu" wszyscy nękali mnie pytaniami:* „Czy ten facet przyszedł na ranczo i widział cię, czy znasz jego żonę, skąd bierze forsę, którą gra na wyścigach, wydaje więcej niż zarabia, skąd bierze forsę, co robi?"

Falcon miał adwokata z Beverly Hills, Harry'ego Tarlowa, który zaangażował kilku facetów, by śledzili nas wszystkich; wyciągnęli raporty policji amerykańskiej o tym chłopaku. Falcon postępował tak wobec wszystkich naszych klientów, przydzielał im szpicli, aby wiedzieć, co robili, gdzie chodzili, kim byli. I chcieli, bym pomógł im zabić tego chłopaka, mego przyjaciela. Nie chciałem mieszać się do takich historii. To mnie przerażało. Powiedziałem im: „Trzeba znaleźć inny sposób".

— *Wiedziałem, w jaki sposób pozbywali się niektórych osób. Dokonywali tego z maestrią... w środku nocy znajdowano trupy, a przyjęcie trwało dalej. Powiedzieli mi o dwóch osobach, które zabili w ubiegłym tygodniu. Przywiązali tego chłopca i dziewczynę do siedzeń ich Volkswagena i podpalili. Nie mogłem uwierzyć, że byli w stanie to zrobić z dwojgiem tych miłych ludzi. Podjął się tego Rubi z ochrony osobistej. Spalił ich żywcem.*

Falcon był zdolny do wszystkiego. Do Acapulco, przez kanał panamski, przypłynął pewien statek z ładunkiem kokainy. Zaatakował statek i zawładnął koką. Ten rodzaj sztuczek bawił go. Robił napad na dom jakiegoś faceta, zabijał ochronę, potem zmuszał typa, by ten, zanim zostanie zgładzony, powiedział mu gdzie wszystko było ukryte.

Po spotkaniu w Acapulco z guerillero, Falcon przetransportował marihuanę samolotem do miejsca położonego blisko granicy, gdzie ją zgniatano i pakowano. Wieśniacy, którzy tam pracowali donieśli meksykańskim Fedsom. Falcon zabił całą ekipę pakowaczy. Dziesięciu facetów, ot tak sobie. Mógł powstrzymać policję od wtykania tam nosa. Miał taki wpływ na władze meksykańskie, że mógł robić, co chciał.

— *Ostatecznie przyrzekłem Falconowi* — mówi Barruetta — *że postaram się sprowadzić przyjaciela, ale nic nie uczyniłem, i nigdy już nic na ten temat nie słyszałem.*

C.D.N.

Z „Paris Match" tłumaczył:
BOGDAN BANASIAK

Na ulicach miast Algierii

WŁODZIMIERZ KAŁCZAK

Wszyscy podejrzewali wszystkich, za każdym ktoś chodził, albo ludzie organizacji, albo policja, a podejrzanych o zdradę likwidowano niekiedy w okrutny sposób.

Falcon, obłąkany cesarz narkotyków

(3)

ze str. 1

jące jednym tylko wydarzeniem. Tydzień zaledwie wcześniej znaleziono na brzegu rzeki zmasakrowane, wykastrowane i pozbawione głowy zwłoki młodego nauczyciela miejscowej szkółki. Szwadrony śmierci dotarły już i tu. W prowadzonych półgłosem rozmowach powtarzały się słowa tak często używane przez ofiarę bestialskiego mordu: — dyktatura, demokracja, terror, reforma rolna. Raúl Perez nie mieszał się do tych niebezpiecznych szeptów.

Trzy dni po odpuście w Tapachengo do sąsiedniej, oddzielonej od San Martin tylko pasmem wzgórz wioski San Antonio weszli partyzanci. Dziesięciu wychudzonych, młodych ludzi, siedmiu chłopaków i trzy dziewczyny. Zielone, tu i ówdzie podarte stroje: wysokie, wojskowe buty. Na ramionach karabiny maszynowe, u pasów wiązki granatów, w kieszeniach krótkofalówki. Przyszli po żywność. W Gwatemali zawsze daje się żywność temu, kto ma karabin. Tak więc i z San Antonio guerilleros wyszli z zapasem tortillas na parę dni. Kolejne dwa dni upłynęły spokojnie. Tragedia przyszła dnia trzeciego. Nikt nie wie dokładnie, co wydarzyło się w San Antonio. Wszystko co Raúl Perez może powiedzieć, to tylko tyle, że już w nocy słychać było po drugiej stronie wzgórz ryk ciężkich, wojskowych ciężarówek. Od świtu nad San Antonio krążyły trzy szturmowe helikoptery. Około godz. 10 dało się słyszeć strzały, chwilę potem nad selvę uniosły się kłęby czarnego dymu. Od południa za pasmem wzgórz zaległa martwa cisza. Jak się potem okazało z ponad stuosobowej ludności San Antonio ocalało ledwie kilkanaście osób. Nie ostała się ani jedna chata, ani jeden przyzagrodowy spichrz.

Następnej nocy wyludniło się również San Martin Oropú. Życie w ciągłym strachu przed atakiem uzbrojonych po zęby komandosów, okazało się nie do zniesienia. Opustoszało trzydzieści chat. Selva rozpoczęła, nie powstrzymywany już przez nikogo, powrót w wydarte jej niegdyś włości. Trzydzieści rodzin, ponad dwieście osób, zarzuciło na plecy głodowy dobytek, trochę kukurydzy, trochę fasoli, trochę tortillas, przekazywany z ojca na syna obrazek z domowego ołtarzyka i ruszyło na północ.

Do pokonania mieli prawie 200 km. W górskim, porośniętym tropikalnym lasem terenie. Szli nocami, za dnie kryjąc się w odludnych zakamarkach selvy. Nie palili ognisk, by dym nie zdradził miejsca postoju. Omijali drogi, wsie i miasteczka.

Za przewodnika służyło słońce i gwiazdy, drogę torowała maczeta. Po dwóch tygodniach dotarli do celu. Byli w Meksyku. Byli w kraju, gdzie nie ma partyzantów, szwadronów śmierci, gdzie nie grożą bezlitośnie i beznamiętnie krążące nad głową helikoptery. Ale był to również kraj, w którym nie było dla nich dachu nad głową, gdzie nie było dla nich ziemi do uprawy ani pracy, ani przyszłości, ani nadziei.

W MEKSYKU — KRAINIE NADZIEI

Raúl Perez i jego rodzina byli jednymi z pierwszych „refugiados guatemaltecos" — uchodźców gwatemalskich — w Meksyku. Przybyli w 1981 roku, kiedy zaczął się exodus Gwatemalczyków na ziemie sąsiada z północy. Wraz z zaostrzaniem się sytuacji w północnej Gwatemali coraz częściej i coraz liczniejsze grupy przekraczały granicę, chroniąc się przed wojną.

W latach 1981—84 osiadło w obozach w meksykańskim stanie Chiapas ponad 45 tys. osób. Zdecydowana większość z nich, żeby nie powiedzieć wszyscy, była w sytuacji bardzo podobnej do tej, w jakiej znalazł się Raúl Perez. Wszyscy oni to małorolni chłopi, którzy porzucili swe poletka, przedkładając niepewność emigracji nad stałą obawę o życie swoje i swoich najbliższych. Ponad 90 proc. z nich to Indianie. Głównie z grup Kanjobal, Jacalteco, Mam i Chuj wywodzących się z prastarego pnia Majów. Od większości mieszkańców Chiapas, który to stan w czasach kolonialnych związany był administracyjnie z Gwatemalą a nie z Nową Hiszpanią, nie różnią się ani etnicznie, ani językowo. Ułatwiało to bez wątpienia aklimatyzacje w pierwszym okresie ich pobytu na ziemi meksykańskiej. Zwłaszcza, że i reakcja chiapanecos była początkowo bardzo życzliwa, pełna współczucia i konkretnej pomocy.

Pod koniec 1984 roku uchodźcy z Gwatemali zamieszkiwali 89 obozów, rozsianych w pasie szerokości około 30 km., wzdłuż granicy, od Soconusco poczynając na Selva Lacandona kończąc. Z czasem wykształciły się dwa podstawowe typy obozów. Stosunkowo mniej liczne (około 30 przypadków), to osiedla lokowane na obrzeżach istniejących już wcześniej wiosek meksykańskich. Osiedla takie były zazwyczaj nieduże, rzadko kiedy przekraczały 200—300 osób. Siłą rzeczy, z czasem następowała pewna integracja ich mieszkańców z życiem wioski. Zdecydowanie częściej jednak lokowano obozy na nieużytkowanych gruntach z dala od istniejących osiedli. Często również z dala od dróg, tak że o integracji trudno w ogóle mówić, gdy i samo dotarcie do nich było często bardzo trudne.

Ludzie, którzy stracili nadzieję

Sytuacja uchodźców była i jest nadal bardzo trudna. Spontaniczna pomoc mieszkańców Chiapas nie mogła rozwiązać nawet części problemów tak wielkiej masy ludzi. Zwłaszcza, że początkowy entuzjazm znacznie osłabł, gdy okazało się, że przybycie ponad 40 tys. osób do tego, jednego z biedniejszych regionów Meksyku odbiło się w sposób zdecydowanie niekorzystny na sytuacji ekonomicznej mieszkańców Chiapas. Bardzo delikatna równowaga między popytem i podażą siły roboczej została poważnie zachwiana, z oczywistą szkodą dla robotników rolnych tego stanu. W tym układzie niezbędna stała się ingerencja władz federalnych.

MEKSYKAŃSKA TRADYCJA AZYLU

Państwo meksykańskie ma długą i chlubną tradycję, jeśli chodzi o dzieje emigracji politycznej w Ameryce Łacińskiej. Trzeba pamiętać, że burzliwa historia ostatnich dwóch wieków na tym kontynencie, jako swego rodzaju efekt uboczny, wykształciła bardzo specyficzne, nieznane systemom prawa międzynarodowego innych części świata, normy dotyczące azylu politycznego. Dość wspomnieć o azylu dyplomatycznym, polegającym na powszechnym uznaniu i przestrzeganiu prawa azylu w placówkach dyplomatycznych: ambasadach, konsulatach itp. Instytucja ta uratowała już życie wielu pokonanym politykom, umożliwiając im często aktywny powrót do życia publicznego. Meksyk zawsze bardzo konsekwentnie realizował zasady i prawa związane z instytucją azylu. Często nie ograniczał się do biernego udzielania schronienia prześladowanym za poglądy czy działalność polityczną, ale bywało, że i z własnej inicjatywy podejmował działania w tym kierunku. Warto wspomnieć chociażby, nieznany niemal w Polsce, epizod ze statkami meksykańskimi, które w 1938 roku zabierały za ocean pokonanych bojowników o Republikę Hiszpańską.

Niespokojne dzieje, tak Gwatemali, jak i Meksyku, niejednokrotnie powodowały, że osoby zaangażowane w polityczne życie swych krajów, zmuszone były szukać schronienia u sąsiada. Już w latach dwudziestych ubiegłego stulecia umykali do Meksyku działacze i sympatycy gwatemalskiej partii liberalnej. Również i wydarzenia ostatnich dziesięcioleci w Gwatemali zaowocowały „klasyczną" emigracją polityczną do Meksyku. Dość wspomnieć byłego rektora stołecznego uniwersytetu San Carlos Saula Osorio Paza, niekwestionowanego lidera kolonii gwatemalskiej w stolicy Meksyku.

Sytuacja jednak, jaka wytworzyła się w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych w Chiapas, nie przystaje do historycznie sprawdzonych wzorów. Po raz pierwszy na ziemię meksykańską przybyły, powodowane przyczynami politycznej natury, tak liczne grupy uchodźców, po raz pierwszy emigracja przybrała charakter masowy.

Po raz pierwszy również emigracja ta nie kieruje się do stolicy, czy innych dużych miast, centrów życia intelektualnego i politycznego. Najważniejsze jednak jest to, że tym razem państwo meksykańskie ma do czynienia nie z wytrawnym politykiem, wykształconym na zagranicznych uniwersytetach intelektualistą, czy zbuntowanym studentem, lecz z prostym, często prymitywnym, chłopem, którego możliwość, już nie tylko adaptacji, ale i po prostu zrozumienia jego nowej sytuacji życiowej i prawnej jest o wiele bardziej ograniczona. Oczywistym jest, że rodziło to zupełnie nowe problemy i wymagało zupełnie innych niż poprzednio metod działania.

OBOZY GWATEMALSKICH UCHODŹCÓW

Działania takie zostały podjęte. Już w lipcu 1980 roku, na długo wcześniej nim problem obajwił swe całkowite rozmiary, dekretem prezydenckim powołana została Comisión Mexicana de Ayuda a Refugiados (Meksykańska Komisja Pomocy Uchodźcom) — COMAR, podporządkowana federalnemu Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Podjęto też i szybko sfinalizowano rozmowy na temat współpracy Meksyku z Wysokim Komisarzem Narodów Zjednoczonych do Spraw Uchodźców — UNHCR. Zorganizowano dostawy żywności i odzieży, prowizorycznie unormowano status prawny przybyszów. Nie wszystko układało się jednak tak pięknie jak wskazywałyby to urzędowe sprawozdania. Już samo usytuowanie obozów, przede wszystkim tych w Selva Lacandona, w tropikalnej dżungli powodowało, że utrzymanie stałych transportów żywności, zwłaszcza w porze deszczowej, było bardzo trudne. Praktycznie niemożliwe było używanie ciężkiego sprzętu. Bywało, że tropikalne ulewy odcinały obozy na wiele dni od świata.

Szczególnie dramatyczny jest przykład obozu „Puerto Rico", w którym w ciągu trzech zaledwie miesięcy na przełomie 1982 i 1983 roku z 3 tys. osób obóz ten zamieszkujących, zmarło ponad 100. Mnożyły się też w prasie, głównie opozycyjnej, o orientacji lewicowej, doniesienia o nadużyciach, korupcji i pospolitych kradzieżach popełnianych przez funkcjonariuszy COMAR. Swego rodzaju odpowiedzią społeczeństwa meksykańskiego na tę sytuację było powstanie licznych, o większych lub mniejszych możliwościach działania, organizacji humanitarnych, niosących pomoc uchodźcom. Szczególnie efektywne były grupy związane z kościołami protestanckimi, bardzo aktywnymi obecnie w Meksyku, oraz katolicka diecezja w San Cristóbal de las Casas.

Sytuacja międzynarodowa również nie ułatwiała rozwiązania tych, jakże licznych problemów. Wojskowy rząd Gwatemali nieustannie podnosił oskarżenia o pomocy, jaką antyrządowa partyzantka otrzymuje z terytorium Meksyku. Stałym punktem zapalnym w stosunkach między oboma krajami były oskarżenia Gwatemali o szkoleniowym charakterze obozów Gwatemalczyków w Chiapas. Mnożyły się przypadki przekraczania przez patrole, a zdarzało się, że i większe oddziały, armii gwatemalskiej granicy i atakowania mieszkańców obozów położonych najbliżej linii granicznej.

Wszystko to spowodowało decyzję rządu meksykańskiego o przeniesieniu części uchodźców z Chiapas do stanów Quintana Roo i Campeche na Jukatanie. Zarówno sama idea, jak i sposób jej realizacji wywołały niesłychaną burzę, przeważnie krytycznych, komentarzy w prasie meksykańskiej. Mówiło się i pisało o przymusowym, brutalnym przesiedleniu, o odrywaniu od swojego otoczenia, o odbieraniu nadziei na powrót do rodzinnych wiosek. Tak czy inaczej, sytuacja obecnie jest taka, że na około 41 tys. uchodźców gwatemalskich na południu Meksyku, nieco ponad połowa żyje obecnie w 4 dużych obozach Quetzal-Edzná i Maya-Hecúm w Campeche, Los Ranchos i Los Lirios w Quintana Roo, gdy druga połowa nadal zamieszkuje 63 małe obozy w Chiapas.

Szukając obiektywnej oceny decyzji o przeniesieniu uchodźców w region oddalony o kilkaset kilometrów od granicy, oprzeć się wypada na źródle najbardziej kompetentnym i zarazem, co nieczęsto się zdarza, bezstronnym; na danych Wysokiego Komisarza ONZ. A te są jednoznacznie pozytywne. Warunki życia są w nowych obozach o niebo lepsze niż w starych. Wszystkie z nich dysponują stałą opieką lekarską, na miejscu są szkoły, wszystkie dzieci otrzymują wykształcenie na poziomie podstawowym. Najważniejsze jest jednak to, że mieszkańcy nowych obozów nie są już skazani na łaskawy chleb organizacji międzynarodowych. Dzięki uprawie, otrzymanych w bezpłatną dzierżawę gruntów państwowych, już w 1985 r. ponad połowa żywności konsumowanej przez mieszkańców tych obozów pochodziła z własnych zbiorów. Powstały tam również zaczątki produkcji rzemieślniczej, pozwalającej na zdobycie alternatywnego do pomocy humanitarnej, źródła utrzymania.

WYPRAWA PO NOWE DOŚWIADCZENIA

Moje osobiste spotkanie z refugiados nie zaczęło się jednak w dżungli Chiapas czy Quintana Roo, lecz w samym sercu stolicy kraju, w Zona Rosa. W tej to właśnie dzielnicy nocnych lokali, rozrywek i turystów, na szóstym piętrze reprezentacyjnego wieżowca mieści się federalna siedziba COMAR. Uzbrojony w pismo polecające stołecznego uniwersytetu usiłowałem uzyskać tam zgodę na wstęp do któregoś z obozów. Nie było to łatwe, fala krytycznych uwag na temat funkcjonowania COMAR sprawiła, że instytucja ta chętniej sama udziela informacji niż dopuszcza kogokolwiek do bezpośredniej styczności z uchodźcami. Tu nieoczekiwanie przychodzi mi jednak z pomocą fakt mojego polskiego obywatelstwa. Gdy odesłany zostałem do trzeciego kolejnego gabinetu, na trzecią kolejną rozmowę, podczas której po raz trzeci, powtarzam, kto ja za jeden i po co chcę tam jechać, okazuje się, że mój aktualny rozmówca jest byłym pracownikiem ambasady Meksyku w Pradze i bardzo jest zainteresowany sprawami naszego kraju. Problem oczywiście znika, umawiamy się na przyszły tydzień na rozmowę o Polsce, a wymaganą zgodę, wraz z poleceniem udzielenia mi wszelkiej pomocy przez regionalne delegatury COMAR mam do odbioru już za trzy dni.

Tak wyposażony wyruszam na południe. Przez Oaxaca, w pobliżu której drzemią opuszczone przez bogów i odwiedzane już tylko przez turystów Monte Albán i Mitla; przez Tuxtla Gutierrez ze śnieżnobiałą, nowoczesną katedrą św. Marka; przez San Cristóbal de las Casas — miasto kolonialnych kościołów i słynnych ze swego religijnego synkretyzmu Indian Chamulas; do Comitán. Comitán jest niedużym miasteczkiem położonym około godziny drogi od granicy z Gwatemalą, nie wyróżnia się niczym szczególnym, a dla mnie jest o tyle interesujące, że właśnie tu mieści się delegatura COMAR na stan Chiapas.

OBÓZ „ŚWIĘTA POLSKA"

Zjawiam się w biurze wcześnie rano — biuro jak biuro, pięć pokoi, obok magazyn, z którego właśnie przenosi się na terenową ciężarówkę worki z kukurydzianą mąką. Oczywiście trzeba czekać. Osoby kompetentnej, która mogłaby stwierdzić, czy i kiedy zobaczę obóz, w tej chwili nie ma, ale zaraz (jak się potem okaże „zaraz" oznacza 4 godziny) wróci. Póki co dostaję trochę materiałów informacyjnych i tu dopiero niespodzianka; na liście 63 obozów odnajduję ni mniej ni więcej tylko jeden o nazwie „Santa Polonia". Jak się potem okaże nie ma on nic wspólnego z Polską (sąsiednia wioska nazywała się kiedyś Santa Apolonia i z biegiem wieków „A" z imienia świętej gdzieś się zapodziało), ale decyzja jest oczywista — muszę to zobaczyć.

W końcu zjawia się oczekiwany człowiek, Martín, o bojowym nazwisku Guerrero (wojownik). Jest świeżo upieczonym absolwentem wydziału nauk społecznych i politycznych stołecznego uniwersytetu, pracuje w Chiapas, bo w Dystrykcie Federalnym, jak i dla wielu jego kolegów, pracy po prostu nie ma. Okazuje się, że pismo od wielbiciela Polski z centrali rozwiązuje wszelkie problemy, wsiadamy do terenowego Nissana, takiego z napędem na cztery koła, dla którego pojęcie „droga nieprzejezdna" nie istnieje i ruszamy do tej Świętej Polski.

Droga wiedzie najpierw piękną asfaltową autostradą w stronę granicy. Zapierającymi dech w piersi serpentynami wspinamy się na szczyty ostatniego w Meksyku pasma gór, by, po minięciu zakrętów Diabła (komuś skała przy nim skojarzyła się z kształtem krogulczego nosa upadłego anioła) i marimba (co roku, tego samego dnia w maju, zbierają się na tym zakręcie mistrzowie tego instrumentu z całego Chiapas, by grać górom i lasom w miejscu, gdzie kilkanaście lat temu w przepaść stoczył się samochód wiozący innych wirtuozów drewnianej paleczki), wychynąć w nadgraniczną dolinę. Jeszcze tylko kilka kilometrów tą samą szosą, mijamy wioski o biblijnych nazwach: Nuevo Jerusalén, Nazareth — to widomy efekt pracy protestanckich misjonarzy i dojeżdżamy do Sabinalito.

Sabinalito to jeden z tych obozów, które stanowią praktycznie część istniejących w tym miejscu od wieków meksykańskich wiosek. Jak opowiada Martin, obie społeczności w dużym stopniu się już zintegrowały, nie brak nawet mieszanych małżeństw. Jedyna widoczna od razu różnica, to zdecydowanie mniejsza zamożność, lepiej powiedzieć zdecydowanie większa bieda, przybyszów z południa.

Podczas gdy domy meksykańskich mieszkańców Sabinalito zbudowane są najczęściej z cegły, a w najgorszym przypadku z adobe, to chaty Gwatemalczyków są wyłącznie z drewnianych prętów, kryte liściem palmowym. Jak się jednak potem okaże, życie uchodźcy w tej wiosce jest dużo łatwiejsze niż w Santa Polonia. Na miejscu jest lekarz, wszystkie dzieci chodzą do szkoły i, co najważniejsze, jest stosunkowo blisko do wody. Całe szczęście, że okolica ta nie narzekała ostatnio na brak deszczów i poziom w studniach gwarantuje dostatek tego podstawowego dla ludzkiej egzystencji dobra co najmniej na kilka najbliższych miesięcy.

Czas jednak ucieka i, jako że wrócić musimy przed zmrokiem, trzeba ruszać dalej. Jeszcze tylko kilka kilometrów szosy i skręcamy w polną drogę. Nissan telepie niemiłosiernie, tumany kurzu uniemożliwiają otwarcie okien, więc upał jest niemal nie do wytrzymania. Po drodze pokonujemy w bród dwie rzeczki nie stanowiące żadnej przeszkody dla wspaniałej, japońskiej maszyny. Mijamy parę samotnych gospodarstw i wyraźnie widać, że czym dalej od szosy tym dalej od zdobyczy cywilizacji. Każdy kolejny kilometr, to jakby kolejny krok w przeszłość. Stopniowo znika cegła, dachówką kryte dachy i już po kilku minutach jazdy mijamy ostatni słup linii elektrycznej. Na drodze panuje spory ruch, głównie mężczyźni w galowych strojach, zmierzający konno, jak wyjaśnia Martin, na odpust i, nieodłącznie z nim związaną, zabawę do jednej z okolicznych wsi. Nie brak też pieszych, zmierzających w tym samym kierunku. Największe rozbawienie wzbudza w nas jednak grupa amazonek. Nie dziwi fakt kobiety na koniu, jest to w Meksyku obrazek w miarę powszechny, dziwi natomiast strój: szpilki, suknia balowa i kapelusz z ogromnym rondem; no cóż, czegóż się nie robi, by na ludowej zabawie zaćmić sąsiadki.

Zabawowy nastrój kończy się jednak, gdy docieramy w końcu do obozu. Ostatni odcinek pokonujemy pieszo, kończy się bowiem droga, a rozmyta przez deszcze ścieżką przekracza możliwości jakiegokolwiek pojazdu.

SPOTKANIE Z RAULEM

W końcu jesteśmy na miejscu. Tuzin drewnianych rud, snujący się między nimi ludzie. Na nasz widok kobiety znikają w chatach, od czasu do czasu tylko mignie na moment wychylona zza węgła ciekawa twarz. Mężczyźni zbierają się wokół nas, siadamy na przygodnych kamieniach i zapadamy w chwilę milczenia ćmiąc „Delicados" — taki tu obowiązuje rytuał. Potem Martin załatwia parę urzędowych spraw, dopytuje się o regularność dostaw żywności, o szczepienia dzieci, o stosunki z najbliższą wsią. Powoli rozmowa staje się nieco żywsza, a i moje nieco ogólniejsze pytania, mimo, że zadawane łamaną raczej hiszpańszczyzną, nie pozostają bez odpowiedzi.

Opowiadają mi o problemach codziennych, o dalekiej drodze do źródła, o monotonnej diecie, o braku wiadomości z rodzinnych stron. Po jakimś czasie zostajemy tylko we trójkę: Martin, Raúl Perez i ja. Żona Raula przynosi tamales i nagle zaczyna płynąć opowieść o zostawionym domu, gdzieś tam pod Huehuetenango. Nigdy bym jej nie usłyszał, gdybym przyjechał tu sam, a i fakt towarzystwa Martina nie wyjaśnia nagłej otwartości wobec obcego. Kto wie, może Polacy mają w Santa Polonia specjalne względy. Dziwne, ale Raúl opowiadając o swoim życiu nie sprawia wrażenia przygnębionego. Wydaje się, że przymuje swój los jak coś najzupełniej naturalnego, jakby żadne inne życie nie było w ogóle kiedykolwiek możliwe. Jedno tylko, ostatnie już, moje pytanie wytrąca go z tej fatalistycznej beztroski.

Pytanie o powrót do San Martin Oropú. Gdy je zadałem, zgasł błysk w jego ciemnych oczach, zmarszczki na twarzy jakby się pogłębiły, głos stał się jakby bardziej chrapliwy, a mowa wolniejsza. Nikt nie wie, kiedy Raúl wróci na swój kawałek gruntu, a i on sam stracił już chyba na to nadzieję.

Gdy, przy zachodzącym słońcu, opuszczaliśmy Santa Polonia, długo jeszcze gonił za nami skowyt wychudzonej psiny, uwiązanej na sznurku przy jednej z chat. Budę zrobiono jej z desek po skrzynce z żywnościową pomocą. Na jednej z nich, obok wizerunku złączonych uściskiem dłoni dojrzałem słowa: United Nations. Mimo woli ciśnie się na usta pytanie — przeciw komu, lub dla czyjego dobra zjednoczyły się te potężne narody; i dlaczego jedyne co mogą zrobić one dla Raula Pereza, to przysłać mu, raz w miesiącu, ściśle określoną rozdzielnikiem, rację kukurydzianej mąki.

MARIUSZ J. SARNOWSKI

Kazachski pisarz opublikował w „Litieraturnoj Gazietie" artykuł o podłożu grudniowych wydarzeń w stolicy Kazachstanu.

Co wydarzyło się w Ałma-Acie?

ANUAR ALIMŻANOW

W stolicy Kazachstanu zapanował spokój. W uczelniach wyższych i w technikach, podobnie jak poprzednio, trwają zajęcia. Członkowie partii występują (na zebraniach) w przedsiębiorstwach i w środowiskach robotniczych. Ulice i place są patrolowane przez brygady ochotniczej rezerwy milicji — Kazachów, Rosjan i Ukraińców. Jednakże jest jeszcze za wcześnie na stwierdzenia, iż wszystko wróciło na swoje normalne tory.

Ludzie usiłują zrozumieć, co się wydarzyło w Ałma-Acie 17—18 grudnia? Gdzie tkwi przyczyna tych wydarzeń?

Wszystko zaczęło się nazajutrz po kolejnym plenum KC KP Kazachstanu. Można z pełnym uzasadnieniem stwierdzić, iż jego uchwały zostały przyjęte przez przytłaczającą większość członków partii i ludzi pracy republiki jako uzasadnione i słuszne. Niemniej niektórym udało się przy pomocy przekonywania, kłamstw i gróźb wyprowadzić niedoświadczonych i politycznie nieobeznanych młodzików na ulice i place. Pojawiły się hasła nacjonalistyczne, wyciągnięte z najmroczniejszych głębin historii, odrzucone i przekreślone przez samo życie. Do tłumu przyłączyli się chuligani, pijacy i inne jednostki aspołeczne. Rozpasani awanturnicy, uzbroiwszy się w pręty metalowe, pałki i kamienie bili i znieważali przechodniów, przewracali i podpalali samochody, tłukli witryny w sklepach, domach akademickich i innych gmachach publicznych.

W tej skomplikowanej sytuacji pracownicy organów ochrony praworządności wykazali się męstwem i powściągliwością. Nie ulegli prowokacjom członkowie oddziałów ochotniczej rezerwy milicji, chociaż dokonywano na nich napaści. Milicjanci i oddziały rezerwy milicji opanowały swawolę.

Obecnie, po upływie kilku dni, analizując fakty, człowiek coraz bardziej uświadamia sobie, iż podjęta została prowokacyjna próba zwaśnienia ludzi i narodowości. Targnięto się na coś najcenniejszego, na świętą zdobycz socjalizmu — na naszą przyjaźń i zwartość.

Naród kazachski zawsze znał cenę przyjaźni z innymi narodami. Już 225 lat temu sam, dobrowolnie opowiedział się za przyłączeniem się do Rosji. I właśnie wtedy, w drugiej połowie XVII i na początku XVIII wieku, wielki bard stepów Buchar-Żyrau, który przeżył na świecie prawie cały wiek, wsławił się nie tylko umysłem, talentem, sprawiedliwością i odwagą, ale również bezinteresownością, człowiek, którego nie ośmielili się nie posłuchać ani chanowie, ani sułtanowie, ulubieniec narodu, nakazywał nam, abyśmy chronili czystości zamysłów i strzegli duchowe pokrewieństwo z Rosjanami. Jest to nakaz historii, to nasza pamięć, pamięć całego narodu.

Czyż można zapomnieć o tym, jak w czasach caratu i panowania chanów naród Kazachstanu, podobnie jak i Rosji, był poddawany brutalnemu uciskowi i do nas, podobnie jak na Syberię, zsyłano z centrum Rosji niepokornych i wolnomyślicieli. Przypomnijcie sobie, że w tamtych czasach byli u nas na zesłaniu i wielki pisarz Ukrainy Taras Szewczenko, i Polak Adolf Januszkiewicz i geniusz literatury rosyjskiej Fiodor Dostojewski. Podobnie jak na Syberią, do nas w tamtych latach zsyłano setki i tysiące bezimiennych synów nie tylko rosyjskiego, ale również innych narodów. Wielu z nich pozostało w Kazachstanie, który stał się ojczyzną ich potomków. Właśnie wówczas, jeszcze w ubiegłym stuleciu, znajdowali u nas schronienie pokrzywdzeni zbiegowie z rosyjskich wsi, z tatarskich i baszkirskich stół, w poszukiwaniu żywności i dachu nad głową przedzierali się do nas Ujgurzy i Dunganowie... Tak więc Kazachstan stawał się internacjonalny nie nagle i nie od razu.

Żaden naród nie może być w próżni. Jego historia łączy się więzami krwi z historią innych narodów, bowiem bez wzajemnego wzbogacenia się, bez wzajemnego wpływu językowego i kulturowego, bez wzajemnego zrozumienia niemożliwy jest wszelki rozwój. Nasi wielcy przodkowie, demokraci-krzewiciele oświaty Czokan Walichanow, Abah'i i Abraj Ałtynsarin mówili o tym wielokrotnie. Wielokrotnie podkreślali też, że kultura Kazachów jest nierozerwalnie związana z historią i kulturą wszystkich naszych bratnich narodów, zaś w pierwszej kolejności — rosyjskiego.

Surową próbą dla naszego internacjonalizmu była walka z faszyzmem. O bohaterstwie i męstwie synów i córek narodu kazachstańskiego powstały pieśni i legendy, napisano dziesiątki książek, nakręcono filmy. Pamiętam, jak w tamtych latach kobiety w naszych aułach oddawały w pierwszej kolejności garść mąki owsianej i kubek mleka dzieciom ewakuowanym z Rosji, Ukrainy i Białorusi. Nasze bohaterstwo i nasza przyjaźń zostały wywalczone w bitwach, umocnione krwią i zahartowane przez historię. Posiadamy duchową jedność, wspólne są nasze cele i dążenia...

Jakże rozkwitła moja republika w latach władzy radzieckiej, krocząc w internacjonalistycznym szeregu narodów ZSRR! Mój kraj dokonał zadziwiającego skoku historycznego od zacofania na takie wyżyny społeczno-gospodarcze, z których widzi go cały świat. Czyż moi przodkowie mogli marzyć o tym, że kazachski step stanie się przystanią kosmiczną, spichlerzem zbożowym, że pojawi się u nas wysoko rozwinięty przemysł i przodująca nauka? Stało się to rzeczywistością dzięki szczodrości i bezinteresowności wielkiego narodu rosyjskiego, dzięki przyjacielskiej twórczej pracy Rosjan, Kazachów, Ukraińców i innych narodów kraju. Turksyb, kazachstańska magnitka, zagospodarowywanie dziewiczych ziem, Bajkonur — to nie tylko wyznaczniki naszych wspólnych dokonań, ale również wieczne symbole naszej prawdziwie życiodajnej przyjaźni. Tylko w rodzinie bratnich narodów radzieckich Kazachowie uzyskali swoją państwowość i zdobyli wszelkie możliwości rozwoju narodowego.

Piszę o tym wszystkim i w żaden sposób nie mogę się opędzić od powracającej wciąż myśli: *„Tak wszystko to prawda. Mówiło się o tym wszystkim i pisało nie jeden raz. Dlaczegóż więc animatorzy wydarzeń z 17 i 18 grudnia 1986 r. zdecydowali się targnąć na naszą świętość?"*

Gdzie tkwią korzenie zła?

I znowu pamięć wskrzesza wydarzenia z ostatnich lat, przypomina o atmosferze, w jakiej żyliśmy, kiedy na pierwszy plan wysunęły się wskaźniki i cyfry, a ludzie pozostawali przez całe lata w cieniu cyfr. Rozwinęło się łapownictwo i korupcja, kwitła dwulicowość. Ludzie sprawujący władzę mówili z trybuny jedno, a w rzeczywistości robili co innego. Protekcjonizm, pochlebstwa i wysługiwanie się innym rodziły kult wodza w skali jednostki gospodarczej, aułu, rejonu, obwodu i republiki. Krytyka oddolna została w ostatnich dziesięcioleciach sprowadzona do zera. Człowieka, który odważył się na nią, oczekiwały poważne nieprzyjemności. Wszystko to rodziło u ludzi obojętność, pasywność, podgrzewało nastroje pasożytnicze, karierowiczostwo i mydlenie oczu. W republice nie prowadzono konsekwentnej walki z chuligaństwem, pijaństwem, alkoholizmem i narkomanią, zwłaszcza wśród niepełnoletnich.

Właśnie tym wszystkim posłużyli się organizatorzy zamieszek. Uzasadnione jest więc pytanie: czego chcieli, czego domagali się ci, którzy szaleli na ulicach i placach? Tamtego dnia, 17 grudnia, działacze organów partyjnych i administracyjnych oraz organizacji społecznych proponowali chętnym, by weszli na trybunę i spokojnie i trzeźwo podyskutowali o sytuacji. Dlaczego nie zdecydowali się na rozmowę „w imieniu młodzieży" inspiratorzy tych dzikich wybryków? Gdzie byli w tamtych chwilach? Siedzieli po kątach, drżąc o własną skórę. Podgrzali sytuację, popchnęli nierozumnych do bezsensu i pochowali się. Cóż za opiekunowie narodu, którzy popychają własne dzieci w otchłań nacjonalizmu, do swawoli! Dokonali oni zamachu na drogie nam wszystkim wyobrażenia o przyjaźni, miłości, o naszym pokojowym i szczęśliwym życiu.

Nawiasem mówiąc, ten i ów wszedł jednak na trybunę... Na przykład pracownica sklepu spożywczego. Opowiadała ona o sobie, o tym, jak długo i w jakich mękach dostawała mieszkanie. Bez wszelkiego związku z tym, co powiedziała, wykrzyknęła ona: dlaczego do Kazachstanu przysłano przywódcę „z innego miejsca"? Cierpliwie wyjaśniono jej, co sobą reprezentuje i gdzie pracował ten przywódca, że jednomyślnie wybrali go członkowie plenum KC KP Kazachstanu, z których prawie połowa to Kazachowie...

Wierzę, jestem głęboko przekonany, że przyjdzie czas, kiedy poznamy organizatorów wydarzeń w Ałma-Acie. Obecnie, jak nigdy dotąd, potrzebna jest prawda i tylko prawda. Naród, którego jestem synem, winien poznać twarze tych, którzy cichcem siali ziarna nieufności między narodem kazachskim i innymi narodami zamieszkującymi naszą republikę. Dowiemy się, kto okłamał nasze dzieci. Kto nikczemnym kłamstwem wyciągnął je z domów studenckich, wsunął im w ręce wrogie i głupie transparenty, a sam się schował.

Ostatnie dni stały się dniami otrzeźwiającego, ideowo-politycznego przejrzenia na oczy i uświadomienia sobie rzeczywistej sytuacji. Właśnie dziś wyciągamy gorzkie wnioski z również w latach poprzednich, naszych błędów, popełnionych kiedy walka o nowego człowieka, o jego wychowanie ideowo-moralne była niekiedy sprowadzana do inwentaryzacji faktów i przykładów przyjaźni, do deklaracji na temat sukcesów w tej dziedzinie. Pamięć jest rzeczą upartą i rejestruje ona wszystko, w tym również i te fakty, postępki i wydarzenia, które cicho, w sposób niezauważalny, w eleganckim opakowaniu upojenia sukcesami, toczyły jak robak święte drzewo naszej przyjaźni. W ostatnich latach nie było widać żadnej troski o stan działalności w zakresie wychowania internacjonalistycznego. Zatracała się naturalność i szczerość we wzajemnych stosunkach

Nie chcę brać pobożnych życzeń za rzeczywistość. Ale nie chcę też, by zrodził się wypaczony pogląd na naszą młodzież, na nasz naród, który zdobył miłość i szacunek swoich braci — Rosjan i Ukraińców, Łotyszów i Uzbeków, Tadżyków i Ormian, a zrobił to swoją pracą, swoją otwartością duchową, swoją wiernością przyjaźni.

Tak, niełatwo jest dzisiaj nam, Kazachstańczykom. Zastój w rozwoju gospodarki, łapownictwo, nadużywanie stanowisk i inne negatywne zjawiska, to również przyczyna tego, co się stało.

Ja, Kazach, mam wielu przyjaciół wśród pisarzy we wszystkich republikach kraju i jestem z tego dumny. Niech więc i oni wypowiedzą dziś swoją opinię o nas i o naszej przyjaźni. Jest to niezbędne. Przechodzimy surową szkołę prawdy, szkołę realizmu. I prawda ta wymaga dziś od nas byśmy powiedzieli o tym, że my wszyscy mieszkańcy Kazachstanu, do jakiej narodowości byśmy nie należeli, jesteśmy jednolici, jak nigdy do tej pory.

Podjęto próbę wzniecenia pożaru w naszym wspólnym domu, ale czegoś takiego nie będzie nigdy. Nie dopuścimy do tego. Rękojmią tego jest nasza jedność. Rękojmią tego są zdobycze naszej Wielkiej Rewolucji.

„LITIERATURNAJA GAZIETA"
nr 1, 1987 r.
Tłumaczył:
JÓZEF RZESZUT (PAP)

Co dalej dzieje się w Ałma-Acie przedstawia na łamach „Litieraturnoj Gaziety" jej stały korespondent ze stolicy Kazachstanu.

Lekcja prawdy

ALEKSANDER SAMOJLENKO

Lekcje prawdy.. Te słowa dokładnie oddają atmosferę, jaka zaczyna panować w republice. Wielu ludzi zaczyna obecnie lepiej widzieć to wszystko, co przeszkadzało w przebudowie, zastępowało to najważniejsze zadanie partyjne pustą frazeologią i pozorowaniem przemian.

O nożycach między słowem i czynem mówiło się szczerze i otwarcie na spotkaniu pisarzy z I sekretarzem KC KP Kazachstanu G. Kołbinem, jakie odbyło się w ostatnim dniu ub. roku w siedzibie Związku Pisarzy republiki. W ciągu ostatnich piętnastu lat (a pisarze starszego pokolenia wymieniają znacznie dłuższy okres), nie pamiętam takiego spotkania literatów z czołowym działaczem partyjnym, które byłoby — jak to ostatnie — tak ściśle związane z najostrzejszymi problemami społeczno-gospodarczymi. Nikt i nigdy wcześniej nie mówił z nimi o tym, że ludzie pracy, tak pożądani bohaterowie powieści i opowiadań, żyją nie tylko sukcesami produkcyjnymi, że wciąż czekają po 15—20 lat na mieszkanie, w tak bogatej republice nie mają możliwości kupienia produktów żywnościowych bez określonych kłopotów, a co najgorsze, stykają się z różnymi faktami niesprawiedliwości społecznej... Pisarze otrzymali bogatą i rzetelną informację do rozmyślań i był to przykład swobodnego omawiania nabrzmiałych problemów życiowych.

Sprawiedliwy podział mieszkań i artykułów spożywczych, demokratyzacja stosunków, walka z protekcjonizmem, czczą gadaniną i cwaniactwem — to tylko kilka tematów, jakie poruszył w rozmowie I sekretarz KC KP Kazachstanu. Zabierający głos na spotkaniu pisarze mówili o dawnych internacjonalistycznych tradycjach republikańskiej literatury tworzonej w języku kazachskim, rosyjskim, ujgurskim, niemieckim i koreańskim, podkreślali jej nieustanne i trwałe związki z pisarzami z bratnich republik. Jednakże pewne motywy wystąpień podpowiedziały konieczność rozmowy i na takie tematy, jak uczucia narodowe i umiejętność kierowania nimi, bezkrytyczne uleganie tematyce historycznej przechodzące w samoupajanie się narodowe, widoczna niedojrzałość polityczna młodzieży czy niezdolność niektórych do analizowania wydarzeń z wyraźnych pozycji ideowo-politycznych.

Nasza gazeta pisała już o tym, że decyzje niedawnego plenum KC KP Kazachstanu zostały przyjęte przez przytłaczającą większość członków partii i ludzi pracy republiki jako uzasadnione i słuszne. To prawda. Słuchając jednakże wystąpień niektórych działaczy kierowniczych, w których przemówieniach (ciągle jeszcze) pobrzmiewają buńczuczne zapewnienia o natychmiastowym rozwiązaniu wszystkich problemów postawionych przez przebudowę, mimo woli myślałem, czy rozumieją oni, że zaprowadzić elementarny porządek w mieście, to wcale nie znaczy rozwiązać wszystkie problemy?

W ostatnich dniach kolektywy, studenckie i robotnicze odwiedziły setki działaczy partyjnych i państwowych, naukowców, pisarzy... Rozmawiali oni z młodzieżą otwarcie i szczerze, pomagali zrozumieć istotę tego, co się stało, odpowiadali na pytania, które wówczas były najważniejsze dla świadomych i mimowolnych uczestników awantur, dla tych, którzy milcząco solidaryzowali się z nimi, dla wątpiących.

Upłynął niecały miesiąc: Ten i ów wierzy już poważnie w to, że nastąpiło otrzeźwienie. Podzieliłem się moimi wątpliwościami z niektórymi towarzyszami. Zgadzają się ze mną, że poluzowanie jest niedopuszczalne. Inni natomiast stwierdzili, że nie powinno się wszelką działalnością wyjaśniającą psuć nastrojów, wspominać o tym, co się stało, przecież lepiej „nasilić", „ożywić", „zaktywizować", w trybie roboczym... Wyczuwam w takim stanowisku wyraźne echo wczorajszego podejścia, chęć życia według zmyślnej zasady, że „jeśli nie mówimy o tym, to znaczy, że tego u nas nie ma". Problemy mimo wszystko występują niezależnie od tego, jak bardzo chcieliby niektórzy uprościć istotę tego, co się wydarzyło. I praca trwa.

Wiele osób poniosło już karę — zostało usuniętych z Komsomołu bądź skreślonych z listy studentów uczelni za działania sprzeczne z prawem. Inni pociągnięci zostali do odpowiedzialności karnej za chuligaństwo, za organizowanie masowych rozruchów. Jest rzeczą zrozumiałą, iż należy konsekwentnie poszukiwać przywódców, organizatorów rozruchów oraz tych, którzy do nich podżegali. Wielu ludzi niepokoi co innego. Po mieście, a teraz nie tylko po nim, krążą przeróżne plotki, odbywają się najróżnorodniejsze rozmowy o tym, co się wydarzyło — tworzy się różne wersje i wymyśla z pozoru obiektywne wyjaśnienia na temat nacjonalistycznych wystąpień.

W prokuraturze, milicji i w redakcjach gazet dzwonią nieustannie telefony. Dzwoni się również do kazachstańskiego biura korespondencyjnego LITIERATURNOJ GAZIETY. Ludzie są oburzeni i domagają się znalezienia oraz ujawnienia odpowiedzialnych za wydarzenia.

W związku z telefonami do mego biura spotkałem się z prokuratorem Kazachskiej SRR G. Jeliemisowem. Nawiasem mówiąc, ostatni raz widziałem go po południu 17 grudnia, kiedy przez około dwie godziny wyzwał tłum rozpasanych chuliganów do porządku, cierpliwie wyjaśniał im, że ich działania są sprzeczne z prawem. Chuligani obrzucili go kamieniami...

— Jak mógłby pan skomentować te wydarzenia? — zwracam się do prokuratora.

— Społeczeństwo zostało wystarczająco szeroko poinformowane, żeby mogło obiektywnie zrozumieć to, co zaszło. Ale tak już jest, że za każdym wydarzeniem ciągnie się ogon pogłosek. Jedni rozpuszczają je z powodu mieszczańskiej ignorancji, ale są również inni. Myślę, iż organizatorzy rozruchów specjalnie płodzą „dramatyczne szczegóły" w nadziei podgrzania w ten sposób nastrojów nacjonalistycznych wśród części młodzieży. Robią to ci, którzy nie zaakceptowali przebudowy, nie chcą żyć przy otwartej kurtynie i uczciwie, boją się panicznie, że wczorajsze tajemnice mogą dziś wyjść na jaw. Dążąc do odwleczenia momentu zdemaskowania, wypuścili młodzież na ulice. Myślimy dziś nad tym, żeby wrócić do niektórych starych spraw karnych i zbadać je w kontekście niedawnych wydarzeń, bowiem mamy podstawy przypuszczać, że praca taka nie pójdzie na marne. Fakty są natomiast takie, że nacjonalistycznie nastawione jednostki zdecydowały się na bezpośredni konflikt z funkcjonariuszami służby ochrony praworządności. Jak już informowano, wśród funkcjonariuszy milicji i członków ochotniczej rezerwy milicji jest wielu rannych. Zginął 28-letni pracownik ośrodka telewizyjnego S. Sawicki. Winni zostali aresztowani. Śledztwo trwa. Po stronie awanturników ofiar nie było. Do faktów, które przytoczyłem wyżej, dodam, iż ponad 10 godzin agresywnie nastawieni osobnicy awanturowali się, całkowicie ignorując wszelkie wezwania prokuratury i ministerstwa spraw wewnętrznych republiki. Kwestionować dzisiaj słuszność podejmowanych kroków, znaczy dążyć do bardzo konkretnych i bardzo wątpliwych celów.

Tego dnia, kiedy rozmawiałem z prokuratorem republiki, w Ałma-Acie została osądzona nauczycielka ałmaatyjskiej szkoły młodzieży robotniczej Ż. Sabitowa, która przygotowała plakat oraz ulotki o prowokacyjnej treści i przy ich pomocy usiłowała siać wrogość między narodowościami, nakłaniając młodzież do działań sprzecznych z prawem. Sąd uznał jej winę i skazał ją na pięć lat pozbawienia wolności. Obecnie również ona sama uznaje swoją winę.

W republice w sposób zdecydowany zaprowadza się porządek. Poprawiło się zaopatrzenie ludności w artykuły spożywcze. Podejmuje się inne działania dla uzdrowienia klimatu społecznego. Przede wszystkim zażądano, aby wszystkie wille i domki myśliwskie zbudowane w swoim czasie dla podejmowania dostojnych gości, oddać na potrzeby przedszkoli i służby zdrowia, zaś mieszkania gościnne w przedsiębiorstwach i rezerwową pulę mieszkaniową szefów urzędów, rozdzielić wśród najbardziej potrzebujących mieszkań.

3 stycznia 1987 r. na naradzie aktywu partyjnego republiki powiedziano, iż trzeba raz na zawsze skończyć z różnego rodzaju telefonami i czytelnymi aluzjami ze strony działaczy kierowniczych i ich bliskich, które nie są niczym innym, jak zawoalowanym protekcjonizmem i gotowością zrewanżowania się przy odpowiedniej okazji stosowną przysługą w zależności od stanowiska służbowego. Powinniśmy zdecydowanie skończyć z zasadą „Ty-mnie, a ja-tobie". Zaś dla tych, którzy mogli z przyzwyczajenia potraktować to, jako kolejne puste wezwanie, kanałami partyjnymi upowszechniono następującą instrukcję: najdrobniejsze nadużycie stanowiska pociągnie za sobą natychmiast zwolnienie z pracy i usunięcie z partii. Telefony w bazach handlowych odpoczywają po wieloletniej wytężonej pracy...

Odbyte w tych dniach plenum KC KP Kazachstanu jeszcze raz podkreśliło, iż dzisiaj głównym kryterium dla każdego działacza kierowniczego jest umiejętność pracy z ludźmi, pociągnięcia ich za sobą, zdolność poznawania i rozumienia ich interesów oraz nastrojów.

...Od wczesnych godzin porannych przed kioskami z gazetami ustawiają się długie kolejki, dlatego że w miejscowej prasie jest co przeczytać, jest nad czym pomyśleć. Dlatego też ludzie czytają, myślą i wyciągają wnioski.

„LITIERATURNAJA GAZIETA"
nr 2, 1987 r.
Tłumaczył:
JÓZEF RZESZUT (PAP)

Jednym z pierwszych znaczniejszych przemysłowców osiadłych w Łodzi był „znakomity fabrykant mody bawełnianej" Ludwik Geyer. Przybył tu na zaproszenie komisarza fabryk Benedykta Tykla na początku 1828 roku z miejscowości Neugersdorf w Saksonii. W kontrakcie osiedleńczym przemysłowiec ten zobowiązał się uruchomić w ciągu dziesięciu lat do stu warsztatów tkackich, produkujących wyroby bawełniane. Geyer przyjechał do Polski z rodzicami. Przywiózł z sobą trochę mebli, maszyn i urządzeń fabrycznych.

Ludwik Geyer urodził się w 1805 roku w Berlinie, gdzie pobierał nauki w Akademii Berlińskiej. Około 1832 roku zawarł związek małżeński z Emilią Türk, urodzoną również w Berlinie. W latach 1833—1851 z małżeństwa tego urodziło się ośmiu synów i dwie córki.

Już w roku osiedlenia w Łodzi Geyer wybudował swój pierwszy dom mieszkalny na przydzielonym mu placu przy ulicy Piotrkowskiej 284. Był to niewielki, drewniany budynek, posiadający dwie izby na parterze i jedną w facjatce. Następnie w 1833 roku wystawił przy tejże ulicy pod numerem 286 nową siedzibę, murowany dworek klasycystyczny z facjatką, zachowany do chwili obecnej. Ponieważ jednak rodzina Geyerów ciągle się powiększała, dworek wkrótce stał się za ciasny. W 1843 roku Geyer wystawił więc obszerny murowany dom mieszkalny o charakterze pałacowym, usytuowany w narożniku ulicy Piotrkowskiej i Górnego Rynku (obecnie plac Władysława Reymonta), do którego przeniósł się w następnym roku. Była to piętrowa ciężka budowla w stylu gotyckim, kryta cynkową blachą, posiadająca sześć izb na parterze, a na piętrze trzy izby.

Do roku 1833 fabrykant wzniósł na przydzielonych mu placach szereg parterowych budynków, w których znalazły pomieszczenia urządzenia pralni perkali, suszarni, bielnika i farbiarni, a także piętrową murowaną drukarnię tkanin.

Zawiła „kariera" Ludwika Geyera

W miarę rozwoju przedsiębiorstwa zaczęła się ekspansja Geyera na tereny przylegające do jego posiadłości. Najbliższym sąsiadem od lewej strony stawu był drukarz perkali Antoni Potempa. Fabrykant ten po pewnym czasie zbankrutował i posiadłość swą odstąpił Geyerowi, u którego objął posadę księgowego. Po zajęciu terenu z obu stron stawu Geyer zwrócił uwagę na posesje leżące na wprost stawu, po nieparzystej stronie ulicy Piotrkowskiej. W 1838 roku wydzierżawił od rządu realność po zaginionym przedsiębiorcy Janie Traugotcie Lange, położoną między ulicami Piotrkowską a Wólczańską. Czwartą posesję, leżącą przy ulicy Piotrkowskiej na południe od rzeczki Jasień, pozostawioną przez zbankrutowanego fabrykanta Gustawa Zacherta, Ludwik Geyer nabył od rządu w 1840 roku.

Rozpoczął produkcję od wykończalnictwa i tkactwa bawełnianego. W owym czasie były to najbardziej opłacalne gałęzie przemysłu włókienniczego. W 1833 roku przemysłowiec ten posiadał 33 warsztaty tkackie. Prócz nich zatrudniał w systemie nakładczym 60 krosien w Łodzi i 40 w Pabianicach. Przędzę bawełnianą nabywał za granicą płacąc — zgodnie z umową osiedleńczą — obniżone cło. Zajmował się także nielegalnym handlem przędzą. Wszelkie uzyskane dochody natychmiast lokował w inwestycjach zwiększających możliwości zarobkowania. W działalności swej częstokroć nie przestrzegał przepisów prawa.

Największym osiągnięciem Ludwika Geyera było wystawienie w latach 1835—1838 na placu nabytym od Potempy wielkiego fabrycznego gmachu przędzalni, zachowanego do dziś pod nazwą „białej fabryki" (Centralne Muzeum Włókiennictwa). Budynek przędzalni posiadał trzy piętra i był wówczas najwyższym gmachem w Łodzi. Na parterze znalazło pomieszczenie 70 krosien mechanicznych, a na pozostałych kondygnacjach zainstalowano maszyny przędzalnicze i pomocnicze. Wszystkie urządzenia fabryki poruszała maszyna parowa, umieszczona w odrębnym budynku. Obok niego stanął pierwszy w Łodzi komin fabryczny, wysoki na 80 łokci.

Rosły jeszcze mury przędzalni, a już z Belgii od braci Cockuerill nadeszły uprzednio zamówione maszyny przędzalnicze i tkackie oraz maszyna parowa. Transport odbywał się drogą morską do Gdańska, dalej Wisłą do Nieszawy, a stąd do Łodzi na wozach. Szybka dostawa maszyn postawiła Geyera w bardzo trudnym położeniu. Wprawdzie za dostarczone maszyny płacić miał wekslami, lecz o krótkich terminach płatniczych. Z opresji pieniężnych wydobył Ludwika Geyera komisarz fabryk Antoni Lelowski, który skutecznie poparł zabiegi fabrykanta o udzielenie kredytów w Banku Polskim, wystawiając mu bardzo dobrą opinię. Na początku 1839 roku suma długów Ludwika Geyera równała się wartości jego majątku szacowanego na około milion złp.

W związku z mechanizacją urządzeń fabrycznych wystąpił problem zaopatrzenia przedsiębiorstwa w paliwo. Początkowo do opalania kotłów używano torfu wydobywanego w Łodzi i w Rudzie Pabianickiej. Gdy kopalnie torfu wyczerpały się, fabrykant zaczął sprowadzać węgiel ze Śląska.

Niezależnie od prowadzenia przedsiębiorstwa przemysłowego na pewnej części swych posiadłości uprawiał rolę i ogrodnictwo. Zainteresowania rolnicze przemysłowca pogłębiły się po nabyciu od rządu w 1846 roku folwarku Ruda Pabianicka. W połowie 1851 roku Ludwik Geyer uruchomił w Rudzie zbudowaną przez siebie cukrownię, zatrudniającą około 200 robotników. Posiadłość rudzka stale rozwijała się. W 1864 roku na jej terenie oprócz cukrowni istniał tartak, cegielnia, torfiarnia. Był też duży, zarybiony staw, ogród owocowy i warzywny. Poza tym znajdowała się tu olejarnia, gorzelnia oraz murowana karczma z zajazdem.

Szczyt powodzenia przedsiębiorstwa Ludwika Geyera przypadł na lata 1850—1852. Zajmowało ono pierwsze miejsce w Łodzi pod względem technicznego wyposażenia, wielkości produkcji i liczby zatrudnionych. Co dziesiąty mieszkaniec żył z fabryki Geyera.

Od połowy lat pięćdziesiątych XIX wieku zaczął się upadek przedsiębiorstwa. Złożyło się na to wiele przyczyn: pożar tkalni w 1853 roku, kryzysy ekonomiczne, uruchomienie w Rudzie nierentownej cukrowni, konkurencja nowych fabryk, zwłaszcza Karola Scheiblera, wreszcie wysokie zadłużenie przedsiębiorstwa oraz odmowa dalszych kredytów. Po blisko czterdziestu latach uporczywych zabiegów wokół zbicia fortuny Ludwik Geyer znalazł się u progu ruiny materialnej. A przecież był człowiekiem pracowitym, oszczędnym i niezmiernie przedsiębiorczym. W opinii prezydenta Łodzi Franciszka Traegera fabrykant ten prowadził „życie skromne i wszelkich wygód, a nawet osobistej swobody pozbawione".

Zdaniem rzeczoznawcy Banku Polskiego przyczyna niepowodzeń finansowych Ludwika Geyera tkwiła w nadmiernych inwestycjach i to za pożyczone pieniądze. Nie dotrzymywał przy tym terminów spłat zadłużenia. A w ogóle, to krętymi drogami dochodził do majątku. Nieobce mu były oszustwa celne i podatkowe. Popadł także w kolizję z prawem z powodu „defraudacji" trunków. Mnożące się nadużycia i niepłacenie długów przez fabrykanta zmusiły władze do zastosowania względem niego środków represji. W styczniu 1866 roku został aresztowany i osadzony w Głównym Domu Kary w Warszawie. Od czasu do czasu bywał wypuszczany do Łodzi na krótki czas dla załatwienia interesów wymagających jego obecności. W areszcie warszawskim Ludwik Geyer przesiedział z przerwami kilka lat.

Zmarł w 1869 roku. Nie zostawił spadkobiercom żadnej gotówki na spłacenie długów. Fabrykę przejęli synowie Ludwika Geyera, wykazując nieprzeciętne zdolności w kierowaniu przedsiębiorstwem. W stosunkowo niedługim czasie zakłady geyerowskie zajęły ponownie jedno z przodujących miejsc w przemyśle włókienniczym Łodzi.

WACŁAW PAWLAK

1 Przerwa śniadaniowa

Odśnieżanie

— No to, opowiedz pan, panie Zenku, co tam było na naradzie?

— Narada była w sprawie odśnieżania. Stary zaapelował do aktywu i wszystkich pracowników, żebyśmy w czynie społecznym odśnieżyli...

— A co, dajmy na to, mielibyśmy odśnieżyć?

— Jakąś ulicę albo coś takiego. Pomysłów było kilka, najbardziej podobał się pomysł kadrowca, żeby odśnieżać pod gmachem telewizji, na skrzyżowaniu Narutowicza i Sienkiewicza. No bo z telewizji mogliby zauważyć i sfilmować a potem pokazać w lokalnym programie!

— Dlaczego w lokalnym? Nie mogliby w głównym dzienniku? Ja bym założyła nowy kapelusz i rękawiczki! — pani Lala aż klasnęła w dłonie.

— Tyle, że ktoś nas już ubiegł. Skrzyżowanie odśnieżone, zdjęcia w telewizji poszły — pan Zenek nie ukrywał zniechęcenia — no, chyba żeby znów napadało, to moglibyśmy być pierwsi.

— Pięknie byłoby — rozmarzył się Henio — jak za moich młodych lat! „Tysiące rąk, miliony rąk..." — zanucił.

— Co pan tu, panie Heniu wyśpiewujesz? Jakieś hymny onanistów? Gdzie te tysiące w naszym biurze? A i samymi „rącami" też pan niewiele zrobisz. Łopaty są potrzebne!

— No właśnie — kontynuował pan Zenek — w drugiej godzinie narady kierownik Szczypawa stwierdził, że mamy małe te no... moce przerobowe, niski stan uzbrojenia technicznego i słabe zaplecze materiałowo-sprzętowe. No, krótko mówiąc, dwie łopaty mamy i jeden łom...

— A ten brodaty z działu zbytu? On zawsze tak ciekawie mówi? — panna Kalinka spłoniła się, nie wiadomo czemu.

— Brodaty? On proszę pani, jak zwykle zadaje głupie pytania, defetyzm szerzy i ma takie sceptyczne podejście. To jest dysydent jakiś albo co? Powiedział, że jak jeszcze trochę podyskutujemy, to przyjdzie zmiana pogody, śnieg sam stopnieje i po problemie. A tymczasem ważne — powiada — i żywotne problemy załogi nie są rozwiązane. A także są kłopoty z kooperacją i eksport spada, o tym — powiada — trzeba dyskutować, a śnieg sprzed biurowca to niech pan Józef sprzątnie i cześć. Tak powiedział: „no i cześć!". Element aspołeczny jakiś...

— Myślę, że jednak ktoś dał mu odpór, dyrekcja, dajmy na to?

— Lepiej panie Dareczku, lepiej! Związki mu dały odpór! Przewodniczący Żeleźniak przypomniał, jak brodaty nie chciał uczestniczyć w zbiórce na cele społeczne! Pamiętacie? Przed imieninami głównej księgowej zbieraliśmy na prezent? Brodaty ani grosza i jeszcze pyskował! A Żeleźniak mu wygarnął: — wy — powiada — nie musicie uczestniczyć w naszym związkowym czynie społecznym odśnieżania czegokolwiek. Przodująca inteligencja pracująca naszego biura, wsparta przez pana Józefa, przedstawiciela przodującej klasy robotniczej, sama sobie da radę, bez pomocy nieodpowiedzialnych jednostek aspołecznych, co to są przeciwne porozumieniu narodowemu. Was się — powiada Żeleźniak — zreedukuję w drodze moralnej odnowy, to się wam wszystkiego odechce! Tak powiedział!

— Dobrze mu powiedział, dajmy na to. Ale w końcu co uchwalono?

— Trudności są z terminami: w godzinach pracy nie można, w czwartek jest po pracy zebranie aktywu, w piątek obraduje komisja socjalno-bytowa, a w sobotę — wiadomo, trzeba odpocząć, żeby, prawda, z nowymi siłami w poniedziałek przystąpić. W poniedziałek jest zebranie organizacji młodzieżowej...

— Znowu? W jakiej sprawie teraz — zaciekawiła się panna Kalinka.

— W sprawie odśnieżania w czynie społecznym!

— No dobrze, ale w końcu, na czym stanęło? Coście uradzili?

— Zdecydowaliśmy, że na razie akcję się odłoży, żeby skoordynować ją z organizacją młodzieżową. A doraźnie pan Józef odśnieży przed biurowcem, żeby kto nogi nie złamał!

— Tylko tyle? — pan Dareczek też okazał się sceptykiem — jeśli chodzi o chodnik przed biurowcem, to pan Józef odśnieżył go przedwczoraj...

— Jak to „odśnieżył"? Co za „odśnieżył"? Bez wytycznych? Bez uchwały kolektywu? Anarchia! Brak obywatelskiej odpowiedzialności! Samowola!

KAROL C.

2 Jestem przeciw takiej konwencji!

Wielce sobie cenię felietony Andrzeja Karola — mego sąsiada z tej strony (15) „Odgłosów" i nigdy nie przyszłoby mi do głowy, aby z nim polemizować, aż tu nagle Andrzej Karol uśmiercił UMEWAP. Na to niestety nie ma zgody, bo to jest — po prostu — nieprawda. Otóż nie dalej, jak 4 grudnia 1986 roku w Biurze Prasowym Rządu odbyła się konferencja prasowa, na której za stołem prezydialnym zasiadła wiceminister pracy, płac i spraw socjalnych — Stanisława Borkowska oraz autorzy uniwersalnej metody wartościowania pracy — UMEWAP — 85. I wtedy właśnie powiedziano, że do końca 1987 roku metoda ta będzie wprowadzona tam, gdzie nie ma innej, własnej, a więc w około 30 proc. zakładów pracy. Gdzież zatem Andrzej Karol dostrzegł śmierć UMEWAP? No, gdzie?

Nie mogę też zgodzić się z poglądem, że „UMEWAP charakteryzował się błędem w założeniu", jak to stara się udowodnić Andrzej Karol. Ten błąd — według niego — to w ogóle zamiar zmierzenia pracy, która — jak twierdzi — jest niezmierzalna. Nie należę do gorących zwolenników UMEWAP. Jest to metoda niezwykle skomplikowana i wymaga od tych, którzy będą ją stosowali, długich i żmudnych studiów. Ale nie mogę zgodzić się z twierdzeniem, że skoro praca jest niezmierzalna, to nie należy poszukiwać mimo wszystko metod choćby przybliżonego jej zmierzenia. Już nie takie rzeczy mierzono na tym świecie, dając tym tylko dowód potęgi ludzkiego rozumu.

Sądzę, że Andrzej Karol zgodzi się ze mną, iż znaleźliśmy się w takim momencie naszego społecznego rozwoju, kiedy wiadomo, czego nam potrzeba, a to, czego nam potrzeba staje się prawie nieosiągalne między innymi dlatego, że tak pracujemy, jak pracujemy i każdy narzeka, że za niekiedy markowaną pracę bierze małe pieniądze. System płac stoi u nas na głowie i na dodatek leży na boku. Trzeba zatem go uporządkować, aby rzeczywiście płaca odzwierciedlała wkład pracy i aby to było zgodne z podstawową zasadą socjalizmu: „od każdego wedle zdolności, a każdemu wedle pracy". Teraz bywa niekiedy wprost odwrotnie.

Porządkowanie systemu płac to bardzo niewdzięczne zajęcie. Jednemu trzeba bowiem zabrać, a drugiemu dołożyć. Nikt nie lubi, kiedy mu się coś zabiera. Każdy chce, aby mu tylko dokładać. Ale też chyba wszyscy rozumiemy, że bez uporządkowania systemu płac, bez zracjonalizowania tego systemu, osiągnięcie szczytnych celów będzie niemożliwe. Trzeba zatem dokonać tej bolesnej operacji i porównać nieporównywalne. Taki cel założyli sobie autorzy UMEWAP.

Mogę się zgodzić, że nie jest to metoda zbyt precyzyjna, ale jej podstawową zaletą jest to, że ona w ogóle jest. Po drugie — i tu często dochodzi do nieporozumień — mierzy ona stanowisko pracy, a nie człowieka pracę wykonującego. Przy pomocy UMEWAP ustalono na przykład, że wartość stanowiska pracy dyrektora kopalni i chirurga jest identyczna, ale pieniądze biorą oni różne. Nie muszę chyba tłumaczyć, że więcej bierze nie chirurg, a dyrektor kopalni. Takich przykładów można byłoby podać więcej. Andrzej Karol nie zdziwiłby się, gdyby dowiedział się, że niektórzy tramwajarze zarabiają więcej niż on sam, choć pisanie felietonów wcale nie należy do prac łatwych, jak to się być może niektórym wydaje.

Słabość UMEWAP polega między innymi na tym, że oddziela miejsce pracy od człowieka. Metoda ta nie bierze zupełnie pod uwagę człowieka, jego zdolności, ułomności, różnych skłonności, talentu wreszcie. A przecież nikogo nie muszę chyba przekonywać, że ludzie są różni i jeden na tym samym stanowisku pracy dokona cudów, a drugi będzie ledwie wegetował. — Ludzie — powiedział mi jeden z autorów tej metody — to już sprawa polityki kadrowej. — Powiedzmy, że tak, ale byłbym za stawianiem tym ludziom wysokich wymagań, a nie mierzeniem możliwie obiektywnych warunków wykonywania pracy na danym stanowisku. Przypomina mi to jakby „uśrednianie" wszystkiego na siłę. Dość już mamy średniości. Przy pomocy średnich wymagań, średnich ludzi i średnich warunków niczego wielkiego nie dokonamy. Najwyżej coś średniego.

Andrzej Karol przytacza opowieść o tym, że podobno Zygmunta Kałużyńskiego nie stać na kolorowy telewizor. Nie neguję. Mnie też nie stać. W ogóle uważam, że zaliczanie kolorowych telewizorów do przedmiotów zbytku i luksusu jest — łagodnie mówiąc — nieporozumieniem. Ktoś tu czegoś nie rozumie. Ale to inny temat. Andrzej Karol natomiast zgadza się z taką sytuacją, kiedy czołowego krytyka filmowego nie stać na kolorowy telewizor i powiada: „Taka konwencja, taka umowa społeczna...".

Otóż nie! Ja się na to nie zgadzam! Tak dalej nie może być, bo społeczeństwo taką umową się kierujące musi ponieść ciężką klęskę. I właśnie UMEWAP jest sposobem na zmienienie takiej umowy społecznej. Dlatego, choć mam takie czy inne uwagi pod adresem twórców UMEWAP, to jestem za, bo w metodzie tej widzę sposób na zaczęcie porządkowania systemu płac, aby praca była miarą tego systemu a nie czymś tam widzimisię. I dlatego nie ma zgody Drogi Andrzeju na twoje poglądy.

WITOLD BOROWY

3 Sport

Cudu nie będzie

Gdzieś daleko w górach ostro świeci słońce, mróz szczypie policzki, albo mgła ogranicza widoczność i w tym słońcu, albo w tej mgle mkną po stoku wspaniali narciarze, czy też wspaniałe narciarki. Spod ich nart wylatują tumany śniegu. Jest radośnie i pięknie. Czasem tylko powieje grozą, gdy narciarzowi narta odpadnie, a on przewraca się po stoku, obijając sobie głowę, ręce i nogi i już nam, zamarłym przed telewizorami, wydaje się, że z niego nic nie zostanie. Okazuje się, że trochę go połamało, stracił przytomność, zabrali go do szpitala, ale życiu jego nic nie zagraża. Oddychamy z ulgą i wtedy przychodzi nam do głowy wredna myśl: — dobrze, że naszych tam nie było! No, bo gdyby to — nie daj Boże! — przytrafiło się naszemu, to niechby nie spotykało go najgorsze.

Nie jesteśmy żadną potęgą w sportach zimowych, a nawet wręcz przeciwnie. Nasi zawodnicy mogą spokojnie nosić czerwoną latarnię za mistrzowskimi peletonami i tym wykazać swą pożyteczność. — Nie mamy dobrych gór do trenowania — powiadają ludzie mądrzy w sprawach sportowych. — Ale to niczego nie usprawiedliwia, bo inni też nie mają, a jakoś sobie radzą. Zresztą lista tego, czego nie mamy może być długa: sprzętu, ubiorów, trenerów, warunków, pogody, szczęścia i tak dalej. Niegdyś mawiano, że „złej baletnicy przeszkadza rąbek spódnicy"...

Nasi saneczkarze odbijali się od bandy niczym piłki, ale Janusz Pichlak w telewizji pokazał, że inni obijali się jeszcze gorzej i wcale nie zrobiło się nam lżej na sercu, bo przecież rywalizacja toczy się nie o tytuł najgorszego, ale najlepszego. To, że są gorsi od nas samopoczucia nie poprawi, gdyż tych lepszych przed naszymi zawodnikami jest dużo więcej niż tych gorszych za nimi. Lepiej więc nie usprawiedliwiać.

Nie popisali się też kolarze-przełajowcy. A kolarzy niegdyś mieliśmy dobrych. Terenów do trenowania kolarstwa przełajowego też nam nie brakuje. Mamy w Bydgoszczy fabrykę rowerów, którą w końcu można zmusić, aby zrobiła kilka egzemplarzy dobrych rowerów. Czegóż tu szukać na usprawiedliwienie? Specjaliści od usprawiedliwiania coś tam zapewne znajdą. Ale czy przekonają kibiców, że mają rację? Wątpię.

Jedynie siatkarze Resovii sprawili nam miłą niespodziankę. Najpierw było czarno i ponuro. Przegrali w Rumunii i — jak wieść niesie — to głównie przy pomocy sędziów. Nazwiska tureckich sędziów zapisano w kronikach: Orhan Tuncer i Aydinol Ozer. Rumuni jechali więc do Rzeszowa jako faworyci, ale w Rzeszowie otrzymali lanie i wrócili z niczym. Można powiedzieć, że sprawiedliwości stało się zadość. Myślę jednak, że dobra drużyna, dobrze przygotowana nie załamie się nawet pod złym sędziowaniem i pokaże, na co ją rzeczywiście stać. Tak zrobili siatkarze Resovii i chwała im za to. Gratulacje za awans do finału Pucharu Zdobywców Pucharów! Tak trzymać i brać z nich przykład. Sukcesy sportowe nie spadają z nieba. Trzeba umieć o nie walczyć. Niby wszyscy o tym wiedzą, ale tłu czeka na cud. Daremnie.

Sukcesu też nie przyniosą chemiczne środki dopingujące, bo walka z nimi weszła w nowy etap. Po apelu trenerów lekkiej atletyki głos zabrali sportowi lekarze i stwierdzili, że podawanie, pomaganie czy zamykanie oczu na branie środków dopingujących nie jest zgodne z etyką lekarzy sportowych. Przyłapani na tym lekarze będą usuwani z Polskiego Towarzystwa Medycyny Sportowej i kierowani do Komisji Kontroli Zawodowej. W tym apelu lekarzy jest też wezwanie „o wydanie ustawy zakazującej stosowania środków dopingujących w sporcie". Nie mam nic przeciw ustawie, ale myślę, że nie czekając na taką ustawę, trzeba korzystać z już dostępnych środków i sposobów przeciwdziałania i karania winnych. Nie są nimi bowiem tylko sportowcy. Nawet najlepsze ustawy — jak pokazuje praktyka — mogą być martwe, jeśli ludzie nie będą stosowali tych praw, które już istnieją, a czekali, że za nich wszystko zrobi ustawa.

BOGDA MADEJ

Wiosna 1968 roku

JÓZEF SPYCHALSKI

FRAGMENTY PRZYGOTOWYWANEJ DO DRUKU POWIEŚCI PT. „CZERWONE GOŹDZIKI", KTÓRA STANOWI CZĘŚĆ TRZECIĄ TRYLOGII. DWIE PIERWSZE JUŻ SIĘ UKAZAŁY: „TRUDNE POWROTY" I „POWTÓRKA Z IDEOLOGII".

— 2 —

Piotr przypomniał sobie podróż do Egiptu i rozmowy z Reliszką, któremu towarzyszyła córka-studentka. Ojciec chciał wiedzieć, jak przyjęto jego wystąpienie na warszawskim uniwersytecie i żądał szczerej oceny, a gdy dziewczyna powiedziała mu o swych obiekcjach, zacisnął nerwowo usta, usiłując uspokoić rękę, która drgała mu coraz silniej.

— Jak mamy przekonać młodzież, skoro własne dzieci są przeciw nam — rzekł z wyrzutem, sięgając po kieliszek koniaku. Kilka kropel płynu rozlało się po szkle i przeciekło przez trzęsące się palce. — Oni nie chcą przyjmować do wiadomości naszych zamierzeń, zarzucając nam minimalizm — skarżył się towarzyszom podróży — i nie zdają sobie sprawy, jak surowo rozliczają robotnicy swych przywódców za niespełnione obietnice.

Otóż to właśnie. Tylko jak pogodzić ostrożność starszego pokolenia z niecierpliwością młodych, którzy dokonali już odbudowy kraju i czekają na program daleko wybiegający w przyszłość.

Sala zaczęła się opróżniać. Piotr powstał z miejsca, patrząc jak ostatnie grupki studentów znikają za drzwiami. Powstali także profesorowie, otaczając kołem docenta i Waksmana, a dziekan posłał w stronę sekretarza uśmiech zapraszający do kompanii, ale Piotr potrząsnął przecząco głową i pozostał na miejscu. Docent dostrzegł tę wymianę gestów i zbliżył się do Borowskiego.

— Nie wypijecie z nami kawy? — zapytał, prostując swą cherlawą postać.

— Dziękuję, muszę wracać do Komitetu — odparł Piotr, ruszając do wyjścia.

Docent był wyraźnie rozczarowany.

— Szkoda — mruknął i podniósł oczy na sekretarza. — Jak oceniacie moje wystąpienie?

— No cóż, nie jestem specem od scholastyki — odparł Piotr złośliwie — ale ja zapytałbym Waksmana, jak wyobraża sobie społeczną kontrolę nad działalnością partii, bo jeśli ma on na myśli określone organizacje społeczne, to wiadomo, że chodzi mu o rozpętanie walki politycznej z partią, której reperkusje musiałyby przekroczyć granice kraju. On usiłuje po prostu wprowadzić na scenę opozycję, tyle że tylnymi drzwiami.

— Ja bym tego nie formułował tak ostro — bąknął docent.

— Pożegnali się chłodno. Piotr wyszedł na ustronną ulicę zasypaną śniegiem i zagłębił się w alejki niewielkiego parku. Świeciło niskie słońce i stadka wróbli podnosiły radosny wrzask, otrząsając drobiny śniegu z gałązek drzew. Minął ławkę i siedzące dwie starsze kobiety, które rozrzucały kruszyny chleba między czeredę gołębi, a potem młodą matkę, ciągnącą sanki z małą dziewczynką pokrzykującą radośnie. „Sielanka w blaskach zimowego słońca" — pomyślał, kierując się w stronę ulicy, po której z hukiem przejeżdżały fabryczne ciężarówki, rozpryskujące grudki topniejącego śniegu... „i szara rzeczywistość" — dopowiedział sobie, patrząc z obrzydzeniem na hałdę śniegu obryzganą czarną mazią, wylatującą spod kół.

W Komitecie dostarczono mu telefonogram, wzywający na dawno oczekiwane spotkanie z Gomułką. Wiadomo było, że w Warszawie trwa nadal zaciekła walka o wpływy wśród młodzieży, a wyższe uczelnie przekształcają się z wolna w polityczne forum z ostro zarysowaną linią podziału wśród profesury i studentów. Walce na słowa coraz częściej zaczynała towarzyszyć walka na emocje, w której orężem była historyczna spuścizna narodu spowita w zręczne aluzje, niedomówienia lub gesty.

W niewielkiej salce, w której znaleźli się wojewódzcy sekretarze i kierownicy wydziałów KC, panowała niezwykła cisza. Czekano na sekretarzy KC, nerwowo zerkając na wskazówki zegarków, które jakby stanęły w miejscu. Gomułka był — jak zwykle — punktualny. Zebrani wysłuchali oceny sytuacji, jakiej dokonał szef propagandy, Karewicz, aby skonstatować z rozczarowaniem, że w jego relacji nie było nic nowego. Karewicz tonował oceny, wspominał o terapii snem, zalecał ostrożność i umiar w postępowaniu ze znaczącymi ludźmi ze świata nauki i kultury. Gomułka siedział chmurny, obracając w dłoniach notkę podsuniętą mu przez któregoś z sekretarzy. Był zmęczony, bruzdy wokół ust pogrubiały znacznie, a oczy zapadły w głąb i ledwo były widoczne spod ściągniętych brwi. W pewnej chwili poruszył się niecierpliwie i przerwał mówcy.

— Jak długo jeszcze będziecie potrząsać na scenie kajdanami? — zapytał, podnosząc głowę. — To są puste gesty, a nas nie stać na zabawianie się pustymi gestami w sytuacji, kiedy musimy zabiegać o dodatkowe dostawy nafty, bawełny i zboża. Jutro Węgrzyn wyjeżdża do Moskwy, zapytajcie go, czy mu to potrząsanie pomoże w rozmowach?

Karewicz pochylił głowę i słuchał w milczeniu, ale pauza trwała krótko.

— Jesteśmy w stałym kontakcie z reżyserem i przynaglamy go, aby przyspieszył przygotowania do zmiany repertuaru. To potrwa jeszcze kilka dni. Moim zdaniem, trzeba je przeczekać. Zamknięcie teatru w obecnej atmosferze wywoła lawinę protestów i nabierze cech kulturalnego skandalu o międzynarodowym zasięgu — mówił prędko, jakby chciał uprzedzić wybuch gniewu, czającego się w zaciśniętych ustach Gomułki. Sekretarze wojewódzcy spoglądali po sobie w zdumieniu. Oni nie mieli takich problemów i pospieszyli zapewnić o tym swego szefa, którego twarz rozprężała się z wolna.

Piotr wracał do Krosnowic z przekonaniem o ograniczonym zasięgu wydarzeń, jakie miały miejsce w Warszawie. On także nie dostrzegał jeszcze problemów, które mogłyby zagrozić spokojowi społecznemu w swoim mieście. Następnego dnia zwołał sekretarzy, przewodniczącego Rady i komendanta milicji, aby zrelacjonować im przebieg spotkania z Gomułką oraz wysłuchać ich opinii o sytuacji w mieście. Zgodzono się, że w fabrykach nie wystąpiły żadne oznaki niepokoju, a akademickie dyskusje nie wzbudzają zainteresowania robotników, natomiast w środowisku uczelnianym sytuacja była zróżnicowana. Uniwersytet przedstawiał sobą największe niebezpieczeństwo. Wiadomo było, że od pewnego czasu między Warszawą a Krosnowicami krążą liczni emisariusze, znane były nawet ich nazwiska oraz kontakty, nietrudno się było także domyślić, o czym mówiono w czasie poufnych spotkań. Wpływ tych działań obejmował z wolna medyków, natomiast politechnika, rywalizująca od lat z uniwersytetem o prymat w mieście, zachowywała dystans zarówno wobec emisariuszy, jak i ich miejscowych kolegów. Uczelnie artystyczne najbardziej podatne na emocje stanowiły odrębny i zamknięty w sobie świat. Splendid isolation. Trudno było przewidzieć, czy zdolni będą do solidarnego działania i gdzie ostatecznie zakotwiczą profesorowie, zamieszkujący w stolicy. Nie było zatem powodów do niepokoju, więc Piotr wrócił do swych normalnych zajęć.

Właśnie niedawno Andrzej powiadomił go o możliwości awaryjnej budowy fabryki obuwia, bowiem w starej fabryce stwierdzono próchnienie belek stropowych. Potrzebna była zgoda wicepremiera — tego, który walczył nad Ebro i wykazywał ogromną dbałość o miejsce i honory dla polskich uczestników tych walk. Wicepremier napomknął o nadaniu zakładom imienia zmarłego przed miesiącem dyrektora i kombatanta, z którym łączyły go wojenne przeżycia w Hiszpanii. Piotr docenił szansę, otwierającą się przed fabryką, szybko uzyskał zgodę samorządu i dyrekcji, a potem zaprosił na uroczystość wicepremiera.

Uroczystość odbyła się w skromnej świetlicy zakładów, mieszczących się przy jednej z ulic śródmieścia. Był to potężny czteropiętrowy gmach, ciążący nad wąską ulicą niczym występ skalny. Piotr przyjechał o oznaczonej godzinie i zdziwił się, zastając w niedużej salce kilkanaście osób przybyłych z Warszawy. Byli to kombatanci i koledzy zmarłego o znanych nazwiskach, którzy obecnie znaleźli się na bocznym torze, wykorzystali więc okazję, aby przypomnieć się światu. Rozprawiano o młodym Marksie i natychmiast spróbowano wciągnąć go do dyskusji. Rej wodziła zwłaszcza nieduża, szczupła kobieta o zasuszonym obliczu. Gdyby nie bystre, lekko wyłupiaste, brązowe oczy, można by owo oblicze porównać z maskami faraonów z kairskiego muzeum. Znał ją. Zdawał u niej kiedyś egzaminy z ekonomii politycznej, ale z tego, co teraz głosiła wynikało, że chodzi raczej o zawołanie niż o twórczy przyczynek do teorii marksizmu. Piotr wykazał chwalebną wstrzemięźliwość i nie odpowiedział na zawołanie, a sekretarz komitetu dzielnicowego odetchnął z widoczną ulgą.

Nagle zrobił się ruch i wezwano Piotra do telefonu. Dzwonił wicepremier i zawiadamiał, że ważne przyczyny uniemożliwiły mu wzięcie udziału w uroczystości, ale wszystkie dotychczasowe ustalenia pozostają w mocy, dlatego prosi o przyspieszenie prac projektowych dla nowego zakładu. Naturalnie przepraszał i żałował, nie szczędząc zapewnień, że przy najbliższej okazji odwiedzi swoich protegowanych. Borowski odłożył słuchawkę. W drodze do świetlicy dogonił go kierowca z wezwaniem do Komitetu. Coś się działo w Warszawie i Makuch prosił go o pilną rozmowę. Piotr scedował obowiązki gospodarza na komitet dzielnicowy, pożegnał warszawskich gości i pognał do siebie. W słuchawce czerwonego telefonu usłyszał zdyszany głos Makucha, jakby ten przybiegł przed chwilą z odległego skrzydła gmachu.

— Jesteś nareszcie, co u ciebie?

— Nic szczególnego, a u was?

— U nas zomowcy rozpraszają kolumnę demonstrantów, która urządziła marsz na Komitet Centralny....

Piotr wstrzymał oddech. „A więc zaczęło się" — przemknęło mu przez myśl.

— ... halo, słyszysz mnie, Piotr?

— Słyszę — ocknął się i przycisnął słuchawkę mocniej do ucha. — Kim są demonstranci?

— Studenci, ale już doczepiają się do ich kolumny różne warszawskie męty.

— Masz jakieś zlecenia dla mnie?

— Tak, proszę o codzienne meldunki o sytuacji. Trzymajcie się.

Piotr odłożył słuchawkę i podparł głowę pięściami. „To wy się trzymajcie" — pomyślał nieco złośliwie, ale zaraz zreflektował się i pożałował, że nie zapytał o sytuację w kraju. Znowu podniósł słuchawkę i zamówił Gdańsk. Przyjaźnił się z tamtejszym sekretarzem i pragnął zamienić z nim kilka słów, ale dyżurny czuwający przy telefonie powiadomił go, że sekretarz bierze właśnie udział w wiecu ze studentami i zapytał, czy ma mu coś do przekazania.

— Nie, dziękuję. — „Ciekawe, co osiągnie na tym wiecu" — pomyślał rad ze spokoju, jaki go jeszcze otaczał.

Zgłosił się Myśliński, a tuż za nim Banasiak z plikiem telefonogramów otrzymanych z komitetów uczelnianych i zetempowskich zarządów. Niektóre z nich napisane były w tonie alarmistycznym, niektóre nijako, jakby na ich uczelniach nie wydarzyło się nic ważnego.

Myśliński miał więcej wiadomości. W Warszawie nie ustają próby organizowania kolejnych demonstracji, a uczelnie ogarnął strajk. Napięta sytuacja panuje w Krakowie i Gdańsku, należy się także liczyć z możliwością wybuchu strajku na uniwersytecie krosnowickim, gdzie część profesury najwyraźniej sprzyja buntującym się studentom, a rektor zachowuje bierną postawę. Wśród studentów pojawili się nowi liderzy, ale faktyczni przywódcy ukrywają się w cieniu, chociaż zdekonspirowanie ich nie będzie przedstawiało większych trudności. Niektórzy z tych przywódców, a raczej inspiratorów znajdują się w Warszawie, mając do dyspozycji łączników. Jak dotąd, nie ujawniono powiązań z zakładami pracy, jeśli nie brać pod uwagę robotniczych dzieci studiujących na krosnowickich uczelniach.

Nagle do gabinetu wpadł Pawlak z twarzą poczerwieniałą z emocji.

— W tej chwili zaczął się wiec w bibliotece uniwersyteckiej. Mam wiadomości, że grupa studentów wystąpi o rozpoczęcie strajku solidarnościowego ze studentami warszawskimi i że będzie to strajk okupacyjny.

— Czy jest tam ktoś od nas? — zapytał Piotr chłodno. Już opanował niepokój i otrząsnął się z zaskoczenia, a w jego głosie zabrzmiały metaliczne dźwięki. Obudził się w nim przywódca. Pawlak spoglądał z niepokojem.

— Cały wydział nauki i kultury jest w bibliotece. Zaraz po wiecu będziemy mieli relacje z przebiegu.

— Trzeba natychmiast wesprzeć organizacje studenckie i tę część profesury, która jest z nami. Trzeba podejmować dyskusję, ale nie na wiecach, gdzie nas zakrzyczą, tylko w luźnych grupach. Trzeba także utrudniać kontakty między uczelniami i wcześnie rozpoznawać zagrożenia — komenderował chłodno. — Jutro poproszę tu rektorów — oznajmił, powstając z miejsca. Obecni powstali także.

Piotr zbliżył się do Myślińskiego.

— Zostań tu jeszcze — rzekł półgłosem, powracając za biurko. Komendant usiadł naprzeciw, a gdy podniósł wzrok, napotkał wlepione w siebie oczy sekretarza. Wytrzymał to spojrzenia.

— Musimy ustalić reguły gry — rzekł Borowski, nie przestając wpatrywać się w komendanta. — Wiesz o co mi chodzi?

— Wiem — odparł komendant. — Czyżbyś zwątpił w moją lojalność?

— Nie, ale teraz chodzi o współdziałanie w zupełnie innych okolicznościach. Chciałbym, abyś informował mnie o wszystkim i uzgadniał ze mną wszelkie ważniejsze decyzje.

— Nawet te, które wynikają z rozkazów, jakie otrzymuję z Warszawy?

— Tak, te także.

Myśliński spuścił na chwilę wzrok i ściągnął brwi, a Piotr siedzący naprzeciw dostrzegł pionową bruzdę, rozcinającą mu czoło. Nagle Myśliński wyprostował się i coś na kształt uśmiechu rozchyliło mu kąciki ust.

— Dobrze — rzekł dobitnie — możesz liczyć na mnie.

Uścisnęli sobie ręce. Gdy znaleźli się przy drzwiach, Piotr ponownie poszukał jego oczu i rzekł półgłosem:

— To są nasze dzieci, Tomek. Nie chciałbym, aby bodaj jedna pałka spadła niepotrzebnie na ich plecy. Pałkami możesz wzbudzić respekt wśród chuliganów, ale u studentów możesz wzbudzić tylko nienawiść.

Piotr wyszedł z nim do pokoju, w którym mieścił się sekretariat. Telefony dzwoniły bez przerwy, ale sekretarka skutecznie ochraniała swego szefa, odsyłając kolejnych interesantów do pozostałych sekretarzy. Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością i zawrócił do gabinetu, a gdy pozostał już sam, poczuł nagle zmęczenie i zwątpienie. Oto rozsypywał się w gruzy jego świat marzeń o socjalistycznej ojczyźnie szczęśliwych ludzi, której poświęcił wszystkie swoje umiejętności, swoje życie nieledwie, a teraz stanął oko w oko z młodymi wychowankami tejże ojczyzny, negującymi pracę i osiągnięcia jego pokolenia, które dźwignęło kraj ze zniszczeń wojennych. A może istotnie ludzie z jego pokolenia nie byli już zdolni do przewodzenia masom, może utracili swe zdolności przywódcze i może należało już odejść? Dlaczego milczy Gomułka — na co czeka, czyżby i on nie otrząsnął się jeszcze ze swych rozterek i nie odpowiedział sam sobie na podobne pytania?

A jednak trzeba podjąć tę walkę. Zbyt wiele wysiłków i wyrzeczeń zostało poniesionych, aby cofnąć się teraz przed ludźmi, którym udało się wykorzystać naturalne skłonności młodych do niezadowolenia i buntu. Kim oni są, w czyim interesie występują, do czego dążą? Nie porwali przecież młodych wizją lepszego jutra, ani zapalili w nich rewolucyjnego płomienia. To, co się dzieje obecnie nie jest przecież walką przeciwstawnych idei, to raczej odruch buntu na brak perspektywy, która by zaspokajała aspiracje młodych. Taki bunt wybucha szybko i szybko mija, trzeba więc teraz myśleć nad tym, jak pozyskać sobie ponownie tę młodzież, kiedy emocje opadną i jak skanalizować jej energię, aby podjęła dzieło budowy na miarę swych ambicji i dążeń.

Wrócili ludzie z wydziału, którzy uczestniczyli w wiecu. Łatwo było zgadnąć z ich twarzy, jak ciężko przeżywają porażkę. Basia Kowalczyk, entuzjastka porozumienia z młodymi, która tak niedawno asystowała mu na spotkaniu u literatów, teraz z trudem hamowała łzy. Nie mogła pojąć przyczyny nagłej odmiany u ludzi, których znała, którzy jeszcze niedawno prawili jej komplementy, zabiegali o względy, a teraz zakrzyczeli ją i nie dopuścili do głosu.

Piotr zamówił kawę i poprosił, aby usiadła i uspokoiła roztrzęsione nerwy. Interesowały go szczegóły i sceneria wiecu, postawa pracowników naukowych oraz młodzieżowi liderzy. Jutro miał się spotkać z rektorami, toteż wiedza o tym, co zaszło, była mu wprost niezbędna. Powoli z kolejnych wypowiedzi zarysował się obraz wydarzeń, padły nawet nazwiska młodych agitatorów, wykazujących szczególne predyspozycje do wywoływania wiecowych emocji. Rewera. Tak, to nazwisko powtarzało się wielokrotnie, wspominał o nim również Myśliński. Padło także nazwisko córki zasłużonego pedagoga, trzeba więc będzie porozmawiać z nim przy okazji i w ogóle zalecić, aby członkowie partii — rodzice, powstrzymali nieco solidarnościowe zapędy swoich latorośli.

Późnym wieczorem udał się do domu. Tuż przed budynkiem uniwersytetu wysiadł z wozu i ruszył dalej piechotą. Marcowy wiatr poruszał gałązkami lip i otrząsał z nich kropelki wody powstałej z mżawki i mgieł, a światło ulicznych latarni z trudem rozpraszało wieczorny mrok. Piotr szedł brzegiem chodnika, słuchając stłumionego gwaru, dobiegającego zza grubych murów uniwersyteckiej budowli. Kilku młodych ludzi stało na stopniach zewnętrznych schodów, rozprawiając o czymś namiętnie. Piotr przystanął na chwilę. Dwie starsze kobiety, które nadeszły od strony parku, także przystanęły, przypatrując się młodym.

— Strajkują — rzekła jedna z nich, zbliżając się do Piotra. Zaśmiała się stłumionym chichotem. — Cóż oni o tym wiedzą — mówiła, nie przestając się uśmiechać. — Kiedy myśmy strajkowały przed wojną, wiadomo było, że chodziło o pracę i chleb.

Druga z kobiet kiwała potakująco głową. Piotr także przytaknął i ruszył naprzód.

— Ale im nie o chleb chodzi — rzuciła przez ramię, pogrążając się w mrok parkowej alei. Obejrzał się raz jeszcze i ujrzał milicyjny wóz posuwający się powoli wzdłuż jezdni. Wóz nie zatrzymał się przed gmachem i jechał dalej ulicą, na której od czasu do czasu pojawiali się spóźnieni przechodnie. A więc nie było obustronnych zaczepek. Piotr z ulgą obserwował wartujących studentów, którzy odczekali, aż wóz zniknął im z oczu, a potem powrócili do przerwanej dysputy, następnie przyśpieszył kroku, jakby w marszu zagubić pragnął resztki przeżyć mijającego dnia.

W domu czekano na niego. Natychmiast dostrzegł, jak niepokój malujący się na twarzach synów ustępuje miejsca ciekawości, tylko w oczach żony ciągle jeszcze czaił się strach.

— Dzwoniłam do ciebie — mówiła z wyrzutem — ale odmówiono mi połączenia. Dlaczego nie chciałeś ze mną rozmawiać?

— Nie wiedziałem, że dzwoniłaś. Pewnie odbywała się narada, a dyżurny przy telefonie przyjął moje zalecenia o nieprzeszkadzaniu zbyt dosłownie. Jestem głodny — przyznał się rad, że może odwrócić jej uwagę od wydarzeń, ale Ania nie dała się zwieść.

— Słyszałam, jak tutejsze paniusie rozpowiadają o tym, że milicja bije studentów. Powiedz, że to nieprawda — rzekła, zaglądając trwożnie w jego oczy.

— Przysięgam, że to nieprawda.

— Mówiłem mamie, że to bzdury — wtrącił się Michał. — U nas nawet najgorsi panikarze w to nie wierzą.

Piotr zbył milczeniem uwagę syna i zabrał się do kolacji. Michał był wyraźnie rozczarowany.

— Nie jesteś ciekaw, co się dzieje na politechnice?

— Ależ tak — przerwał mu ojciec — tylko ty jesteś ostatni, od którego chciałbym to usłyszeć.

Michał poczerwieniał, nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

— Zrozumiałem i dziękuję — odparł zmieszany.

Zapanowało dłuższe milczenie, aż wreszcie Michał ponownie zbliżył się do ojca.

— Nie chciałbyś przyjść do nas? — zapytał ostrożnie — koledzy mają wiele pytań do ciebie.

— Bardzo chętnie, ale nie wcześniej, aż zakończy się strajk. Dopiero jak opadną emocje, przyjdzie pora na pytania i odpowiedzi i mogę cię zapewnić, że nie będą to odpowiedzi wykrętne.

— Trudno mi to będzie wytłumaczyć.

— Toteż nie trzeba, abyś tłumaczył. Zresztą to nie potrwa długo. Przechodząc koło uniwersytetu słyszałem, jak skomentowały ten strajk włókniarki. One nie uznają strajku, w którym nie chodzi o chleb, a bez ich poparcia strajkowanie na uczelniach jest bzdurą.

C.D.N.